

Sándor

Márai

Pierwsza miłość



CZY
TEL
NIK

Sándor

Márai

Pierwsza miłość

Przełożył Feliks Netz

Czytelnik | Warszawa 2008

Tytuł oryginału
Bébi vagy az első szerelem

© Heirs of Sándor Márai
Csaba Gaál, Toronto

Opracowanie graficzne
Maria Drabecka

Redaktor
Bianka Dziadkiewicz

Redaktor techniczny
Hanna Bernaszuk

Korekta
Anna Piątkowska

© Copyright for the Polish translation by Feliks Netz, 2007

© Copyright for the Polish edition
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2007

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”
ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa
Warszawa 2007. Wydanie I
Ark. wyd. 12; ark. druk. 19,25
Skład: WMC SC, Warszawa
Druk: Łódzka Drukarnia Dziełowa SA

ISBN 978-83-07-03128-6

4 sierpnia

Od dwóch dni jestem w Virágfüred. Mieszkam w tym samym pokoju, co przed dwudziestu ośmiu laty. To nic nie znaczy, ponieważ kąpielisko jest prawie całkiem puste; nie przypadkiem trafiłem do tego pokoju, mogłem wybierać, jak chciałem, w tej czy drugiej części domu. Cały zakład to wszystkiego osiem willi, jedna wspólna restauracja i pomieszczenia dyrekcji. Ta willa nazywa się „Tivoli”, i tylko dzięki temu zeszytowi, w którym teraz piszę, przypomniałem sobie jej nazwę. Swoją drogą, to temu zeszytowi mogę zawdzięczać, że w ogóle tutaj jestem, że „przyjechałem na lotnisko”. Od dwudziestu ośmiu lat nie ruszałem się z Z. Chociaż, raz jeden, zimą pojechałem do Lewoczy, na zaproszenie mieszkającego tam kolegi, który wybrał mnie na ojca chrzestnego. Bardzo żałowałem tej wyprawy; kolega miał ciasne mieszkanie, spałem w jadalni, rano przechodzono przez mój pokój i popsułem sobie żółtek pieczenią z dzika, której w ogóle nie jadam. Później długo nigdzie nie wyjeżdżałem. Latem dużo spaceruję albo chodzę do kregielni. Właściwie to dziwne, że teraz jestem tutaj. Muszę oswoić się z myślą, że jestem tutaj i że pozostanę tutaj przez trzy

tygodnie, u podnóża Tatr, trzy godziny jazdy pociągiem pospiesznym z Z.

Czy znajduję przyjemność w tym, że opisuję, gdzie jestem? Może to naiwne, ale znajduję. Mój pokój ma balkon, siedzę sobie na tym balkonie i gryzmołę. Nie mam nic innego do roboty. Teraz, o czwartej po południu, po przeciwnej stronie słońce przypieka las sosnowy. Moja weranda jest o tej porze w cieniu i pamiętam, że dwadzieścia osiem lat temu również w każde popołudnie o tej samej porze siedziałem sobie na tym balkonie i bazgrałem w tym samym zeszytce. Stąd dobrze widzę las, całą dolinę. W upały, kiedy las praży się w słońcu, słaby wiatr przynosi zapach żywicy. Szczególnie lubię ten zapach; teraz, gdy znowu go czuję, przypominam sobie lato, które spędziłem tutaj przed dwudziestu ośmiu laty. Wydaje mi się, że tamten czas jest tuż-tuż; do czego przyczynia się także niezmiennie otoczenie. Las jest jakby bujniejszy i bardziej malowniczy, niż był wtedy, domy i pokoje są podniszczone, ale innych zmian nie ma. Łóżko i szafa mają ten sam stęchły, zastały mysi zapach. Wczoraj wieczorem przypomniałem sobie, że dwadzieścia osiem lat temu stał na nocnej szafce piesek do butów; teraz wszędzie szukałem tego pieska, ale nigdzie w pokoju go nie znalazłem. Wygląda na to, że obecnie goście kąpieliska nie noszą wysokich butów.

Swoją drogą to poszukiwanie pieska do butów dość gruntownie popsuło mi wieczór. Teraz już śmieję się z tego, ale wczorajszego wieczora mocno się zdenerwowałem. Przetrzęsnałem szuflady w szafie i pod umywalką, z niezrozumiałych powodów bra-

kowało mi go, a przecież ja sam nie noszę wysokich butów. Prawda, że można go używać także do ściągania trzewików. Ale, jeśli dobrze pamiętam, umeblowanie pokoju specjalnie się nie zmieniło. Zdaje mi się, że lustro w sosnowej ramie nad umywalką też jest to samo, co dawniej, naturalnie szkło już pocieleniało i złuszczył się amalgamat. Obraz na ścianie — śpiący myśliwi, których beczelnie odwiedza stado saren i kradnie im plecaki — szczerze mnie uradował. Głupawy, tandetny oleodruk, ale z przyjemnością ponownie go obejrzałem.

Zresztą, od kilku dni wszystko wokół mnie powtarza się z uderzającą intensywnością. Jest tak, jakbym kiedyś coś wynalazł, ale przez następnych dwadzieścia osiem lat nie udało mi się wymyślić nic nowego, i kiedy znów zdecydowałem się działać, nie przychodzi mi do głowy nic mądrzejszego nad powtórkę dawnego przeżycia. (Piszę „przeżycia”, ponieważ nie znajduję lepszego określenia; w ogóle ze zdziwieniem obserwuję, jak trudno jest coś opisać. O wiele trudniej, niż opowiedzieć. Piszę powoli, z trudem, jakbym się jąkał, minuty mijają, nim sformułuję jedno zdanie. Śmiechu warta jest pewność siebie i łatwość, z jaką przed dwudziestu ośmiu laty karbowałem w tym zeszycie swoje myśli; szybko, bez skrupułów, jak ktoś, kto żyje z pisania).

Wczorajszej nocy przed zaśnięciem przeczytałem ten stary dziennik. Nie mogłem zasnąć, może spowodowała to zmiana miejsca i górskie powietrze. Odwykłem już od tego, aby spać gdzie indziej niż w swoim pokoju, przy ulicy Basztowej. Obce łóżko i wilgoć w powietrzu także nappełniły mnie nieufno-

ścią. Pierwszy raz miałem pretensję do tego właśnie uczucia, ponieważ było w nim coś babskiego; ale wiem, że to coś innego, to nie tchórzostwo, ale coś całkiem innego. Tylko nie potrafię powiedzieć, jak to się nazywa.

Po części piszę również dlatego, żeby czymś wypełnić czas; prawdę mówiąc, teraz, gdy jestem tutaj, dni wydają mi się nadzwyczaj długie, nie wiem, co począć z czasem. Może to błąd, że nie zabrałem ze sobą niczego do czytania, ale w domu odwykłem już od książek i kiedy pakowałem się, nawet nie pomyślałem o tym, że obok bielizny może być mi również potrzebna jakaś lektura. Z pewnym zdziwieniem piszę tu, że od czterech lat poza literaturą fachową nie czytałem właściwie żadnej innej książki. Wystarczało mi, jeśli wieczorem w kasynie przeczytałem kilka stołecznych gazet. To już cztery lata, jak zlikwidowałem swój rachunek u księgarza. Było to zaraz po moich pięćdziesiątych urodzinach; kiedy postanowiłem zapuścić brodę; kiedy odprawiłem moją poprzednią gosposię; kiedy urządziłem swoje życie pod każdym względem inaczej. Wszystko to widzę teraz tak, jakbym wtenczas działał nieświadomie, nieomal pod przymusem; dzisiaj tak to widzę, jakby to, co wtedy przechodziłem, było jakimś potężnym przesileniem, jakimś kryzysem. Ale wówczas tak tego nie przyjmowałem. Co prawda inni, moi znajomi i koledzy, coś tam zauważyli po mnie. Przede wszystkim brodę, co rozumie się samo przez się. To zawsze postarza. Ale swoją drogą, już przed brodą bywało tak, że ktoś, kogo nie widziałem od dwóch, trzech miesięcy, przystawał na ulicy i pytał:

— Co jest z tobą? — Albo: Co panu jest, panie profesorze?

Wtedy niemile mnie to dotykało. Nie byłem chory. Miałem doskonały apetyt, ponieważ przzerzuciłem się z cygar na fajkę. Nie żyłem inaczej niż dotychczas. Mój rozkład dnia był stary, ludzie, z którymi się stykałem, byli starzy. Wtedy nawet regularnie bywałem w kasynie. Co wieczór od za kwadrans dziewiąta do wpół do jedenastej. Mój partner do taroka też był stary, biedny Klebinszky, jeszcze wtedy żył. I w każde popołudnie spacerowałem, w każde popołudnie od piątej do siódmej. Szczerze mówiąc, kiedy patrzyłem w lustro — czego nie mam w zwyczaju, ale zdarzało się tak przy goleniu, że oprócz brody dostrzegałem także swoją twarz — nie zauważałem żadnej zmiany. Nie zauważyłem, abym stał się starszy, szpetniejszy lub bardziej chory, niż byłem przed rokiem. Coś takiego nie dzieje się z dnia na dzień. Włosy, naturalnie, były szpakowate, ale takie były już sześć lat temu. A jednak ludzie coś we mnie dostrzegli. Jakąś zmianę czy jakieś psucie się... nikt tego dokładnie nie powiedział. A ja nie pytałem, nigdy nie zapytałem. Dawałem wymijające odpowiedzi, nic, czuję się dobrze. Prawda, że te uwagi robiono mimochodem, w roztargnieniu; były to raczej uwagi grzecznościowe typu: „Nie sypiasz dobrze?” albo: „Jesteś blady, napij się odrobinę czerwonego wina”. Wszyscy spostrzegają taką zmianę wcześniej niż ten, który się zmienia.

Jednak w kilka dni po moich pięćdziesiątych urodzinach sam też coś zauważyłem.

Rano ciężko mi było wstać z łóżka. Przez dwa-

dzieścia osiem lat, zimą-latem, wstawałem co dnia skoro świt, o godzinie szóstej. Nie pamiętam, abym kiedyś przespał tę godzinę. Nie potrzebowałem budzika, myślę, że budziłem się co do minuty, jak jakiś automat. Coś takiego jest jedynie kwestią woli. Organizm można nastawić tak, jak zegarek. Budziłem się o szóstej, o wpół do siódmej już jadłem śniadanie. Do siódmej czytałem gazetę. O siódmej wstawałem od stołu, brałem notes i ostrzyłem ołówek. Zawsze tylko troszkę, tylko tyle, ile miałem zużyć tego dnia. Bardzo na to uważam, nawet dzisiaj; jak sobie przypominam, od szkolnych lat lubiłem sam ostrzyć sobie ołówki. Był z tym również związany pewien maleńki przesąd, coś takiego, że jeżeli udało mi się ostrzenie, będzie dobry dzień, a jeżeli złamałem koniuszek ołówka, to tego dnia zdarzy mi się coś nieprzyjemnego. Głupota, ale przyzwyczałem się do niej. Oczywiście, jeżeli człowiek ostrzy ołówki przez dziesiątki lat, nabiera pewnej zręczności; od lat, jeśli dobrze pamiętam, nie zdarzyło mi się złamać ostrza ołówka. Co prawda, od lat nie przytrafiła mi się również jakaś większa nieprzyjemność; nie przypominam sobie ani niczego szczególnie dobrego, ani niczego szczególnie złego; każdy dzień był taki sam jak wszystkie.

Gdy już zaostrzyłem ołówek, zabierałem parasol i kapelusz i punktualnie o godzinie siódmej wyruszałem na półgodzinny spacer dookoła Baszty. Istnieje taki typ samotnego, starszego mężczyzny, dla którego pedanteria jest konieczna, jeśli nie chce, aby dzień mu się dłużył. Dzień trzeba zabijać, z minutą na minutę, z godziny na godzinę, zwłaszcza

gdy bezcelowe spędzanie czasu męczy i denerwuje. Może to tylko ja jestem taki? Nie sądzę. Podobne symptomy zauważyłem także u moich kolegów, zwłaszcza u tych, którzy nie mają rodziny. Taki spacer z parasolem, dobrze o tym wiem, jest komiczny. Do kasyna przychodzi „Fliegende Blätter”, w którym tak właśnie rysują profesorów, z parasolem pod pachą. Noszę go również w ładną pogodę, i to już na pewno jest komiczne. Ale ja przywykłem do tego. Chętniej wychodzę z domu z parasolem niż z laską; przekonałem się, że nie można ufać pogodzie, bo nawet ładna pogoda może wprowadzić w błąd. Laska nie ochroni, gdy zacznie padać deszcz. Parasol służy również za laskę, chroni przed wszelkimi ewentualnościami. Może to komiczne, ale ja już przywykłem do parasola. Tutaj też go przywoziłem. Wczoraj zabrałem go na popołudniowy spacer, przy wspaniałej pogodzie, a kiedy wracałem do domu około wpół do szóstej, zerwała się krótkotrwała ulewa. Ochronił mnie mój dobry, stary parasol. Gdybym go nie miał przy sobie, pewnie teraz zakata-rzony leżałbym w łóżku. Dla młodego człowieka coś takiego jest, naturalnie, śmieszne.

Bez dwóch zdań, człowiek staje się gnuśny.

Wtedy, parę miesięcy po moich pięćdziesiątych urodzinach, po raz pierwszy przespałem godzinę szóstą. Właściwie to nie zasnąłem; obudziłem się o szóstej, ale nie zerwałem się z łóżka. Jeszcze jakieś pół godziny leżałem w łóżku, zmęczony, w półśnie. To powtarzało się przez cały tydzień. Takie półgodzinne dosypianie burzyło, naturalnie, cały porządek dnia. Musiałem skrócić poranny spacer, póź-

niej zupełnie go zaniechałem. Chciałem temu zaradzić; przymuszałem się do wstawania; ale mój organizm, ta precyzyjna maszyna, zawiódł mnie; wymógł na mnie ten półgodziny dodatek do snu. Gdzieś obluźowała się sprężyna, mechanizm chodził niedokładnie. Potrzebował odpoczynku. Przyznałem mu go.

Od tej pory śpię o pół godziny dłużej.

Było też coś innego. Wszystko działa się odrobinię niedokładniej. Dwa razy, w krótkich odstępach czasu, zdarzyło się, że zostawiłem w domu notes. A to już łączyło się z mnóstwem nieprzyjemności, ponieważ bez notesu nie mogę prowadzić lekcji. Musiałem posłać jednego z moich uczniów, nazywał się Novák, żeby wziął go od mojej gospodyni. Jeszcze najbardziej ufałem temu Novákowi. Był przyzwyczajony do chłopa, no i stypendystą. Ale taka sytuacja, kiedy w ręce ucznia wpada notes profesora, może mieć nieobliczalne konsekwencje. Mam na myśli konsekwencje dyscyplinarne i moralne. Uczniowie z góry mogą poznać oceny i wtedy ci, którzy czują się pewniej, będą się mniej uczyć, a ci, którzy mają oceny beznadziejne, machną na wszystko ręką. Profesorskiego notesu należy strzec, jak kupiec strzeże księgi kasowej. Powtarzam, ten Novák był stypendystą, jemu ufałem najbardziej. Uczniowie, którzy pobierają stypendium, boją się ściągnąć na siebie gniew profesora. Jeżeli w porę nie ugryzą się w język, mogą stracić stypendium. Czułem, że nie zawiodłem się na nim. W każdym razie nic mnie nie uderzyło w zachowaniu moich wychowanków. Co prawda, mogłem też posłać po notes pedla; ale,

szczerze mówiąc, ufam mu mniej niż Novákowi. Niestety, jest on człowiekiem pijącym. Dyrektor wiele mu wybacza, z litości, ponieważ pedel ma dużą rodzinę. Ale to nie zmienia faktu, że się upija. Taki człowiek jest zdolny do wszystkiego. Być może również do tego, że zajrzy do notesu i zdradzi uczniom, za pieniądze, jego tajemnice.

Wtedy zrozumiałem, że muszę pójść na pewne ustępstwa wobec jakiejś nieznaney, dokuczliwej siły, wobec jakiejś interwencji z zewnątrz, która jest silniejsza ode mnie. Człowiek przez długi czas nie wie, co to właściwie jest. Ludzie powiadają: starość nie radość. Ale to niczego nie tłumaczy, ponieważ nic się nie zmieniło; nie byłem chory; nie żyłem nieumiarkowanie; jeszcze wczoraj nic mi nie było, a dzisiaj obudziłem się o pół godziny później. Zostałem notes w domu. Co w tym czasie się zdarzyło? I kiedy? W ciągu dnia niczego nie zauważyłem. Czy to zaskakuje człowieka we śnie? I gdzie się zaczyna? W nogach czy w głowie? W rękach czy w włosach? Niepojęte.

Powiniennem pójść na ustępstwa.

Zaczęło mi to ciążyć w czasie golenia. Wtedy zapuściłem tę szpetną brodę. Nie ma w tym nic osobliwego. Człowiek w moim wieku może już spokojnie zapuścić brodę. Wielu starszych mężczyzn w mieście ją nosi. Między innymi prezes sądu. W ogóle brodę noszą ci mężczyźni, którzy doszli do znaczących stanowisk. Z tego punktu widzenia z moją posadą właściwie nie powiniennem nosić brody. Jestem zwyczajnym nauczycielem szkoły średniej, prawda, że mam za sobą dwadzieścia osiem lat służ-

by i od dawna mógłbym być dyrektorem. I już bym był, gdybym się zgodził przeprowadzić do jeszcze mniejszego miasta. Ale zrezygnowałem z nominacji, mnie już tytuł nie jest potrzebny. Chcę żyć w spokoju. Przyzwyczałem się do tego miasta; czuję się tak, jakbym się tutaj urodził. Nasz dyrektor jest dużo młodszy ode mnie. W naszym gronie pedagogicznym ja jestem najstarszy stażem. Całkiem młody człowiek... ci młodzi, naturalnie, nie noszą brody. Dyrektor także nie. Wszyscy oni są ludźmi nowoczesnymi. Sądzę, że trochę mnie lekceważą z powodu brody, ale ja im to wybaczam. Niech tam sobie lekceważą; w ich wieku też byłem człowiekiem nowoczesnym i nie nosiłem brody.

Dopiero szósta, a już nie mogę pisać. Muszę poszukać okularów.

5 sierpnia

Myślę, że jednak dobrze zrobiłem, decydując się na tę podróż, pomimo nerwów i związanych z nią kosztów. Bez wątpienia, nie jestem zbyt doświadczony w podróżowaniu. O wiele prościej wyobrazić sobie coś takiego. Wszelako poszczególne elementy realizacji owego przedsięwzięcia są trudniejsze, niż przypuszczałem. Na przykład coś, co mi nigdy nie przyszło na myśl, a mianowicie napiwki. Gdy tylko udałem się dorożką z domu na stację, napiwki wprawiły mnie w nie lada zakłopotanie. Nie, abym był skąpiradłem; naprawdę, nie sądzę, abym był człowiekiem skąpym. Ale napiwek trzeba było dać dorożkarzowi, napiwek trzeba było dać bagažo-

wemu. Ja już odwykłem od czegoś takiego. Myślę, że od jakichś dziesięciu lat nie dawałem napiwków obcym ludziom. Po prostu obcym ludziom nie dawałem napiwków. Po prostu nie znalazłem się w takiej sytuacji, żebym miał komuś dać napiwek.

Do kawiarni nie chodzę, a w restauracji, gdzie od trzech lat się stołuję, daje się — dobrze o tym wiem — dwadzieścia fillerów kelnerowi kasującemu należność i dziesięć obsługującemu stół. Uważam, że to całkowicie wystarczy. W każdym razie żaden z nich nie uczynił mi do tej pory najmniejszej wymówki. Prawdę rzekłszy, nie mam nikogo takiego, komu mógłbym dawać napiwki. Tym ludziom, którzy zimą przynoszą drewno na opał, zwykła dawać napiwki gospodyni; o ile wiem, osiemdziesiąt fillerów i szklaneczkę wina. Pedellusowi z początkiem nowego roku zawsze daję dwa forinty; choć nie służy na to, bo jest człowiekiem pijącym. Ale ja-koś już do tego przywykłem.

Co się tyczy podróży, nieomal wszystko zawczasu przewidziałem, prócz napiwków. Myślę, że czterdzieści fillerów dla dorożkarza było w sam raz. Kiedy jednak nie podziękował mi, dałem mu jeszcze dwadzieścia fillerów. Bagażowemu także dałem sześćdziesiąt fillerów. Podróżowałem drugą klasą, ponieważ mam zniżkę na kolej. Byłem sam w przedziale. Nie wiem, czy konduktorowi też należało dać napiwek? Od czasu gdy ostatni raz jechałem koleją, obyczaj bardzo się zmieniły. Przedziały także są inne, o ile dobrze pamiętam. W tym przedziale można było zapalać i gasić światło elektryczne. Może jednak należało dać napiwek konduktorowi? Był

to starszy człowiek. Jestem zdezorientowany w wielu podobnych sprawach. Wczoraj przed zaśnięciem zastanawiałem się, ile napiwku powinienem dać personelowi, gdy wyjadę stąd za trzy tygodnie. Myślę, że wystarczy po forincie na głowę. Jest ich troje. A może po dwa forinty? Muszę kogoś zapytać.

Wczoraj spało mi się lepiej. Zacząłem przyzwyczajać się do zapachu łóżka. Pościel jest trochę wilgotna, ponieważ zawsze wieczorem mgła opada na dolinę. Dlatego spałem we flanelowej białiznie; bardzo jestem rad, że zabrałem ze sobą flanelową białiznę.

Przed zaśnięciem znów przerzucałem kartki zeszytu. Niewiele jest tego, co przed dwudziestu ośmiu laty zapisałem; wszystkiego siedemdziesiąt cztery strony. Jest kilka stron odrobinę mętnych, wydaje mi się, jakbym to nie ja pisał. Brzmia jakoś obco. Jakbym je skądś odpisał. Inny też był mój charakter pisma, zupełnie inny. Daleko bardziej niedbały, także wyniosły. Dzisiaj moje pismo jest całkowicie owalne, piszę powoli i bez skreśleń; w tym starym rękopisie litery są kanciaste, znać na nim pośpiech, jest też pełen skreśleń i poprawek.

Tutaj zacząłem pisać ten dziennik przed dwudziestu ośmiu laty. Był to pierwszy rok, kiedy wyjechałem na wakacje jako młody nauczyciel. Wtenczas otrzymałem pracę w Z., jako nauczyciel pomocniczy. Uczyłem już od roku. Takich początkujących, młodych nauczycieli my, starzy, nazywamy „cielętami”. Nie cieszą się dużym autorytetem. Na wykłady przychodzą do nas, starszych nauczycieli. Ja bardzo uważam, aby w czasie lekcji nie dać odczuć mło-

dym nauczycielom dzielącej nas różnicy wieku. Sam bowiem wiele wycierpiałem, kiedy byłem „cielęciami”. Miałem takie uczucie, że nauczyciel wykładowca jest w zмовie z uczniami i razem naśmiewają się ze mnie. Myślę, że właśnie tak było. Miałem też liczne kłopoty z garderobą; moje ubrania były bardzo biedne. Zadbane, ale biedne. Wychowankowie natychmiast zauważą coś takiego. Sporo wycierpiałem. Gdy teraz jakieś „cielę” trafi pod moją rękę, niezmiennie okazuję mu przesadną grzeczność. Wymagam, aby wychowankowie zwracali się do niego z szacunkiem. Siedzam go obok siebie, na katedrze. Wiem dobrze, ile sam wycierpiałem. Ślad tego znajduję również teraz, w tym dzienniku.

Zaraz na pierwszej stronie piszę o tym, że będę się ubiegał o wielką nagrodę Akademii w zakresie filologii. Było to naiwne samozaklinanie się; nigdy nie ubiegałem się o wielką nagrodę. W ogóle nigdy nie ubiegałem się o żadną nagrodę. Teraz już wiem, że moja wiedza filologiczna nigdy nie była dość głęboka, bym mógł ubiegać się o wielką nagrodę Akademii. Może starczyłoby na pośledniejszą nagrodę. Nic nie wiem. To dosyć dziwne, gdy pomyślę, że uczę już dwadzieścia osiem lat. Owszem, znam Horacego. Średniowieczny tekst po łacinie, nawet tekst całkiem mi nieznan, potrafię przeczytać bez trudu. Z Tacytem też jestem raczej oswojony, zwłaszcza z tymi rozdziałami, które odczytuję od dwudziestu ośmiu lat, ale to jest naturalne. Łatwiejszych autorów, Cycerona i Owidiusza również i dzisiaj czytam z rozkoszą. Cezar jest już trudniejszy. Nie śmiałbym przed obcymi zabrać się za Cezara bez przygo-

towania. Wziąwszy to wszystko razem, moja wiedza filologiczna jest żadna. Im dłużej uczę, tym mniej umiem. Jakbym wyczerpał to, co umiałem. Czy to możliwe? Nie sędzę. Nie wiem. Ale prawda jest taka, że zdolny ósmioklasista więcej ma wspólnego z filologią niż ja.

W tymże dzienniku znalazłem ślad paru młodzięcych projektów, które teraz odczytuję z przykrością. Na jednej ze stron używam zwrotu „zakładanie rodziny”. Tak mnie to niemile dotknęło, aż śmieszne, ale chyba się zaczerwieniłem. Poczułem się w środku tak, jakby mnie zawstydzono. Więc najprzód sam ten zwrot. Sztuczny, nie pokrywa się dokładnie z treścią. Człowiek nie „zakłada” rodziny; założyć można fundację albo jakiś instytut. Rodzina to jest coś innego. Inaczej trzeba się do tego zabrać, nie można tego założyć. Może trzeba zabrać się do tego zuchwale... Może udałoby mi się, gdybym raz w życiu był zuchwały. Ale nigdy nie byłem zuchwały. Na pewno byłem tchórzem. W pewnych sprawach ustępowałem, zostałem poskromiony. Bezsporny fakt, że nie założyłem rodziny.

W tymże dzienniku natrafiam również na ślad przypadku J. Stawiam tu jedynie dużą literę, od której zaczyna się jej imię, bo nigdy nie wiadomo, dokąd może trafić zapisane słowo. Prawda, że dzisiaj, po dwudziestu ośmiu latach, samo to wspomnienie straciło ostrość, wyraźnie złagodniało. Nie sędzę, aby dzisiaj ujawnienie tożsamości J. mogło mieć jakieś następstwa. Wszak, jeśli dobrze liczę, ma dzisiaj pięćdziesiąt lat i jest babcią. Wtedy mogła mieć dwadzieścia dwa lata. W tym dzienniku wspomi-

nam J. w związku z rodziną, jakbym coś planował. Dzisiaj więc mogę napisać prawdę, wiedząc, że nikomu nie wyrządę krzywdy. Bez wątpienia interesowałem się J. Bez wątpienia bywałem w jej domu. Możliwe, że popełniłem błąd, bywając tam częściej, niżby wypadało. Byłem u nich z dziesięć razy, kilkakroć na kolacji, zwykle jednak już po wieczery. To prawda, że zapraszał mnie tatuś J., z którym grywałem w taroka. Miałem prawo przyjmować owe zaproszenia w przeświadczeniu, iż chodzę tam grać w taroka. Dzisiaj, gwoli szczerości, mogę powiedzieć, że chodziłem tam nie z powodu taroka. Stanowczo byłem zainteresowany J. Jeśli dobrze pamiętam, miała miłą powierzchowność i ładny głos. Zawsze była bardzo czysto ubrana. Możliwe, że gdybym nie popełnił owego błędu — a może to oni popełnili błąd? — wszystko przybrałoby inny obrót.

Sądzę, że nie powinienem był posyłać kwiatów. Zważywszy, że za młodu byłem zamknięty i mało-mówny, ten bukiet kwiatów mogli wziąć za oświadczyiny. Mogli zrozumieć to tak, iż jestem nadmier-nie zamknięty w sobie i ten bukiet kwiatów to właś-nie moje oświadczyiny. A to była pomyłka. Dzisiaj równie dobrze wiem, że nie przeznaczyłem tych kwiatów na oświadczyiny. Gdzież mi wtenczas było do oświadczyin! Ani mi w głowie było oświadczać się. Po prostu, chciałem być uprzejmy, ponieważ po-proszono mnie na obiad. W owym czasie jadłem już u nich trzy albo cztery razy. Chciałem się odwdzię-czyć za okazaną mi życzliwość. Żyłem w tym mie-scie sam i bywałem jedynie u nich. Sądzę, że to jed-nak oni popełnili błąd. Gdyby wtedy tak się nie u-

brali, wszyscy, cała rodzina tak odświętnie... Ja sam przyszedłem w szarym ubraniu. Zauważyłem, że się rozczarowali na widok mojego ubrania. Ojciec J. był w czarnym ubraniu. Jej mama również była w czarnej jedwabnej sukni. J. była w białej sukni, a mój bukiet stał na środku salonu, w wielkim wazonie, jedyny i szczególny, na małym stolczku. Bez wątplenia, bukiet był stanowczo za duży. W czymś takim nigdy nie znałem umiaru. Dziś jeszcze pamiętam, że kosztował dwa forinty; nic dziwnego, iż rozumiano mnie opacznie. To było straszne; kiedy J. podeszła do mnie i podziękowała mi za kwiaty, ja tylko coś tam bąknąłem, a jej tata powiedział: „Ach ta młodość... Lekkomysłna młodość!...” Zrobił do żony perskie oko i wszyscy się roześmiali. W pokoju był również młodszy brat J., przyszczaty wyrostek, którego nie znosiłem. Patrzył na nas, szczerząc zęby. I raptem naszło mnie przecucie, że zostałem opacznie rozumiany.

Długo przyszło czekać na obiad. Wszyscy patrzyli na mnie, nie kryjąc zdziwienia, albowiem byłem w szarym ubraniu. Siedzieliśmy w salonie i czekaliśmy na obiad. Pierwsza wyszła mama J. Potem wyszedł również starszy pan. Najdłużej pozostał wyrostek, który spoglądając na przemian to na mnie, to na J., bez przerwy szczerzył zęby. Pamiętam, że pot zrosił mi czoło. Nie byłem w stanie wyrzec jednego słowa. Myślę, że gdyby wszyscy nie wystąpili w czerni, a J. w bieli, zachowywałbym się zupełnie inaczej. Możliwe nawet, że w czasie obiadu poprosiłbym o rękę J. Ale w tej sytuacji, pamiętam to doskonale, ogarnęła mnie wściekłość. Nie nastawiłem

się zawniasu na podobny problem i to mnie krępowowało. Gdy pozostaliśmy z J. sami, spojrziałem w okno. Jeszcze dziś pamiętam zasłonę; była brązowa i odrobinę zakurzona. Zaschło mi w gardle, nie byłem zdolny przetknąć śliny.

Milczałem przez cały obiad. Po pieczystym oni także zamilkli. Ojciec nie odezwał się do mnie. J. po pieczystym wyszła z pokoju, a kiedy wróciła, miała zaczerwienione oczy. Nie śmiałem spojrzeć na nikogo. Dwa razy nałożyłem sobie mięsa, chociaż nie smakowało mi, po prostu dlatego, żebym nie musiał mówić; z pewnością zrozumieli mnie opacznie. Uznali, że przychodziłem jedynie po to, aby się nażreć, bez poważnych zamiarów. Za późno było na jakiegokolwiek wyjaśnienia. Nigdy nie zwracałem większej uwagi na jedzenie. Przy owocach członkowie rodziny rozmawiali cicho już tylko między sobą, jakby mnie tam w ogóle nie było. Pamiętam, że był melon. Wyszedłem, nie pożegnawszy się z matką. Zawniasu wyszła z pokoju, aby uniknąć pożegnania. J. na pożegnanie powiedziała tylko to: „Bóg z panem”. Głos miała stłumiony. Później widywałem ją czasami na ulicy i zawsze bardzo głęboko się jej kłaniałem. Ale już nigdy więcej nie poszedłem do nich. Nie jestem naturą towarzyską. Nigdy więcej nie bywałem w domach z panną na wydaniu. Ostatecznie zapisałem się do kasyna. Bóg raczy wiedzieć, może to również był błąd.

W każdym razie sprawiło mi przyjemność wyjaśnienie, przed sobą samym, tej historii. Z dużego dystansu widzę teraz jasno, że nie popełniłem żadnego istotnego błędu. Błędem była wielkość bukie-

tu; ale to było do wybaczenia. Swoją drogą nigdy, ni słowem, ni czynem nie upoważniłem rodziny J., iżby rościła sobie pretensje względem mojej osoby. Stwierdzam dzisiaj szczerze i uczciwie, że nikogo nie skrzywdziłem.

Zawsze byłem naturą odrobinę zamkniętą. Pewne sprawy nadzwyczaj mnie krępowały i denerwowały. Co się tyczy ciała, nadzwyczaj krępuje mnie kwestia intymna. Wiem, co to jest miłość, ale nie wyobrażam sobie, aby ktoś mógł się myć w obecności kobiety. Czegoś takiego nie pojmuję, i sprawia mi wielką przykrość, gdy coś takiego widzę lub słyszę, lub myślę o czymś takim.

Jest mi szczególnie przykro, gdy zapisuję coś takiego, jak powyższa uwaga. Wszystko, co zostało zapisane, wydaje się inne, nieomal tak konkretne jak rzeczywistość. Pomyślana nieskromność nie budzi niesmaku; nieskromność zapisana jakby na polu się wydarzyła. Ale coś mnie kusi i pcha ku temu, aby opisywać wszystko, co mi się nasunie pod pióro. Ten dziennik nieskończenie mnie uspokaja. Jestem sam i nie mam nic innego do roboty. Założmy, że piszę swoje memuary. Każdy w moim wieku ma do tego prawo. Co prawda, nie starczy tych memuarów na wiele stron. W gruncie rzeczy nic specjalnego nie zdarzyło się w moim życiu. Czego przyczyną byłem ja sam, nie zaś „przeznaczenie”. W przeznaczenie nie wierzę. Człowiek sam kieruje własnym życiem. Gdybym jeszcze raz zaczynał od nowa, być może pokierowałbym nim inaczej. Pewnie wszystko zrobiłbym inaczej. Był ze mnie tchórz

i wygodnicki. W ten sposób człowiek nie dojdzie do niczego. Śmieszne, że o tym piszę, bo przecież dzisiaj jest już za późno. Mam swoje lata i jak to się mówi, wyglądam, jak wyglądam, jestem niewolnikiem mojego sposobu życia i okoliczności.

Owszem, to okoliczność — moja podróż — mogłaby mnie napętniać otuchą. Chociaż nie jestem tego pewien. Bo jeśli to wszystko tylko słomiany ogień. Albo jakiś nerwowy symptom. Z pewnością musi to być jeden z objawów starości.

A wszystkim zaczęło się od tego plakatu w kasynie.

Głupia sprawa; ale jak chwytiliwe są te plakaty! Myślę, że przynajmniej raz w życiu złapią każdego człowieka. Może gdybym był majątny i niezależny, to dzisiaj nie siedziałbym tutaj, w Virágfüred, na balkonie willi „Tivoli”, trzy godziny pociągiem do Z., ale na pokładzie jakiegoś dużego statku. Jak to widziałem na wspomnianym plakacie: starszy pan, brodaty, z fajką w ustach, w czapce podróżnej, owinięty w pled, leżakuje sobie na pokładzie dużego statku... Po pokładzie przechadzają się młode damy w towarzystwie panów. Widać białą kratę pokładu, koła ratunkowe z namalowaną na nich nazwą statku, i ta nazwa także jest osobliwie kusząca i obca: „Vera Cruz”. Niektóre obce słowa mają w sobie potężną siłę przyciągania. Widać też zielony pas morza i dwie mewy. Uważam, że ten plakat bardzo się udał. Jeśli dobrze pamiętam, można było tym statkiem popłynąć do Brazylii. Brazylia; to tak, jakbym powiedział: tamten świat. Nieosiągalny. Czy tęsknię za nim? Nie, ponieważ nie wiem, jaki on jest.

*Ignoti nulla cupido*¹. Jednakowoż, gdybym miał pieniądze, gdybym nie był mną, może bym już płynął. Właśnie tym statkiem... Do Brazylii. Teraz potrafię się z tego śmiać. Ale wówczas, w owej chwili... Mogła być dziewiąta wieczorem. Z trudem to sobie przypominam. Cały dzień trwały egzaminy maturalne. Komisarz z ministerstwa robił nieprzyjemności nauczycielowi historii. To młody, bardzo młody kolega. Niedawno ukończył uniwersytet. Prenumeruje gazety i pisuje do pewnego radykalnego czasopisma. Znam to, jakbym to już gdzieś widział. Powiada się o tym naszym koledze, że ma zbyt liberalne poglądy. I historię traktuje wedle zasad „materializmu historycznego”, jak to sam kiedyś powiedział. Biedak. Dyrektor, który nie jest człowiekiem ograniczonym, raz jeden rozmawiał ze mną o nim. Nie o materializmie historycznym, lecz o naszym młodym koledze. Machnął ręką i powiedział: „Trzeba go zostawić”. Milczał. Potem: „Podda się dyscyplinie”. Co nadzwyczaj mnie zaskoczyło. To jedno zdanie wiele powiedziało mi o tym człowieku, to znaczy o dyrektorze. Pamiętam, że popatrzyliśmy sobie w oczy z pewnym skrępowaniem i roześmialiśmy się. Potem chrząknął. Przyznałem mu rację: podda się dyscyplinie. Ja także się poddałem. Dyrektor też się poddał. Wszyscy jesteśmy smutnymi szkapami: prawdopodobnie na nic innego nie zasługujemy. Nie nadajemy się do wyścigów; brak nam

¹ *Ignoti nulla cupido* (łac.) — nieznanne nie nęci. Owidiusz, *Sztuka kochania*, księga III, w. 397. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

stosownych uzdolnień. Jesteśmy szkapami, tak, jesteśmy szkapami narodu. Komisarz słyszał, że coś tam poszeptują o nauczycielu historii. Matura była burzliwa, młody kolega cierpiał. Widziałem to po nim; już zaczyna się poddawać. Szybko poszło, wystarczył zaledwie jeden rok. Uniżenie odpowiadał, uniżenie pytał. Wieczorem poszliśmy razem do kasyna. Był wielki upał. Na schodach poszedł przodem, ja zatrzymałem się przed plakatem. Musieli go wywiesić po południu. Byłem okropnie zmęczony.

Pierwszym moim wrażeniem było silne zaskoczenie: jak taki plakat trafił do naszego miasta? I w jakim celu właśnie tutaj? Któż bowiem wybiera się stąd do Brazylii? Musiałem się roześmiać. A potem przyglądałem się plakatowi bez emocji. Szczegółowo obejrzałem rysunek, każdą kreskę. Pamiętam, że zrobiłem coś niedorzecznego i niemądrego: nachyliłem się i z bliska powąchałem kolorową farbę. Miała silny, świeży zapach, obcy zapach, zapach farby drukarskiej, ale mnie w owej chwili podobał się on tak bardzo, jakbym wąchał morze, jakby ten surowy, silny zapach farby był podobny do zapachu morza. Nie mam pojęcia, jak pachnie morze. Mówią, że czuć je solą. Ten silny zapach tak mnie wciągnął, tak podrażnił, że musiałem jeszcze bardziej przybliżyć się do papieru. Mój nos nieomal wgniótł się w papier. Czuję się tak, jakbym tracił przytomność, jakbym miał zawrót głowy. Oparłem się rękami o ścianę, żeby nie upaść. Lecz uczyniłem to na pół świadomie. Z pewnością przyczynił się do tego upał, w grę wchodziły też inne okoliczności owego emocjonującego dnia. Jak długo mogłem tak stać?

Minutę? Dziesięć minut? Nie wiem. Naraz spostrzegłem, że łzy płyną mi z oczu. Muszę dokładnie opisać, jak to się stało. Muszę stwierdzić, że nie płakałem, lecz łzy płynęły mi z oczu. Oczywiście, ktoś kto mnie wtedy widział, łatwo mógłby uwierzyć, że płaczę. To, co robiłem, było uderzająco podobne do płaczu: łzy płynęły mi z oczu, ciężko dyszałem, sądzę również, że słyszałem załamujący się głos. Muszę przyznać, że ktoś, kto mnie wtedy widział, łatwo mógł uwierzyć, że z jakiegoś powodu płaczę. Rzecz inna, że zwazywszy mój wiek i pozycję, domysł ów byłby niedorzeczny i śmieszny... Człowiek nie płacze bez przyczyny. Nawet wtedy, gdy jest powód, stara się nad sobą zapanować. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek płakał. Nawet kiedy zmarła moja mama, mocno wziętem się w garść. Nie, to było coś innego: płynęły mi łzy. Płakały moje oczy, moje ciało, moja głowa. Na chwilę odmówiły mi posłuszeństwa. Myślałem, że zemdleję. Zakryłem twarz rękami. Łzy przepływały mi między palcami. Oprzytomniałem, gdy ktoś dotknął mojego ramienia. Nigdy nie przypuszczałem, że spotka mnie coś takiego. Stał przede mną ów młody kolega, nauczyciel historii. Nie dziwił się niczemu, jedynie uśmiechnął się. Powiedział: „Powinieneś odpocząć”. A potem: „Otóż to, otóż to”. Potem: „To jest kryzys kretów”. Nie zrozumiałem go od razu, a on niczego nie objaśnił, nie było też ironii w jego głosie. Patrzył na mnie życzliwie, teraz mam takie wrażenie, jakby patrzył na mnie z czułą przyjaźnią. Myślę, że tak czule patrzy ktoś, kto patrzy na człowieka. Nie przypominam sobie,

aby kiedykolwiek ktoś patrzył na mnie w ten sposób albo żebym ja tak patrzył na kogoś. Dawno, bardzo dawno, tylko w pierwszych latach mojego chłopięctwa ktoś tak patrzył na mnie. Mama? Czy któryś z rówieśników? Chłopcy w pewnym wieku potrafią patrzeć z takim zrozumieniem. Ujął mnie pod ramię i wolno poszliśmy schodami w górę. Nie mówiliśmy nic. Nie pytał o nic. Czytaliśmy gazety. Kiedy się żegnaliśmy, powiedział: „Jeżeli mogę ci doradzić, wybierz się w podróż. Wyjedź”.

Zasnąłem tej nocy zupełnie wyczerpany. Skończył się rok szkolny, był upał, w gimnazjum nie miałem już nic do roboty. Nazajutrz pozostałem w łóżku do południa.

Wtedy, przed południem, w łóżku, rozumiałem, że nie mam nikogo. Nie ma jednej duszy, nie ma jednego człowieka na ziemi, który byłby mi bliski, którego bym kochał. Możliwe, że nie tylko ja jestem taki. Myślę, że miałem gorączkę. Przypomniałem sobie ten zeszyt i poszukałem go na spodzie szafy, pośród starych książek. Przez dwa dni nie wychodziłem z domu, cały czas czytałem ten zeszyt. Równocześnie myślałem o tym, żeby się wybrać do lekarza. Ale ja nigdy nie chorowałem i dziwna odraza lub też wstyd albo tchórzostwo nie pozwalało mi rozmawiać z kimś obcym o sprawach mojego ciała. Od dawna, może już od piętnastu lat żyję zupełnie samotnie. Nie mam powiernika wśród znajomych. Z ludźmi stykam się podług jakiegoś gotowego, z góry określonego i wydrukowanego rytuału. Kłaniam się nisko. Ładna pogoda. Światło kosztuje. Czy pan już słyszał? Wybiera się pan do kasyna? Chłopiec do-

brze się uczy. Nie mogę dłużej ukrywać, chłopak jest niechlujny. Płacić. Do widzenia. Jestem do usług.

Gdybym zechciał, bez trudu policzyłbym wszystkie słowa, jakie wypowiadam na głos w ciągu całego roku.

Jednakże nie od razu wybrałem się w podróż. Musiały minąć trzy tygodnie, nim wyruszyłem z domu. Z początku miałem nadzieję, że to minie... Ta nerwowość. Dużo spacerowałem. Latem Z. jest piękne, niczym jakieś uzdrowisko. Na korso wokół Baszty znam i kocham każde drzewo, każdego kasztanowca. Niektóre z nich pamiętam z czasów, gdy były sadzonkami. Teraz są to drzewa rozłożyste, zeszarały się. Lubię także tutejszą okolicę, drogę przez las w stronę Kóródu. Spodziewałem się, że to minie, jeśli będę dużo chodził, jeśli będę żył zdrowiej, że minie ta nerwowość. Ale nerwowość nie minęła. Czułem się coraz gorzej. W nocy nie mogłem spać. Stale bolała mnie głowa w pewnym punkcie, w części potylicznej, niezmiennie w tym samym miejscu. Gdyby teraz jakiś lekarz zapytał mnie, jak nazwałbym te objawy, nie potrafiłbym mu odpowiedzieć. Nic mnie nie boli. Mam apetyt, w każdym razie do stołu zasiadam z apetytem. Po dwóch, trzech kęsach czuję, że się najadłem, czy może raczej tak, jakby mnie nudziło jedzenie. Mój organizm domaga się pokarmu, lecz mój apetyt nie ma takiego życzenia. Czasami czułem, że będzie lepiej, jeśli będę pił wino. Niewiele: lampkę do posiłku, dwie-trzy lampki po kolacji w kasynie. Potem zaniechałem tego na całe lata, przez długi czas wino mi nie smakowało. Nawet nie myślałem o nim. Dopiero teraz pomyśla-

łem, że może to wino. Ale nie wina mi brakowało, tego też nie. Po winie moja nerwowość nie zmniejszyła się.

Ja nie wiem, skąd się bierze ta nerwowość.

Wtedy również pomyślałem, że może któregoś wieczora zajdę do domu pani Hajnikowej. Piszę także o tym, ponieważ chcę pisać o wszystkim: mam nadzieję, że poczuję się lepiej, gdy wszystko dokładnie opiszę. Zresztą nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Przed paroma laty bywałem tam regularnie. To smutny dom, nie każdy dom jest taki. Smutny i pusty. Koledzy też tam zachodzili, także oficerowie. Pewnego wieczoru znowu poszedłem do domu Hajnikowej. Jednakowoż moja nerwowość nie osłabła. Dlatego też nie zaszedłem tam już nigdy więcej.

Ta nerwowość jest mniej więcej czymś takim, jak pragnienie. Albo jakby człowiek marzył i nie mógł nigdzie znaleźć ciepła. Albo jak bezsenność. Albo jak głód. Nie wiem. Czasami nie czuję nic całymi dniami, jakby gdzieś się przyczaiła. Ta nerwowość. Potem, nieoczekiwanie, dopada mnie. Zauważyłem, że czasami zaczynają mi drżeć ręce. I jakby mi ślina napłynęła do ust. Czasami trwa to godzinami. Dopiero pod koniec trzeciego dnia zdecydowałem, że jednak wyjadę.

Nawet nie zauważyłem, że od pięciu dni, od kiedy tutaj jestem, nerwowość jakby zelżała.

7 sierpnia

Obliczyłem, że jest nas tutaj, w całym ośrodku, w pełni sezonu, trzydzieścioro sześcioro gości. Dzień-

zawca skarżył mi się, że interes się psuje. Biedak jest zrozpaczony. Żal mi go. Od trzech lat wynajmuje ten zakład. Chętnie bym mu pomógł, gdybym potrafił. Staram się, na swój sposób, przyjść mu z pomocą, na przykład do obiadu zawsze zamawiam pół karafki białego wina, z tych droższych; chociaż wino jest złe i w ogóle mi nie smakuje. Jedzenie też nie jest specjalne. Wczorajsza nerkówka cielęca miała niemiły zapaszek. Ale nie odesłałem jej do kuchni, tak samo, jak nie odesłałem wina, choć zalatywało beczką. Pozostawiłem wino na stole i w każde południe zamawiam nowe pół karafki.

Nie rozumiem, dlaczego jest nas tak mało? Dzierzawca twierdzi, że ten ośrodek wyszedł z mody. To możliwe; nie znam modnych miejsc. Pewnie wszystko tutaj jest teraz staromodne. Na przykład nie ma elektrycznego oświetlenia. W sali jadalnej palą się lampy naftowe, a w pokojach mamy woskowe świece. Może to również odstrasza ludzi; mnie jest wszystko jedno.

W jadalni widuję głównie rodziny, matki z trojgiem, czworgiem dzieci. Jest nas tylko troje samotnych gości. Każdy z naszej trójki siedzi oddzielnie, przy osobnym stole. Jedną z samotnych osób jest pewna pani, starsza dama o siwych włosach, która w czasie obiadu czyta książkę. Drugim jest pan w średnim wieku, którego jeszcze nie widziałem z bliżka. Ja jestem trzecim samotnym gościem.

Postanowiłem, że przez kilka dni nie ruszę się po obiedzie z tego balkonu. Wniósłem tu sobie leżak i leżę w słońcu.

10 sierpnia

Dzisiaj jest niedziela. Z sąsiedniej miejscowości przybył pleban i odprawił mszę dla letników. Za willami, na wzgórzu, jest niewielka kaplica, całkowicie zaniedbana, bez zakrystii. Któregoś razu, mijając ją podczas spaceru, zajrzałem do środka przez zakratowane drzwi. Kapliczka jest zatęchła i rozpada się jak cała osada. Wydaje się, że wszystko tu zmierza ku końcowi. Dzierżawca powiedział mi wczoraj, że to jego ostatnie tutaj lato, zamierza przekazać ośrodek w inne ręce. Chce otworzyć kinematograf w Szegedzie, skąd pochodzi.

Dni tutaj są tak podobne do siebie, że niedzielę poznaję tylko po dźwięku dzwonu. Kiedy zszedłem na śniadanie, jadalnia była już zupełnie pusta. Jedyne ów samotny pan siedział przy moim stole i czytał gazetę. Nie chciałem mu przeszkadzać ani też dać do zrozumienia, że pewnie przez omyłkę usiadł na moim miejscu. Dlatego zająłem miejsce przy sąsiednim stole. Gdy przyniesiono mi kawę, samotny pan spojrzał znad gazety i poznał mnie.

— Przepraszam — powiedział — że zająłem pańskie miejsce.

Poprosiłem go, żeby sobie nie robił subiekcyj. Tak też pozostało. Kiedy zapaliłem fajkę, wszcząłem rozmowę. zaproponował mi gazetę, z czego nie skorzystałem, ponieważ nie była tą, którą normalnie zwykłem czytać. Czytał gazetę, o której się mówi, że liberalna. Nic mi do tego, ale na wszelki wypadek zwróciłem na to uwagę. Potem, uśmiechając się i pokazując dokoła, powiedział:

— Trzoda poszła na mszę. Tylko my dwaj zostaliśmy, czarne owce.

Powiedział to żartem, ale ta poufałość, a osobliwie ów ironiczny ton, jakim to wyrzekł, niemile mnie dotknęły. Przyjrzałem mu się uważniej. Brunet, o pryszczatej twarzy, bardzo blady. Może mieć trzydzieści pięć lat. Odziany w czarne ubranie, jakby chodził w żałobie. Wystrzępiony krawat i niezbyt czysty kołnierz. Bez wątpienia, w tym, co i jak nosi, jest coś niechlujnego. Włosy ma gęste, przetłuszczzone, czarne, niesforny lok spada mu na czoło. Błada, pryszczata twarz lśni, jakby i ona była przetłuszczona. Za paznokciami żałoba. Cały ten człowiek robi wrażenie nieczystego. Usta ma uderzająco nabrzmiałe i czerwone, niemal krwiste. Oczy głęboko osadzone. Interesujące oczy, nadzwyczaj niespokojne, błyszczące oczy. Stale się uśmiecha, nieco ironicznie, jakby się czegoś wstydził i ową ironią osłaniał swoje zakłopotanie. Nad skroniami ma siwe pasemko, nie jest siwy, tylko to śnieżnobiałe pasmo szerokości palca. Mówi prędko i bardzo chrapliwie. Tak głucho i chrapliwie, i tak prędko, że muszę się wysilać, gdy chcę pojąć jego słowa.

Nie odpowiedziałem mu.

Nie wprawilo go to w zakłopotanie.

— Właściwie, dlaczego nie? — powiedział. — Nie musi być zła taka cicha niedzielna msza w środku lasu. Zapach kwiatów i świec, nie? Trzeba było pójść.

Gdyby nie mówił tego tak chrapliwie i prędko, gdyby na domiar złego nie szczyrzył zębów, może bym zaczął z nim rozmawiać. Aczkolwiek było w

jego uwadze coś nieczystego i nieprzyjemnego. Raptem usłyszeliśmy dźwięk dzwonu. Szczerze mówiąc, nie miałem zamiaru pójść na mszę. Nie jestem człowiekiem niewierzącym, ale rzadko chodzę na mszę. Teraz, gdy to napisałem, czuję, że napisałem coś gotowego, coś sztucznego, co automatycznie spłynęło mi z pióra: „Nie jestem człowiekiem niewierzącym”. Jednocześnie czuję, że nie mam pojęcia, czy jestem człowiekiem niereligijnym, czy nie jestem? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Wydaje mi się, jakkolwiek brzmi to śmiesznie, że to, czy jestem religijny, czy nie, jest dla mnie całkowicie nowym problemem. Możliwe, że jestem wierzący. Nie żywię niechęci względem religii. Gotów byłbym przestrzegać przykazań... ale nie przestrzegam. Nie spowiadam się, nie przystępuję do komunii. W ogóle rzadko chodzę do kościoła, tylko na uroczyste nabożeństwa, kiedy muszę towarzyszyć moim wychowankom. Gdyby jakiś ksiądz mnie przepytał, myślę, że nie byłby ze mnie zadowolony. Nic na to nie poradzę. Powinienem się nad tym zastanowić.

Zapach kwiatów i świec... nie lubię, gdy ktoś w ten sposób wypowiada te słowa. I w dodatku szyderczo się uśmiecha. Dałem mu wymijającą odpowiedź i wyszedłem. Kiedy zmierzałem do kaplicy, nie opuszczało mnie uczucie, że ów samotny gość nadal siedzi przy stole, przy moim stole, i zastanawia się, czy pójść na mszę. Z okna jadalni widać kaplicę i prowadzącą do niej drogę. Czuję na plecach jego spojrzenie. Najchętniej bym zawrócił. Zapach kwiatów i świec — tak powiedział. Jeszcze na zwirowanej drodze postanowiłem pójść na mszę, właś-

nie dlatego, że tak to powiedział. Nieprzyjemny człowiek. Co to za typek? Nie robi wrażenia zdrowego. Możliwe, że coś mu dolega, może jest bardzo chory, dlatego wciąż, z jakimś takim zakłopotaniem, szyderczo się uśmiecha. Nie potrafię sobie wyobrazić, czym też się zajmuje? Nie sądzę, aby był nauczycielem. Bardziej pasuje mi do niego jakiś wolny zawód. Nie wiem. Gdy zbliżałem się do kaplicy, byłem już mocno zdenerwowany. Drażniło mnie, że nie spuszcza ze mnie oka; bo czułem ponad wszelką wątpliwość, że patrzy na mnie i próbuje odgadnąć: wejść do środka czy nie wejść? Jeżeli wejść, wzruszy ramionami, i pozostanie tam, jako jedyna czarna owca. A właściwie, co mnie obchodzi, co on sobie myśli? Byłem nerwowy i rozdrażniony. Kiedy dotarłem do kaplicy, usłyszałem przez otwarte drzwi dźwięk dzwonka ministranta. Dawno nie byłem na mszy. Przyszło mi do głowy pierwsze zdanie, pierwsze zdanie ministranta: *Introibo ad altare Dei... ad Deum, qui laetificat iuventutem meam*. Przystępuję do Boga, który uwesela moją młodość. Moją młodość? Niegdyś często służyłem do mszy. Jeszcze mam w nozdrzach zapach służenia do mszy zimową porą. Zapach wina, wosku i kadzidła w przegrzanej zakrystii. Chyba ze czterdzieści lat temu. Z takimi myślami dotarłem do drzwi kapliczki. Była pełna. Widziałem, jak ksiądz, stojąc po lewej stronie ołtarza, czyta ewangelię. Ruszyłem z miejsca, aby wstąpić na pierwszy stopień, bo przecież chciałem wejść do środka. I raptem skręciłem w prawo, w stronę lasu. Złościło mnie, że ten facet to widzi. Gniewało mnie, że ktoś mnie kontroluje — wejść czy nie wejść do środka? I z tej

złości nie poszedłem na mszę. Nie to, abym się wstydział przed nim wejść do kaplicy. Bzdura. Czego miałbym się wstydzić? Ale to, że w ogóle ktoś waży się mnie obserwować.

Później, idąc już drogą przez las, pomyślałem sobie, że prawdziwy chrześcijanin właśnie w takiej sytuacji niechybnie poszedłby na mszę. Możliwe, że nie jestem dobrym chrześcijaninem.

11 sierpnia

To jest wyjątkowo bezczelny człowiek, a dzisiaj znów, przy śniadaniu, miałem nieprzyjemność go spotkać. Jest pleciugą, bez przerwy miele językiem, no i jest bezceremonialny. Przywitał mnie tak, jakbyśmy byli starymi znajomymi i od razu przysiadł się do mnie. Znowu zaproponował mi gazetę. I raptem zaczął tymi słowy:

— Szkoda, że nie przyszedł pan wczoraj na mszę. Była bardzo piękna. Ja poszedłem i nie żałuję.

Wprawił mnie w takie zakłopotanie, że nie potrafiłem należycie zareagować na tę uwagę. Jak człowiek może ubolewać nad tym, że poszedł na mszę? Ale jego nachalność jest po prostu rozbrajająca. Jeszcze nigdy nie spotkałem człowieka równie zuchwałego i natrętnego. Jestem przy nim bezradny, ale też nie mogę się uskarżać; w gruncie rzeczy nie zrobił mi nic złego. Dziwni ludzie żyją na świecie. Ja nie potrafię wyobrazić sobie takiej porażki, takiej opresji, która kazałaby mi zwrócić się do kogoś z podobną poufałością, jak to czyni ten człowiek.

— Kiedy pan szedł drogą — powiedział — ja pa-

trzyłem stąd, z okna. Pan chodzi wolno, co panu dolega? Na oko ma pan dopiero czterdziestkę. Ach, to życie na prowincji! Konserwuje siły. — Znowu szyderczo się uśmiechnął. — Słowem, założyłem się, czy wejdzie pan do kaplicy. Tylko tak się założyłem, z samym sobą, jak zwykle. Mam *Blick*¹ na takie rzeczy. Pomyślałem sobie: może ten pan zechce teraz pójść na mszę. Bo wie, że patrzę na niego. Teraz myśli o tym, że właśnie dlatego pójdzie na mszę. A co on mnie obchodzi? — myślał pan. — Obcy facet, który całkiem zbytecznie chce się przekonać, czy ja pójdę, czy nie pójdę na mszę. Nieprawdaż? Wyjątkowo nachalny człowiek! Czy nie myślał pan właśnie tak? Przyznaje pan?...

— Nie mam panu nic do powiedzenia — odrzekłem surowym tonem.

Przyznaję, że postąpiłem grubiańsko. Ale ta jego paplanina była nie do zniesienia. Nagle, gdy wyrzekłem te słowa, zrozumiałem, że jakoś źle to wyszło. W gruncie rzeczy nie zrobił mi nic złego. Papla i spoufala się — taką ma naturę. Nic na to nie poradzi. Możliwe, że coś go trapi. Cóż wiemy jedni o drugich? Nic, nic.

Pożałowałem go. Naraz, jak zauważyłem, zrobił się cichy i pokorny. Zaczął mrugać czarnymi, błyszczącymi oczami, patrząc na mnie spode łba. Uśmiechał się, lecz wyraźnie zmieszany i strapiiony.

— Proszę pana — powiedział — nie chciałem pana obrazić. Jeśli tak pan to odebrał, przepraszam najmocniej... byłem jak najdalszy... nie miałem za-

¹ *Blick* (niem.) — spojrzenie; tu: oko.

miaru obrazić pana profesora. Ja chciałem tylko porozmawiać.

To ostatnie zdanie wypowiedział z zażenowaniem, zupełnie inaczej niż poprzednie. Uśmiechał się z zakłopotaniem. Jeśli mam być szczery, miałem ochotę wstać i zapewnić go, że nie obraził mnie. Ale widać funkcjonuje w nas jakaś zła wola, fałszywy wstyd i pycha, które nie pozwalają nam powiedzieć w takich chwilach tego, co byśmy chcieli. Myślę, że w głębi serca byłem zaskoczony rezultatem mojego wystąpienia, tym, że jednym energicznym zdaniem tak skutecznie zmusiłem go do milczenia. Bardzo rzadko zdarzało mi się tak skutecznie zmusić kogoś do milczenia. Jeśli dobrze pamiętam, to ja jestem tym, który zazwyczaj milczy. Teraz, zamiast wyciągnąć do niego rękę, powiedziałem:

— Pan mnie nie obraził. Kim pan jest? Śmiechu warte. I skąd pan wie, że jestem profesorem? Czego pan chce ode mnie?

Możliwe, że krzychałem. Wstał, jakby chciał uklonić się i odejść — ale jeszcze przez dobrą chwilę stał, lekko pochylony. Kiedy spojrzałem mu w twarz, od razu przeszła mi złość. Był śmiertelnie błądy. Teraz zauważyłem, że spodnie ma wypchane na kolanach i wystrzępione mankiety. Kołnierzyk niezmienny od wielu dni, krawat poplamiony i pomięty. Wzrok miał taki zmęczony, więcej niż smutny, że nie wytrzymałem i odwróciłem głowę. Tłumaczył się unizenie, jak jakiś służący:

— Od dzierżawcy wiem, że jest pan profesorem. Przepraszam, jeżeli przeszkadzam. Ja naprawdę chciałem tylko porozmawiać. Przepraszam. To już się

więcej nie powtórzy. Oto moja wizytówka, jeśli pan profesor pozwoli.

Wyjął sparciały portfel z czerwonej skóry i długo w nim szukał palcami szarymi jak popiół. Wreszcie wręczył mi cienki i długi bilet wizytowy, ja również wstałem i wręczyłem mu moją wizytówkę. Sądzę, że wbrew temu, co sugerowałaby jego zuchwałość, człowiek ów nie ma szczególnej praktyki w zawieraniu znajomości. Obaj byliśmy zakłopotani. Jego bezczelność jakby wiatr zdmuchnął. Teraz to raczej ja byłem ten niewychowany. Przyjąłem wizytówkę, ale nie podziękowałem. Jedynie skłoniłem się i niewyraźnie wymówiłem nazwisko. On także uklonił się i raptem odszedł.

Patrzyłem na niego przez okno. Chód miał chwiejny, jakby się zataczał, szedł niepewnie. Niedbale i niepewnie. Zmierzał do „Vilmy”, był to trzeci dom licząc od „Tivoli”. Spojrzałem na jego wizytówkę:

ÁGOSTON TIMÁR

sekretarz

Budapeszt

Człowiek ze stolicy. Co za sekretarz? Zapytam o to dzierżawcę.

12 sierpnia

Zapytałem dzierżawcę. Zauważyłem, że nie ma specjalnie dobrego mniemania o swoim gościu. Powiedział, że w zeszłym roku pan Timár również bawił w Virágfüred. Przyjechał tu skierowany przez lekarza. Dowiedziałem się, że zeszłego roku był z

nim pewien mały kłopot. Pan Timár nie mógł wyjechać w porę, ponieważ nie przyszły doń pieniądze. Pozostał tu dziesięć dni dłużej, niż planował, i żył na kredyt. Wreszcie nadeszły pieniądze, ale nie dość, nie tyle, by mógł spłacić dług. Dzierżawca pozwolił mu wyjechać, bo nie miał innego wyjścia. Swoją drogą, po upływie dwóch miesięcy przysłał pieniądze. Ale nie z Budapesztu, z Wiednia. W tym roku znowu przyjechał, lecz dzierżawca nic o nim nie wie. Przebywa tutaj od dwóch tygodni i do tej pory płacił akuratnie. Bagaż ma nieznaczny — powiedział — ale krępował się poprosić go, aby zapłacił z góry. Nieborak — westchnął dzierżawca. I dodał: — Tacy są goście, proszę pana. Ja sam też jestem nieborakiem.

Nie wiem wiele więcej. Co za sekretarz? Może był sekretarzem hrabiego albo sekretarzem jakiejś partii? Możliwe, że teraz nie ma żadnej posady. Bez wątpienia, nieborak. Ja jestem taki sam. Owszem, mam stały dochód i jakieś tam pieniądze. No właśnie, nim tu się wybrałem, poszedłem do banku i dowiedziałem się, że mam na koncie sześć tysięcy czterysta forintów z odsetkami. Odkładałem to przez dwadzieścia osiem lat. To wszystko, co mam, ale nie można żyć bez żadnej finansowej rezerwy.

Teraz już trochę żałuję, że sprawiłem przykrość panu Timárowi. Nie widziałem go dzisiaj ani na śniadaniu, ani na obiedzie. Możliwe, że posila się w swoim pokoju. Niewykluczone, że wybrał się na wycieczkę.

Uważam, że nic mi do tego, może przychodzić i wychodzić jak mu się podoba, nie chcę się nim wię-

cej zajmować. Nic mnie to nie obchodzi. Nie po to tutaj przyjechałem, żeby medytować nad losem panna Timára.

Mam takie uczucie, że niewłaściwie odpoczywam. Odpoczywam tak, jakbym miał jakąś pilną sprawę do załatwienia; odpoczywam tak, jakby tą pilną sprawą było to właśnie, że mam odpoczywać. Prawdopodobnie tak postępować nie wolno. Gdyby był tu lekarz, zasięgnąłbym u niego rady; ale nie ma go tutaj. Kąpielisko, w którym nie ma lekarza! Zaiste, prymitywne miejsce. Nie nadają za światem. Gdybym zachorował, trzeba by było posłać konie po lekarza z Popradu.

Co wieczór czuję się tak, jakbym był słabszy, niż przed moim przybyciem tutaj. Jestem wyczerpany i nie śpiam dobrze. Budzę się wcześniej, około szóstej; ale nie chce mi się wstać. Zmuszam się do wycieczki i pozostaję w łóżku. Dzisiaj rano obudziłem się bardzo wcześniej, zapaliłem świeczkę i spojrzałem na zegarek: była piąta. Gdy rozsunałem żaluzje, stwierdziłem, że już jest widno, tylko mgła spowija całą dolinę. Mgła nie wpływa na mnie dobrze. Wróciłem do łóżka. Przeleżałem tak bitą godzinę, czekając, aż mgła się uniesie. Około szóstej zaczęła rzednąć, w końcu skryła się za górą. Wtedy ubrałem się i postanowiłem pospacerować. Przeszedłem się dolnym skrajem lasu, aż do starego młyna. Nie spotkałem nikogo. Ziemia była wilgotna. Taka poranna przechadzka najlepiej uspokaja. Długo przysłuchiwałem się ptakom. Minęła ósma, nim wróciłem do jadalni, a wtedy już przygrzewało słońce.

Właściwie nie wiem, dlaczego to nieszczęsne biedaczysko nie przyszło na śniadanie? Czy aby się nie obraził? Bzdura. Nie chciałbym nikogo obrazić.

15 sierpnia

Od kilku dni żyję niemal bez ruchu. Na dodatek byłem zbyt leniwy, aby coś zanotować w tym zeszycie. Ale co? O czym mam pisać? O tym, że mój stan nie poprawił się — i nie umiem powiedzieć, dlaczego się nie poprawił? Podobnie nie potrafię powiedzieć, co mi dolega. — Po prostu nie czuję się całkiem dobrze i tyle. Pewne symptomy, które zrazu miałem za charakterystyczne, nagle uchodzą mi z pamięci. Zresztą, od pewnego czasu jestem roztargniony. Najchętniej siedzę beczynnym na balkonie i nie myślę o niczym. Czasami zasypiam. Rano i wieczorem krótki spacer, to wszystko. Bez ochoty schodzę na posiłki. Wyżywienie jest coraz gorsze. Dowiedziałem się, że mięso przywożą tylko dwa razy w tygodniu z Popradu. Nie może być więc świeże, no i ma zapaszek. Nie jest zepsute, ale zleżałe. Dlatego jadam raczej jarzyny.

Wczoraj i przedwczoraj śniłem. Nigdy nic mi się nie śni, a jeśli tak, to po przebudzeniu niczego nie pamiętam. Ale mam pewien sen, który powraca od czasu do czasu. Niekiedy powraca co noc przez cały tydzień. A potem znów latami nic. Wstrętny sen. Zawsze czuję się po nim wyczerpany i słaby. Myślę, że każdy człowiek ma w życiu taki jeden sen, który doń powraca. A oto mój sen:

Moja mama siedzi przy toalecie, przed lustrem i

czesze włosy. W tym śnie zawsze jest kobietą trzydziestoletnią; ja wtedy mogę mieć osiem, dziewięć lat. Jesteśmy w jakimś pokoju, oboje, mama i ja, pora jest ranna. Przedmioty znajdujące się w tym pokoju pamiętam jak przez mgłę: może to być pokój w mieszkaniu, które wynajęliśmy w Nagykanizsa, kiedy tatę mianowano woźnym w monopolu tytoniowym w tym mieście. Umeblowanie pokoju jest nader skromne, ale nie wszystko jest pozbawione gustu; stoją w nim meble mamy, które otrzymała w posagu. Pamiętam kredens, toaletkę, stojące lustro, trzy rzeźbione fotele. Mama w porannym stroju siedzi przed lustrem i czesze kasztanowate włosy; włosy są rozplecione i grzebień, który trzyma w ręce, prowadzi między splotami z góry na dół. Ja klęczę obok toaletki i płaczę, lamentuję i błagam mamę, która chce mnie za coś ukarać. Na toaletce leży gruba trzcinka, którą mama zwykła mnie chłostać. Nie pamiętam już swojej przewiny, za którą chce mi wymierzyć karę. W każdym razie rozdzierającym głosem zawodzę i krzyczę: — Mamusiu, proszę mnie nie bić... Proszę, mamusiu!... Przrzekam, że więcej nie będę!... Ojej, ojej, mamusiu!... Proszę mnie nie bić!... — Gdy tak wołam i lamentuję, czując na ciele gęsią skórkę, mama nawet na mnie nie spojrzy, nadal czesze włosy, patrzy w lustro i z jakąś osobliwą satysfakcją uśmiecha się, powtarzając niezmiennie: — Krzycz, synu, a krzycz ty sobie. Możesz błagać, ile ci się tylko podoba! Teraz, mój synu, uczeszę włosy, a ty przez ten czas będziesz klęczał. Kiedy skończę czesanie, wtedy tą trzcinką zbiję cię tak, jak jeszcze nigdy do tej pory. Ściągniemy ci spo-

denki, synu, żeby bardziej bolało. I zwiążę ci ręce, żebyś nie mógł sięgnąć za siebie. Rozumiesz? Niebawem będę gotowa, synu. A ty do tego czasu zostaniesz tutaj, na klęczkach. Zaraz zaczniesz się chłosta. Znasz tę trzcinkę? Poczekaj chwilę. Tylko zaplotę włosy. O tak! Jeszcze drugi warkocz. A ty przez ten czas klęcz i błagaj, synu. Na próżno błagasz, dobrze wiesz. Zwiążę ci ręce i ściągnę spodniki. Dostaniesz okropne lanie. Jeszcze nigdy nie dostałeś takiego lania. Teraz dostaniesz na gołe ciało... — Mamusia mówi bez przerwy, a przy tym niezwykle powoli czesze włosy i nie patrzy na mnie, patrzy w lustro i nieomal z radością się uśmiecha. Mój strach jest coraz większy. Składam ręce jak do modlitwy i błagam, żeby mnie nie biła, żeby nie biła mnie tylko tym razem. Twarz mam mokrą od łez i od potu. Narasta strach, wzmaga się poczucie zagrożenia we śnie, a mnie najsilniej dręczy to, że mama tak radośnie się uśmiecha. Dlaczego się uśmiecha? Dlaczego się cieszy? Sen zazwyczaj kończy się tym, że kiedy wydaje mi się, iż dłużej już nie wytrzymam ani oczekiwania na chłostę, ani strachu przed nią, mama jest wreszcie gotowa, zarzuca włosy na plecy, wstaje, bierze do ręki trzcinkę i uśmiechając się radośnie, mówi: — A teraz, mój synu, przyniesz sznurek, żebym mogła związać ci ręce. — Mamusiu! — wrzeszczę wtedy po raz ostatni i rzucam się jej do nóg. Ona podnosi trzcinkę... ale ja zawsze budzę się przed pierwszym smagnięciem.

Nie pamiętam żadnego innego snu prócz tego jednego. Powraca każdego roku, zawsze jest taki sam, tylko może wyrazistszy, bardziej obrazowy i rzeczy-

wisty. Ale nie zmienia się jego istota. To mój jedyny sen. Teraz śnił mi się dwa razy pod rząd, wczoraj i przedwczoraj. Nie rozumiem, dlaczego mi towarzyszy. To prawda, że moja mama-nieboszczka często nas biła; biła mojego młodszego braciszka, ale najchętniej mnie. Biedna mama-nieboszczka wierzyła, że najlepszym narzędziem wychowawczym jest trzcinka, a że chciała dla nas jak najlepiej, biła nas często i mocno. Tej sceny, sceny ze snu, nie przypominam sobie wyraźnie. Nie wiem, kiedy mogła się rozegrać. Lecz sen jest taki jasny i wyrazisty, że bez wątpienia musiało się to zdarzyć naprawdę. Moja metoda pedagogiczna w ogóle wyklucza bicie. W każdym razie, jeśli chodzi o mnie, ja ze swej strony nigdy nikogo nie uderzyłem; nie jestem pewien, czy bicie jest, bezwarunkowo, pożyteczne dla dziecka. Są tacy, którzy twierdzą, że jest. Możliwe.

Po takim śnie zwykle budzę się nadzwyczaj wyczerpany i zlany potem. W ustach pozostaje mi przykry, gorzki smak, który nie mija przez cały dzień. W takie dni czuję się chory i jestem nadzwyczaj pobudliwy. Te dwie noce z powracającym snem tak dalece mnie umęczyły, że nie mam sił na przechadzkę. Wychodzę jedynie na posiłki.

Muszę zaznaczyć, że od dwóch dni nie widziałem tego sekretarza, pana Timára. Możliwe, że już stąd wyjechał.

16 sierpnia

Nie wyjechał, jedynie nie opuszcza swojego pokoju. Powiedział mi to dzierżawca. Dodał, że nie są-

dzi, aby jego gość był chory; jest bowiem w jego zwyczaj, że co jakiś czas bez specjalnego powodu przez kilka dni pozostaje w swoim pokoju, prosi, aby mu tam dostarczać posiłki. Dla dzierżawcy to tylko troska i kłopot. Dziwny człowiek: jeśli nie jest chory, dlaczego nie opuszcza pokoju? To śmieszna hipoteza, ale pomyślałem, że może odgrywam w tym jakąś tam rolę. Owego ranka, kiedy doszło między nami do sprzeczki, czego nie wspominam ze szczególną przyjemnością, widziałem sekretarza na terenie kąpieliska po raz ostatni. Możliwe, że nie chce się ze mną spotkać. Możliwe. Gdyby tak było, uważałbym za swój obowiązek wyjaśnić mu, że nie mam do niego pretensji. Bo dlaczegoż miałbym mieć? Że był nazbyt poufały? Teraz, po fakcie, uważam, że być może ten człowiek jest bardzo samotny i we mnie wyczuł kogoś równie samotnego, może liczył, że mu pomogę? Gdy o tym myślę, przypomina mi się jego głos: „Ja chciałem tylko porozmawiać”. Chcę być szczerzy: jedynie odrobinę żałuję, że go nie spotykam. Nie dlatego, bym jego osobę znajdował szczególnie sympatyczną. Daje się w nim zauważyć coś przesadnie niechlujnego, również wewnątrz wydaje się niechlujny, widzę to po nim. Wszelako bez wątpienia jest to człowiek samotny. Ja także jestem samotny. Tutaj odczuwam to jakoś silniej, dobitniej niż w Z. Nieledwie cierpię z tego powodu.

Dzisiaj chcę zanotować dwie sprawy. Jedna z nich bardzo mnie zaskoczyła; druga — jest to niepowszedni symptom, jaki obserwuję u samego siebie. Zaskoczyło mnie, tutaj, pośród lasów iglastych, że ostatnio nie zajmuje mnie Natura (z przyzwyczaja-

jenia piszę dużą literą). Codziennie spaceruję przez kilka godzin na wolnym powietrzu, co czynię przez całe życie. Kiedy powiadam, że „nie zajmuje mnie Natura”, nie wyrażam się dość precyzyjnie. Mógłbym też powiedzieć, że mnie „nie zadowala” lub „pozostawia obojętnym”, ale gdybym chciał wyrazić się w najwyższym stopniu precyzyjnie, musiałbym użyć zwrotu cokolwiek retorycznego: „nie gasi mojego pragnienia”. Dla mnie to określenie jest całkowicie jasne i jednoznaczne z poczuciem braku. Nie, żebym faktycznie był spragniony, nie; pragnienie można ugasić, wszelkiego rodzaju poczucie braku można załagodzić, poczucie braku nękające ciało i pragnienia duszy można uśmierzyć. Ale jest we mnie pewien rodzaj poczucia braku, którego nie potrafię ukoić. Łapię się na tym, że niekiedy wyruszam w kierunku kąpieliska z takim oto zamiarem, iż zagadnę dzierżawcę albo zaznajomię się z kimś z wczorajszego towarzystwa, lecz kiedy dochodzę do tarasu restauracji, już wiem, że się myliłem, że idę fałszywym tropem, że to nie to, czego potrzebuję, że to nie ludzi mi brakuje albo że brakuje mi nie tych ludzi. Wówczas idę dalej, z powrotem do mojego pokoju albo na wzgórze, do lasu. Ale las mi nie pomaga. Ani mnie las nie zajmuje. Nie uspokaja. Idę jakby w roztargnieniu, nie zwracając uwagi na Naturę — czy to możliwe? Jakbym nieprzerwanie myślał o czymś, co mnie od wszystkiego odciąga — czy to możliwe? W górze, na grzbiecie łańcucha górskiego rozciąga się łąka, której trawa jest już nieco spalona, skąd dobrze widać granice państwa, wokół ośnieżone szczyty, a u stóp — w dolinie — rze-

ka i dwie wioski. Pyszny widok. Taka obfitość dla oczu, nieomal przesadna, nieledwie marnotrawna, tylko Natura potrafi stworzyć taki obraz. Przypominam sobie, że kiedyś co dzień wspinałem się tutaj i w milczeniu, w szczęśliwym upojeniu potrafiłem godzinami wpatrywać się w krajobraz. A teraz mnie nie porusza. Patrę nań obojętnie, jak na jakiś obraz. Owszem, patrzyłem wiele razy, możliwe jednak, że Naturę można oglądać wielokrotnie. Czy warta jest oglądania? Ja pozostaję obojętny. Nie ogarnia mnie jakiś szczególny, pogodny nastrój. Niezadowolony i wrogość — oto uczucia, z jakimi patrę na ów podniosły krajobraz. Jest w tym coś komicznego. Kiedy o tym pomyślę, chce mi się śmiać: znikomy człowiek na wierzchołku skały, pośród olbrzymich ośnieżonych gór, ponad lasem; człowiek, który jest niezadowolony i daje upust swemu krytycyzmowi. Ale rzeczywistość jest taka, że jakkolwiek góry są olbrzymie, ja nie czuję się znikomy. Przynajmniej teraz. Nie napawam się zadufaną w sobie pokorą własnej skończonej znikomości. Niczym się nie napawam. Rzecz to zawstydzająca, ale muszę ją zanotować: czuję się równie wielki jak te góry. Jak cały ten obraz, na który patrę. I dziwię się, że nie wystarcza mi to, co widzę; jakby i we mnie była jakaś głębia i przepaść. *Natura abhorret vacuum*¹. Jest we mnie próżnia, do której niekiedy czuję odrazę.

Moje drugie spostrzeżenie jest pospolitsze. Nie jestem przyjacielem dzieci, w potocznym rozumieniu tych słów. Nigdy nie lubiłem z nimi przestawać,

¹ *Natura abhorret vacuum* (łac.) — natura nie znosi próżni.

bawić się, paplać, zjednywać je sobie, w czym wielu znajduje upodobanie. Dziecko — dla mnie — to nader wyrafinowany materiał, wiem, co mówię, bo pracuję z nimi od dwudziestu ośmiu lat. Zawsze starałem się być dobrym pedagogiem. Możliwe, że moi uczniowie nigdy mnie specjalnie nie lubili, ale też nie bali się, sądzę, że raczej mnie szanowali, jak kogoś, kto ich rozumie. Nigdy nie fraternizowałem się z dziećmi. Do tego akurat jestem i przyciężki, i zbyt niezdarzy. Gdy jednak czasem próbowałem, dzieci przyjmowały mnie chłodno i z ociąganiem.

Tutaj, w kąpielisku, jest wiele dzieci. Teraz, przynajmniej nie potrafię przejść bez słowa obok dzieci; muszę się zatrzymać i — nie bez przyjemności — zamienić z nimi kilka słów. Albo dotknąć ich włosów. Zauważyłem też, że i dzieci odnoszą się do mnie przyjaźniej. Ostatnio, zdarzyło się, siedziałem na ławce, a tu jakiś brzdąc wdrapał mi się na kolana. Zupełnie mi to nie przeszkadzało. Mama dziecka, młoda dama, podeszła do mnie i zaczęła rozmowę. Na co wstałem i pożegnałem się, albowiem nie lubię rozmawiać z damami.

To pragnienie, ten niepokój, ten smutek ustawicznie trwają; i może tylko opuszczają mnie na kilka godzin, kiedy robię te notatki. Gdy wszystko szczerze opiszę, czuję się jakby trochę lepiej.

20 sierpnia

Puste dni. Powolne i puste dni. Do tego dwa dni deszczu, ciężka mgła nad lasem i doliną. Długie godziny na balkonie, pod pledami.

Po południu zasnąłem na siedząco, na balkonie. Spałem długo, już szarzało, kiedy się obudziłem. Przemarzałem w tej wilgotnej mgle. Dzisiaj nie opuszczam pokoju, kicham i piję herbatę z rumem.

Możliwe, że mam gorączkę. Najchętniej bym drze-
mał. Ale już wieczorem pójdę na kolację. Nieprzy-
jazny jest ten pokój i chłodny. Stęchłe meble robią
przykre wrażenie. Z mojego piętra wyjechała ta ha-
łaśliwa rodzina. Jestem teraz sam na całym piętrze.
Niemile uczucie. W moim pokoju nie ma dzwon-
ka. Myślę, że służba nie sypia w tej willi. Pewna sta-
ra kobieta przychodzi tu co rano, przynosi wodę,
czyści buty i ściele łóżko. Jeszcze raz przychodzi
wieczorem, koło dziewiątej, rozściela łóżko, to wszyst-
ko. W ciągu dnia nie ma tu nikogo. To samo w nocy.
Dziwna sytuacja. Gdybym po zmroku potrzebował
pomocy, musiałbym na własnych nogach wybrać się
do restauracji.

Rano zastanawiałem się, czy nie powinienem wy-
jechać.

Może nie mam gorączki, a jedynie jestem okrop-
nie zmęczony. Nawet pisać mi się nie chce. Przy-
szło mi dzisiaj na myśl, że należałoby wysłać wido-
kówkę rodzinie dyrektora. Czegoś takiego oczeku-
je się od kogoś, kto udał się w dłuższą podróż. Wie-
czorem wypiszę kilka kartek. Teraz najchętniej bym
się zdrzemnął; ale w minionych dwóch dniach dużo
spałem i sen trzyma się z dala od moich oczu.

Rwie mnie noga. Mgła robi swoje. Jeśli do rana
nie zrobi się sucho, porozmawiam z dzierżawcą.
Swoją drogą mgła jest piękna, gdyby tylko nie była
szkodliwa dla zdrowia. W kąpielisku panuje taka

cisza, jakby wszyscy stąd wyjechali. Ten dom, w którym mieszkam, jest widmowo pusty. Gdy chodzę po pokoju, odbrzmiewają moje kroki, huczy podłoga. Nocą, przy palącej się świecy, leżałem bez snu, nie dochodził do mnie żaden głos oprócz szumu wiatru w lesie. Mgła przedostała się do pokoju, blask świecy ledwie przez nią przebijał. Czuję się okropnie samotny, z dala od wszystkiego, co oznacza ludzi, znajomości, przyjaźnie. Wsłuchiwałem się we własny oddech. Byłem gotów wstać i pójść do kąpieliska, między ludzi, obudzić kogoś, pogawędzić. Było jednak już późno, minęła północ. Kogo miałbym obudzić? Dzierżawcę? Nie interesuje mnie. Nie znam tu nikogo. Pomyślałem o panu Timárze. Ale nawet nie wiem, czy jeszcze jest tutaj?

Wieczorem pójde na kolację.

Wszystko to błahostka, bez znaczenia. Dzisiaj jestem apatyczny i bardzo zmęczony. Nieomal z przyjemnością patrzyłbym na tę mgłę, w której wszystko milknie. Wygląda na to, że się starzeję. Dziwne, jak niepostrzeżenie przychodzi coś takiego.

Jeszcze nie odebrałem żadnej poczty. Moja gosposia mogłaby do mnie napisać. Była bardzo podniekcytowana, biedaczka, kiedy wyjeżdżałem. Jest już stara. Starsza ode mnie. Ma sześćdziesiąt lat. Biedna stara Márta. Dobrze, że przyszła mi na myśl; kupię jej prezent.

Tylko że tutaj niczego nie dostanę. Będę zmuszony kupić jej coś w Z., w drodze powrotnej, między stacją a moim mieszkaniem. Poczciwe oszustwo, cóż robić.

Rwie mnie noga. Fajka mi nie smakuje, bo tytoń nawilgł.

22 sierpnia

Deszcz i mgła. I wczoraj ten nieodpowiedzialny wieczór! Powiniennem bardziej uważać na siebie. Teraz boli mnie głowa, mam kaca i nie mogę pójść na spacer, bo leje deszcz. Gdybym chociaż miał jakąś książkę. Gazety mnie nie interesują. Co prawda zawsze są spóźnione o kilka dni, choć to nie byłby żaden kłopot. Bezczyinnie drepę w tej klatce. Pościel jest nieznośnie wilgotna. Dawno już nie bolała mnie głowa tak, jak dzisiaj. Czemu się zresztą nie dziwię; zaraz po przybyciu zorientowałem się, że wino dierzawcy jest podłe. Nie mówię, że kwaśne, bo nade wszystko czuć je beczką. Mam pewne pojęcie o winie, przynajmniej o białym winie. Byłe jakie było to wino, które nam niechlujnie podano. Piłem z litości; właściwie nie piłem, jedynie zamaślałem.

Wczorajszego wieczora piłem.

Gdy po kolacji zebrano naczynia, pozostałem na swoim miejscu. Postawiłem na stole lampę naftową i pół litra białego wina. Tym razem zacząłem od pół litra. Zawsze trochę przesadzam, ilekroć odstępuję od moich przyzwyczajzeń, co zdarza się rzadko. Przyjemnie było przy lampie naftowej po nocach spędzanych przy świetle świecy. Na zewnątrz wiał silny wiatr i siał deszcz. Jakaś dama grała na fortepianie. Nie mam słuchu, ale zauważyłem, że for-

tepian nie jest bez zarzutu. Nie oddawał wielu tonów; dzierżawca przyznał, że brakuje mu paru strun. Dwa towarzystwa — goście kąpieliska — nie poszły spać, w tak złą pogodę nikt nie miał ochoty wracać do wilgotnego pokoju. Panowie popijali wino, panie zajęły się jakąś grą towarzyską. Nadzwyczaj durną grą. Możliwe zresztą, że wszystkie gry towarzyskie są durne. Dzieci rychło się zmęczyły i posnęły przy stole. Około jedenastej panie z dziećmi udały się na spoczynek. Pozostał jedynie pewien inżynier z żoną i owa dama, która grała na fortepianie węgierskie melodie. Była to niewiasta w średnim wieku, o miłej powierzchowności, cokolwiek melancholijna. Mogłaby być nauczycielką, żoną poczmistrza lub pracownika banku. Całkiem przyjemnie grała na fortepianie. Muzyka zawsze uspokaja i rozmarza. Około jedenastej skończyłem pół litra białego wina.

Dzierżawca zaproponował, że napali w żelaznym piecyku, jeśli towarzystwo zamierza jeszcze tutaj posiedzieć. Ale wszyscy już poszli do siebie. A mnie wino przyjemnie rozgrzało. Nie zgodziłem się, by palił specjalnie dla mnie. Zamówiłem jeszcze ćwiartkę wina i poprosiłem dzierżawcę, by zamknął okna od werandy.

Tę ćwiartkę piłem już bardzo wolno. To wino to był istny kryminał. Dzierżawca bynajmniej go nie bronił. Nie opłaciło mu się sprowadzać nowej beczki. Za dwa tygodnie zamknie interes na kłódkę i wyjedzie do Szegedu. Rozumiem, że nie można żądać odeń nowego wina. To był mój błąd, że piłem to okropieństwo, on mnie wcale nie namawiał.

Jakieś pół godziny siedziałem w ciszy i paliłem fajkę. Kelner drzemał w kącie. Po raz pierwszy od wielu tygodni poczułem się rozluźniony i spokojny. Prawdę powiedziawszy, była to moja pierwsza dobra godzina w kąpielisku. Nie bez pomocy wina. Przy winie można wszystko wytrzymać. Teraz, naturalnie, pęka mi głowa.

Około wpół do dwunastej zjawił się pan Timár. Wszedł dość hałaśliwie, z wielkim łomotem otworzył drzwi. Stał w progu i przyglądając mi się, zdjął kapelusz. Podmuch wiatru nieomal zgasił lampę. Niepewnie podszedł do mnie.

Zerwałem się z miejsca, skoro go dostrzegłem. Muszę przyznać, że dawno już czyjs widok nie sprawił mi takiej radości.

— Zechce pan spocząć — powiedziałem. — Bardzo proszę. — Dwa razy go zapraszałem. Tym razem to nie on narzucał się ze swoim towarzystwem. To ja byłem nachalny.

Muszę zaznaczyć, że z ociąganiem zajął miejsce przy moim stole. Jakby nastąpiła zamiana ról. Z początku ja mówiłem. Czuję, że mówię z trudem, jakając się; niepowszednia ilość wypitego wina związała mi język. W głowie miałem jakiś ciężki, odurzający zamęt. Ostatni raz czułem takie odurzenie dawno temu, podczas wieczorów spędzanych w kasynie. Krew uderzała mi do głowy i mówiłem wolno, za to głośniejszym głosem niż zwykle.

Pan sekretarz był przemoknięty. Ubranie miał mokre, wydobywała się z niego para. Jakiś czas siedział przede mną w milczeniu i patrzył na mnie tym swoim uważnym, rozjarzonym wzrokiem. Teraz mnie

to jego spojrzenie nie zezłościło. Bałem się, że wstanie i odejdzie. Odwróciłem głowę i mówiłem, nie patrząc mu w twarz. Najchętniej coś bym mu podarował, byleby tylko mnie nie opuszczał, błagałbym go, gdyby chciał odejść.

— Tamtego dnia — powiedziałem — źle się zrozumieliśmy! Nie miałem zamiaru...

Haniebnie bełkotałem. Nie spieszył się z odpowiedzią... Gdy zrozumiał, o co mi chodzi, zadowolony uśmiechnął się szeroko. Ten uśmiech przy każdej innej okazji doprowadziłby mnie do szału. Był wyniosły i butny. Nachylił się ku mnie, słuchał mnie nieomal łapczywie, niczym jakiejś laudacji, niczym jakiegoś należnego mu, wielkiego zadośćuczynienia:

— Ze niby co? — spytał cicho, ochryple.

Tak się zachował drań, jakby mnie nie rozumiał. No i już miał mnie w garści, musiałem powtórzyć. Pomyślałem wtenczas, a to już, gałganie, przesadzasz, ale co miałem zrobić? Nie mogłem pozwolić mu odejść. Nie wiem, co bym mu oddał, byleby tylko mnie nie opuszczał. W początkowej fazie owego odurzenia czułem się nadzwyczaj samotny.

Coś mnie ciągnęło do tego człowieka.

— Ależ, proszę pana — rzekł wreszcie, gdy po raz drugi prosiłem go o wybaczenie. Skinął ręką, jak ktoś, kto rozumiał i darował winę, chłodno i dystyngowanie, po czym na moment wyprostował się na krześle, lekko się odchylając i ten jego gest był prawie elegancki. Zdumiało mnie, jak wyszukanie ów zmięty i niechlujny człowiek przyjął do wiadomości moje przeprosiny.

Albowiem to właśnie uczyniłem. Nie klucząc, nie owijając słów w bawełnę. Poprosiłem o wybaczenie tego przybłędę! Później mogło to się wydać cokolwiek niezrozumiałe, ale wtedy było całkowicie naturalne. Pewnie byłem już wstawiony. A zamówiłem kolejne wino. Znowu pół litra.

Nie spuszczał ze mnie wzroku. Zapalił papierosa. Ja już nie wiedziałem, co mam mówić, milczałem. On także milczał. Wypiliśmy po dwa kieliszki wina. Czekałem, co też zrobi? Otóż nie zrobił nic. Siedział skurczony, zamyślony, dygocząc z zimna. Mały bies w przemoczonym ubraniu. I raptem, bez żadnego wstępu, powiedział:

— Chodziło o to, że bezwarunkowo wszedłby pan do kościoła, gdyby nie wiedział, że ja to widzę. Zwykła rzecz, ale dla mnie interesująca. Raptem znalazłem klązi klucz do pańskiej osobowości. (Tak właśnie powiedział: „klązi”). Bardzo się uradowałem, kiedy zauważyłem, że moja teoria jest słuszna. Wystarczyło popatrzeć na pana, aby nabrać przekonania, że moja teoria jest słuszna. Na czymś takim można znakomicie spędzać czas. Mnie to bawi. Nie ma tańszej rozrywki i ze wszystkiego płynie jakaś korzyść.

Tak to powiedział, jakby chciał dokończyć zdanie, które zaczął przed tygodniem. Konsekwentny człowiek. Dokładnie pamiętam jego słowa. Dopiero teraz wiem, że mówił impertynencje, a nawet w pewnym sensie rzeczy bezwstydne. Ale dopóki mówił, nie oburzałem się. Przyjmowałem to chłodno. Owszem, ciekawiło mnie i niemal łowiłem każde jego słowo. Co też zauważył.

Ale mówił tak cicho i chrapliwie, że chcąc go zrozumieć, musiałem się doń nachylić. Szeptał ochryple. Mówił z trudem, przykro było słuchać jego głosu.

— Co panu dolega? — zapytałem.

— Krtań — odrzekł tak cicho, iż ledwie dosłyszałem, i na moment chwycił się za gardło.

Przy tym uśmiechnął się, ale inaczej, bezbrinnie.

— Przeziębienie?

— Atrofia — odparł z tym samym uśmiechem. — Cóż na to poradzić? Każdy ma swój problem. Pan również. Moim jest krtań. To i tak dobrze. Da się z tym jeszcze żyć. Ale już problem finansowy, niestety, to jest mój najpoważniejszy dylemat. Innymi słowy, mam wszystko, tylko nie mam pieniędzy. A pański przypadek, panie profesorze... z pewnością pan też ma swój przypadek. Każdy ma jakiś problem.

— Mnie rwie w kościach — powiedziałem mu z litości.

W świetle lampy naftowej był śmiertelnie blady, jego wielkie, czarne oczy lśniły zmaconym blaskiem. Możliwe, że trawiła go gorączka. Raczej na pewno, gdyż rękę miał spoconą. Długimi, pożółkłymi palcami rytmicznie uderzał w blat stołu. Gdy podnosił kieliszek do ust, drżała mu dłoń.

— Czy teraz jest pan chory? — spytałem.

— Nie. Poleżałem sobie w pokoju. Czasem mnie to nachodzi. Ostatnio, w Berlinie, przez dwa tygodnie nie opuszczałem pokoju. Nic mi nie dolegało. Po prostu czasami już nie wytrzymuję. Wielu rzeczy nie mogę znieść, na przykład mojego szyderczego śmiechu. Tego mojego głosu dotkniętego atrofią,

kiedy zwracam się do ludzi. A czy pan łąwo znosi mój głos? Bo mnie on denerwuje. To nie jest mój głos, ktoś obcy mówi we mnie. Niekiedy wydaje mi się, że mój głos brzmiałby czysto niczym głos tenora, gdyby przemawiał przez inne gardło. Czy pan mnie rozumie? Nie jestem w zgodzie z samym sobą. Kiedy mnie to nachodzi, nie idę między ludzi. Widzi pan, zawsze pozostaje jakieś poczucie wstydu. Nawet w najpośledniejszym indywiduum. Człowiek niechętnie zakłóca czyjeś święto, jakąś bibkę zdrowych ludzi. Ja przynajmniej cieszę się, jeśli nie muszę przeszkadzać. W gruncie rzeczy jestem wstydlivy. Każdy chory człowiek jest wstydlivy. Pan, panie profesorze, także jest wstydlivy. Niech pan nie zaprzecza. To jest to, co mnie przyciąga do pana, od chwili, gdy pana ujrzałem.

— Ja nie jestem chory — powiedziałem dobitnie.

— Niech pan nie zaprzecza. — Traćiliśmy się kieliszkami. — Bo to nie pomaga. Zdrowi to wyczuwają i pierzchają przed nami. Coś takiego nachodzi człowieka tak, że nawet tego nie spostrzega. Choroba albo zwątpienie, albo samotność. No i ten wstyd. We mnie jest silny; we mnie jest tak silny, że najchętniej mówiłbym tylko o tym. Chciałbym się wygadać. Wyjaśnić: dlaczego, skąd, co się stało? Może, gdybym to dobrze wyartykułował, wówczas reszta towarzystwa, ci piękni, młodzi, zdrowi wybaczyliby mi? Bo w ostatecznym rachunku tylko oni mają rację. W nas jest jakaś choroba zakaźna. Nie krtań, nie zwątpienie — samotność jest tą zakaźną chorobą. Oni bronią się przed nią, ci piękni, zdrowi, każdy na swój sposób. To jest, proszę pana, największy

sekret. Kiedy tylko człowiek się psuje. Zostaje sam. Jakby mówił w próżni: nie słyhać jego głosu. Nikt go nie rozumie. Chadza tymi samymi drogami, co inni... i nigdzie nie dochodzi. Zawsze w kółko, zawsze dokoła siebie. Jest wokół niego coś, co się rozkłada. Stado, powiedzmy, stado owiec nie ścierpiałoby takiego współtowarzysza: wyklełoby go. Ale nie to jest ważne. Ważne jest, gdzie w tych ludziach tkwi błąd? Gdzie? Kiedy go popełnili? Proszę pana: ot, żyjemy tu obok siebie. Powiedzmy, że jakiś X i Y. Na starcie wyruszają z równymi szansami. Zechce pan to zrozumieć: obaj są zdrowi. Obaj są biedni albo obaj bogaci. Nie o to chodzi. Jeden jest blondynem, drugi brunetem. Każdy z nich ma ręce i nogi, zdrowe mięśnie, każdy jest gotów do czynienia dobra i do czynienia zła. Założmy też, że posuwają się w tym samym kierunku. Na pozór osiągają jednakowe wyniki. Ale w trzydziestym, czterdziestym roku życia X-a powaliło choróbsko. Ich drogi się rozeszły. Pozostał sam. Na nikim mu nie zależy. Nikomu nie ufa. Y w tym samym czasie miłuje swoich bliźnich, czci Boga, sławi zalety życia, mądry porządek rzeczy. Dwa plakaty, jeśli pan je pamięta: Jan Abstynent z obliczem tryskającym zdrowiem łamie bochenek chleba dla swoich płowowłosych dzieci. Rumiana żonka pitrasi przy piecu smaczną potrawę. Przez otwarte okno widać obrobione pola. W złotym słońcu kąpiące się snopki. Szczęśliwe domowe ognisko, nieprawdaż? A w sąsiedztwie zagroda Jana Pijaka. Słoma zwisa z sufitu. Chuda ryba w misce przed pijanym Janem. Po kątach pętają się dzieci-półgłówki. Suchotnicza kobieta leży w nie-

chlujnym łóżku. No dobrze, tylko dlaczego Jan Pi-
jak pije? Dla samego trunku? Dla alkoholowego o-
durzenia? A skąd! My to wiemy. Pan też to wie. Dla-
czego pan teraz tutaj pije? Porządny człowiek! To
kiepskie wino! Bo jest pan chory i zażywa pan le-
karstwo, ot co. Ale dlaczego jest pan chory? Pan i
ja, co nam dolega? Gdzie stało się zło? Ot co, mój
panie...

— Skąd pan wie, że ja... — zapytałem.

— Ach, dajże pan pokój. Przecież nie prześwie-
liłem pana promieniem rentgenowskim. Uważa pan,
że trzeba szczególnych uzdolnień, aby poznać po
kimś, że jest samotny? Nie mam na myśli tej samot-
ności, która oznacza pewien sposób życia, szczęśli-
wą izolację, więź z kości słoniowej. Taka subtelna
samotność nie musi jeszcze być równoznaczna z ze-
rwaniem ze wspólnotą. Wieża z kości słoniowej mo-
że być swego rodzaju tunelem, którym kasztelan w
tajemnicy udaje się na spotkanie z ludźmi. Gwizdź
na to, mnie to nie interesuje. Ów kasztelan sam so-
bie buduje taką samotność. To tylko dekoracja. Do
twarzy mu z nią. Ale jest też inna samotność: ta par-
szywa. Która wysypuje się na skórze jak świerzb,
widać ją w spojrzeniu, w chodzie, w ruchach. Którą
dostrzegają wszyscy: kobieta, dziecko, kelner. I
wszyscy trzymają się z dala od kogoś takiego. To
człowiek niebezpieczny. Żyje poza stadem. Dlaczego?
Nieborak, możliwe, że nosi w sobie chorobę za-
kaźną, żyje sam. Raczy pan to zrozumieć? SAM!
Bez kobiety, bez dzieci. Bez przyjaciela. Bez służą-
cego. Bóg wypluł go ze swoich ust. To pan, to jestem
ja. Co się stało, czym zawiniliśmy? Panie Kudlák...

Kelner wstał i ociężale podszedł do naszego stołu. Przestraszyłem się. Pan sekretarz chrypliwie, na pijacką modłę, zapytał:

— Mam to udowodnić?...

Nie wiedziałem, co chce udowodnić. Czy chce o coś zapytać kelnera? Skinąłem ręką, że oczywiście ma rację, ale niechże niczego nie udowadnia. Zamówiliśmy jeszcze jedną karafkę wina. Nachylił się ku mnie całkiem blisko i powiedział mi do ucha:

— Pan Kudlák też to widzi po panu. Ja też. Pierwsze z brzegu dziecko też. Każda kobieta. Po mnie też to widzą. Tolerują, ale nie dadzą podejść bliżej.

— Ależ, proszę pana, panie Timár — powiedziałem mocno podekscytowany — co widzą, na Boga? Co widzą po mnie? Ja bez wątpienia jestem *nervosus*. Cierpię na bezsenność. To naturalne w moim wieku. Co takiego mogą widzieć po mnie? Że jestem *nervosus*? I co z tego?

Przesunął ręką po czole. Wyprostował się. Wraz z tym gestem jakby przyszedł do siebie. Naraz uspokoił się, wytrzeźwiał. Z oczu znikło mu owo gorączkowe lśnienie.

— Nic — powiedział. — Rozmawialiśmy. Ot, człowiek sobie mówi. O czymże mamy mówić — dwóch ludzi? O polityce? O sztuce? Proszę sobie wyobrazić, że spotyka się dwóch Murzynów. W jakimś wielkim mieście, w którym żyją biali. Sami biali. Trzy, cztery miliony białych ludzi. Biali mężczyźni, białe kobiety, białe dzieci. O czym będą rozmawiać ci dwaj Murzyni? Stawiam sto przeciw jednemu, że o kwestii murzyńskiej. O tym, że wczoraj pewien biały wyszedł z przedziału, ponieważ sie-

dział w nim on, Murzyn. O tym, że na opustoszałej ulicy zagadnął pewną kobietę i ta kobieta uciekła... chociaż nie, nie, bzdura, gdzieżby tam nasz Murzyn ośmielił się zaczepić na ulicy białą kobietę. Ośmieliłby się, tak? Raczej umarłby z głodu. Prawda, że mówią o czymś takim? Że dlaczego tak jest? Kto nam to uczynił? Bóg? Czym tedy zawiniliśmy? Niczym.

— Przesadza pan — rzekłem do niego. — Ja nie czuję tego, o czym pan mówi.

Ledwie to powiedziałem, a już się zawstydzilem. Nawet nie spojrzął na mnie, tylko machnął ręką. Jego głos stawał się coraz bardziej niewyraźny.

— Mam trzydzieści sześć lat — powiedział całkiem zwyczajnie. — Nie tak dużo, ale dosyć, aby człowiek przestał wierzyć w cuda. Cudów nie ma. Cuda są do załatwienia. Gdy ja wyczuwam w kimś samotność, wielką, prawdziwą samotność, grzeszną samotność...

Wyrzekł to z naciskiem i teraz, pierwszy raz w czasie tej rozmowy, spojrzął mi prosto w oczy.

— Grzeszną samotność? — zapytałem skonsternowany.

— Grzeszną samotność — ciągnął uporczywie — no... słowem grzeszną w pewnym abstrakcyjnym sensie... tak... grzech, za który może nikt nie ponosi odpowiedzialności. Właśnie o to chodzi: czy to zależy od nas samych, czy jedynie coś dzieje się z nami? Pojmuje pan? Czy jesteśmy ofiarami, czy też sprawcami? Dokładnie tego nie wiem. Ja nazywam to grzeszną samotnością. Wyczuwam ją w ludziach. Niekonieczny jest tu wyrefinowany nos. Taki czło-

wiek wykrzyczy to z siebie, po jakimś czasie. To — powiedział z szyderczym uśmiechem — ma typowe objawy, jak pewna choroba. Ma swoje fazy. No, zostawmy to. Może dlatego jest grzeszna, że... jak mam to powiedzieć, żeby pan zrozumiał? Mam na ten temat własną teorię. Grzeszny jest każdy, kto trzyma się z dala od ludzi.

— Od ludzi? — powtórzyłem automatycznie. Już mu się nie sprzeciwiałem. Zresztą, zaczął się dziwnie zachowywać.

— Proszę, by zechciał pan zrozumieć to tak — ciągnął — jak powiadam. Proszę nie mieszać do tego polityki. Nie jestem agitatorem, jestem sekretarzem. Słowem, każdy, kto trzyma się z dala od ludzi. Kto nie współ-czuje z ludźmi. O każdej godzinie. W każdej minucie. Cóż więcej możemy zrobić? Nie myślę jedynie o bogatych. Ta choroba jest niezależna od społecznej kondycji chorego. Na przykład ja... Ale co ja mogę zrobić? Ten, kto współ-czuje z ludźmi, jest szczęśliwy. Wie, po co żyje. A ja nie wiem. Nie współ-czuję z nimi. Tutaj, w środku, tu, proszę pana, jest zupełnie pusto. To nie jest *nihil*... bo jeszcze pan zapyta... ale i tak nie otrzyma odpowiedzi. Są dwa lekarstwa. Dwie drogi. Dwa lekarstwa.

Głowa opadła mu na piersi. Drętwo patrzył przed siebie. Nie śmiałem mu przeszkadzać.

— Jedno to miłość. Drugie to Bóg. Dwa, proszę pana. Ja ich nie znam. Żadnego z nich nie znam

Już dobrze nie pamiętam, o czym później rozmawialiśmy. Ale zdaje mi się, że jeszcze długo obaj tam siedzieliśmy. Mówiliśmy jednocześnie, on coraz chrapliwiej, ja coraz głośniej. Kelner zasnął. Pamię-

tam, że wracaliśmy do siebie w ulewnym deszczu. Przez całą noc szalała wichura. Teraz bardzo boli mnie głowa. I wstyd mi za siebie. Wiele bym dał, żeby móc wymazać z pamięci ten wieczór. Mam w głowie obraz jakby jakiejś hulatyki. Wydaje mi się, że są też takie rodzaje hulatyki, które nie mają nic wspólnego z ciałem, a te być może są najgorsze.

24 sierpnia

Nie widziałem go wczoraj; możliwe, że i on wstydzi się za ten wieczór.

25 sierpnia

Nie mijają to uczucie, ten szczególny kociokwik: wciąż jeszcze czuję się tak, jakbym był uczestnikiem jakiejś niecnej hulatyki. Nigdzie nie widzę mojego nowego przyjaciela. Prawda, że wcale go nie szukam. Niebo zaczyna się przejaśniać, ale drogi jeszcze są mokre.

26 sierpnia

Dzisiaj znowu słońce i suche, utrzymujące się ciepło. To chyba koniec kanikuły; to już raczej wrzesień. Wczoraj i dzisiaj przed południem godzinami chodziłem po lesie.

W południe spotkałem Ágostona Timára przed kaplicą. Stał tam z księdzem i żywo o czymś rozprawił. Gdy mnie zauważył, zatrzymałem się i pozdrowiłem go. Obaj mi się odклонili; ksiądz poważ-

nie i uprzejmie, a Timár jakoś tak chłodno i obco, jakby mnie nie znał. Gest, z jakim, ociągając się, uchylił kapelusza, zrobił na mnie takie wrażenie, jakby najpierw zadał sobie pytanie, kim ja jestem. Dziwny człowiek. Bardzo biedny, możliwe, że nieszczęśliwy. Pozwolili mi przejść mimo, nie odezwali się do mnie. Musiałem się na to uśmiechnąć. Po raz pierwszy od wielu dni poczułem się trochę lepiej; może to dlatego, że się przejaśniło. Usiadłem na ławce, w słońcu. To moja ulubiona pora, lubię ją najbardziej ze wszystkich pór roku, ten cichy, słoneczny czas, gdy ma się pod jesień. Myślałem o Timarze. Dlaczego nie podszedł do mnie? Dlaczego postąpił tak, jakby mnie nie znał? Biedny komediant.

Wczoraj po południu wziąłem ze sobą koc i położyłem się na tej łące, skąd widać całą dolinę, granicę państwa i ośnieżone szczyty. Trawa już wyschła, było ciepło. W powietrzu unosiły się pierwsze nici babiego lata. Powietrze było tak czyste, że z odległej wsi wyraźnie niosło się bicie dzwonu. Chowano kogoś. Niebawem ujrzałem w dole kondukt, niedługi, wijący się jak wąż czarny pochód z marami. Przeleżałem tak do zmierzchu. Były to moje pierwsze lepsze godziny od wielu tygodni. Obserwowałem chmury, gdy przesuwały się ponad ośnieżonymi szczytami. Od dawna nie myślało mi się tak lekko i klarownie. Właściwie nie myślałem: obrazy napływały i odpływały. Znajomi, dzieciństwo. Młode lata. Widziałem siebie jasno i wyraźnie. Pewien gest mojego ojca, gdy nabija fajkę. Twarz szkolnego kolegi, który mnie nauczył szczeniackiej, nieprzyzwoitej rzeczy. Ruch głowy niejakiej J., kiedy czasu-

mi, na ulicy, odpowiadała na mój ukłon chłodnym skinieniem. Twarze pojedynczych uczniów, jasno-, czarnowłose głowy chłopaków sprzed dwudziestu, dwudziestu pięciu lat. Jakoś znikli, gdzieś się zapodziali. I siebie widziałem pośród nich, młodego, bez brody. Potem, jak to rzekł Timár: bardziej samotnego. Już nie pośród nich, lecz obok nich. A im nie było spieszo do mnie. Wszyscy minęli mnie bez słowa. I oto w półśnie przeszło obok mnie tak wiele postaci, jak nigdy w życiu. Gdziekolwiek spojrzę, byłem sam.

Raptem przypomniałem sobie twarz pana Timára. Jak to nachyliwszy się ku mnie, chrapliwie szepnął mi do ucha: „...grzeszna samotność...”. Co chciał przez to powiedzieć? Dlaczego grzeszna? Przecież to raczej nieszczęście. Nie czuję się „sprawcą”, jak to powiedział; raczej „ofiara”.

Słyszałem jego chrapliwy, nieprzyjemny głos.

Zamknąłem oczy, aby móc intensywniej myśleć. Teraz, gdy to piszę, muszę na chwilę przerwać, abym mógł jaśniej myśleć. Niekiedy przez chwilę czuję się tak, jakby mi coś świtało. Jakby tutaj był bolesny punkt: czyżby to była prawda? Trzeba by ją pochwycić. Jakoś trzeba by pójść za nią. Ale nie wiem, nie wytrzymuję... nie mogę myśleć. Przez chwilę czuję, że jest taka prosta, wystarczy ją tylko wypowiedzieć i natychmiast wszystko będzie w najlepszym porządku. Nic mniej skomplikowanego, to tylko jedno słowo, mam je tutaj, na końcu języka, jak się zwykło mówić. Ono tęskni za tym, abym je wypowiedział. Ale nie potrafię. Jak we śnie. Mój język zna to słowo, mój mózg — nie. Z olbrzymim

wysiłkiem szukam go i nie znajduję. Natrafiam tylko na wielki zakres pojęć związanych z nim. Gdzie tutaj tkwi przeszkoda, przez którą chcę się przebić.

Te dziwne, krążące mi po głowie myśli podniecają mnie. Nie mam praktyki w rozmyślaniu. A teraz, teraz chcę myśleć, ze wszystkich sił, każdym nerwem, na ile tylko mnie stać. Czuję, że jeśli teraz przegapię ten mglisty ślad, jeżeli za nim nie pójdę, na zawsze pozostanę w ciemności. Tutaj jest dno, tu bije źródło tego niepokoju. Tego niepokoju nie do zniesienia. Tego niegodnego stanu. Co może się stać? Gdzie mam zacząć? Prawdopodobnie myślenie też ma swoją metodę. Wszystko ma swoją metodę. I tylko ja już nic nie wiem.

Teraz tak odczuwam swój mózg, jak jakiś mechanizm, który powoli, skrzypiąc, powodując zgrzytanie zardzewiałych części, nieskończenie wolno zaczyna działać. Nie czułem tego od wielu lat, nie miałem owej świadomości, że jestem zdolny do myślenia.

Ten nieszczęśnik powiedział, że jestem chory. To prawda. Zdaje się, że naprawdę widać to po mnie. I coś jeszcze się ujawniło. Dyskretna choroba, którą nikomu nie wyrządzą krzywdy. Timár twierdzi, że jest „zaraźliwa”. Ten wstydlivy człowiek zapadł na nią. No, ja także. Naprawdę, powinienem być wyjechać. Koniecznie. Taka jest prawda.

On chciałby wiedzieć, „gdzie człowiek się psuje?...” Gdzie jest ten określony punkt?... Ale przecież ja też tego szukam. Ja też szukam tego określonego punktu. Czuję, że nie jest to jakaś wielka rzecz. Może to tylko jeden gest albo jedno słowo, które po-

winiem był wykrzyzczyć pełnym głosem i wszystko byłoby w porządku.

Dlatego cierpię. Nie znajduję na to innego słowa. Cierpię.

Jakoś wszystkie słowa wydają mi się puste. Niekiedy mam takie uczucie, jakby ze wszystkich słów wypadła wszelka treść. To, co schodzi z moich warg, to są trociny: bez smaku, bez barwy. Trociny, trociny. Puste słowa.

Co napelni te słowa treścią?

Teraz po raz pierwszy czuję, że tak żyć nie można. Muszę po kolei zabrać się za wszystko. Gdzieś popełniłem błąd; albo coś zrobiono ze mną. Koniecznie muszę to wyjaśnić. Bo doprawdy, nie sposób żyć między ludźmi, jeśli słowa, jakimi się posługuję, są puste. Czuję, że trudno byłoby mi to wyjaśnić, ale muszę postępować powoli, metodycznie, inaczej bowiem chyba bym upadł pod tym ciężarem, czuję, że wystarczy, jeśli nawiążę bodaj jeden jedyny kontakt z treścią słów, wtedy nagle zaświeci się cała girlanda, jak to się dzieje przy połączeniu szeregowym. Cudowną rzeczą jest elektryczność. Słyszałem od nauczyciela fizyki, że znamy jedynie jej działanie, lecz samej tajemnicy, jej prawdziwej natury jeszcze nie znamy. Istnieją takie cudowne rzeczy. U mnie jest tak, jakby wygaszono wszystkie lampy. Może powinienem włączyć prąd.

Obecnie przenika mnie uczucie całkowitej obcości. Obcy mi jest ten ktoś, kim jestem. Mój wiek. Moja pozycja. Myślę o tych rzeczach tak, jakby wydarzyły się strasznie dawno temu, kiedyś tam... już nawet dokładnie nie pamiętam.

To chyba jest jakiś mus, który każe mi myśleć już nie o wczorajszych czy przedwczorajszych, ale dawnych, bardzo dawnych, zapomnianych sprawach i ludziach. Jakbym zapomniał to wszystko, co zdarzyło się w ciągu minionych dziesięciu, dwudziestu lat. Wypadł mi z pamięci cały szereg obrazów. A nieprawdopodobnie odległe w czasie rzeczy i osoby wyraźnie defilują przede mną. Sprzed pięćdziesięciu lat. Z epoki mojego dzieciństwa.

Owe obrazy przychodzą i odchodzą. Nie potrafię pochwycić ani jednego: są ostre, wyraziste, lecz natychmiast znikają.

Timár powiedział, że są dwa lekarstwa. Jedno to miłość. Drugie — Bóg. Spróbowałem pójść tym tropem. Ale dla mnie nie ma prądu w tych dwóch słowach. Nie wywołują iskry. Mogę je wypowiedzieć sto razy, a nie czuję i nie słyszę niczego. Dwa słowa: miłość. Bóg. Pojęcia.

To bardzo dziwne: prawdopodobnie miliony ludzi żyją na ziemi, których ciała, których całą istotę napełnia błoga radość, gdy wypowiadają to pierwsze słowo: miłość. I zaczynają promieniować świadomością, która czyni ich szczęśliwymi, gdy wypowiadają to drugie słowo: Bóg. Ja mogę wypowiedzieć oba te słowa i nie czuję nic. Mogę je powtarzać, dopóki nie zmęczą się moje usta i nie zaczną się jękać; mogę powtarzać przemiennie: Bóg. Miłość. Nic. Oba słowa pozostają ciemne. Nie ma w nich prądu. Zapisane także się nie jarzą.

Chociaż, jak sądzę, nie jestem człowiekiem nie-religijnym. Z drugiej strony nie jestem również zakochany. Tego słowa szczególnie nie lubię. Dla mnie

nic się za nim nie kryje. Chyba nie wierzę w nie. Z kolei nie dość mocno wierzę w Boga, abym miał przydać sensu słowu „Bóg”. Sam tego nie rozumiem: nigdy nie negowałem Boga. Gdy o tym mówię, czuję też, że nigdy nie twierdziłem, iż Bóg istnieje. Teraz, gdy to napisałem, czuję, że Bóg żyje we mnie tak, jak jakieś prawo, którego człowiek się trzyma. Albo jak Naród. Jak Ojczyzna. Jak Król. Wyznajemy je, ponieważ są to siły nam znajome. Każdy je poznał. Z pewnością ja również, ponieważ nigdy nie wątpiłem w nie.

Teraz także nie wątpię. Pobłdziłbym, gdyby najwyższej rangi pojęcia zrodziły we mnie cień wątpliwości. Myślę, że to byłby koniec. Całkowity rozkład. Szaleństwo.

Z drugiej strony nie widzę innej drogi, jeśli chcę znaleźć któreś z Timárowych lekarstw. Nie mogę postanowić z dnia na dzień, że coraz mocniej będę wierzył w Boga lub w miłość. Uważam za wykluczone, aby praktyki religijne, żarliwsze słuchanie mszy, spowiedź i komunie mogły przyczynić się do tego, że pogłębi się mój stosunek do Boga. Sądzę, że to byłaby błędna droga. Podobnie nie mogę postanowić, że się zakocham. W kim? Kiedy? We wdowie po ludwisarzu, która mieszka przy ulicy Basztowej? Albo w jakiejś pannie? Bzdura. Mam pięćdziesiąt cztery lata.

Te moje pięćdziesiąt cztery lata traktuję teraz zupełnie inaczej niż kilka tygodni temu. Często myślę o nich z takim mniej więcej uczuciem, jak chory człowiek może myśleć o swojej cukrzycy albo gruźlicy płuc. Nie jest to niebezpieczeństwo *immi-*

nens (zagrożające bezpośrednio), wszakże śmiertelne. Stale jest ze mną. Niekiedy miałbym chęć sprawdzić, jak dalece ja jestem z nim?

Wczoraj w nocy postawiłem świecę blisko lustra i przyjrzałem się mojej twarzy. Trochę zdziczała, ponieważ nie ma tu fryzjera. Urosła mi broda, łeb mam kudłaty. Włosy bardziej posiwiały niż broda.

Zdumiało mnie, że moja twarz jest o wiele węższa, niż mi się zdawało. Gdybym nie nosił brody, moja twarz byłaby węższa i szczuplejsza.

Kiedy kładłem się do łóżka, miałem uczucie, że tej nocy coś mi się przydarzy. Przyniosą mi telegram, jakąś wiadomość. Ktoś przyjedzie, dokądś mnie wezwą. Czekałem. Długo zasypiałem.

Odpoczywałem przez pół godziny. Teraz szybko to zapisuję, bowiem przed paroma minutami powróciło tamto uczucie. Pewien rodzaj niepokoju. Podobnie, gdy człowiek czeka na jakąś wiadomość.

Zaraz zejść i zapytam, czy przysłała do mnie jaka pocztą?

27 sierpnia

Nie przysłała do mnie żadna pocztą. Nikt nie przyjechał. Pan Timár gdzieś się zawieruszył. Czyżby wciąż jeszcze miał kaca? Albo znów wdał się w jakąś wstydliwą przygodę, coś w rodzaju tego, co przeżył, jak to sam ujął, „ostatnim razem w Berlinie”. Berlin... Czegoż mógł szukać w Berlinie?

Nie to chciałem zapisać. Nikt nie przyjechał, żadnego listu, żadnej wiadomości. Nie rozmawiałem z

nikim. Ale od wczoraj nieprzerwanie na coś czekam.

Muszę skonstatować dwie rzeczy. Pierwsza, że być może zwariuję. Nie uważam tego za wykluczone. Możliwe, że już dzisiejszej nocy lub teraz, za godzinę. Może nawet w tej oto chwili jestem szalony. Jeżeli tak wygląda szaleństwo, to jest to zadziwiająco rozumny stan. Nigdy, odkąd znam swój umysł, nie czułem się tak dobrze. Niewiele tego rozumu, ale dla mnie w sam raz. Tyle jest we mnie ciekawości. Jestem o wiele świeższy. I nieprzerwanie czekam na coś.

Druga, że jestem całkowicie przytomny. Nie jestem szalony, z całą pewnością nie. Tak naturalnie czekam na coś, jak człowiek czeka na pociąg. Albo jak w nocy czeka się, żeby się rozwidniło. Jak człowiek, który czeka na coś, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinno przyjść.

Dzisiaj przez cały dzień miałem dobry humor. Ubrałem się starannie, jakbym miał spotkać się w jakimś towarzystwie. Wstałem wcześniej, zważając się ruszam. Pogoda też jest wspaniała, jest pięknie i ciepło.

Dzisiaj przypomniałem sobie, że jestem na urlopie, tutaj, w Virágfüred, odległym o trzy godziny od Z., gdzie mam mieszkanie i posesję. Tak sobie to przypomniałem, jak ktoś może sobie przypomnieć jakiegoś dalekiego znajomego, powiedzmy jakiegoś pięćdziesięcioletniego nauczyciela szkoły średniej, łacinnika, który mieszka w Z. I nosi brodę. Przypomniałem sobie samego siebie. I raptem straciłem humor: ten znajomy jest nieprzyjemny. Nie potrzebuję go teraz. Szkoda, że nie mogę się z nim rozminąć.

Pomyślałem, że napiszę list do młodego kolegi, nauczyciela historii. Ale nie znam jego adresu. Wyjechał do Tyrolu. Jeszcze jakoś się trzyma, nieszczęśnik, skoro udał się w podróż zagraniczną. To nawet dobrze, że nie znam jego adresu. Gdybym napisał do niego list, prawdopodobnie czekałby na mnie na stacji z lekarzem. A ja nie potrafiłbym mu wytłumaczyć, że nie ma racji. Szkoda, że nigdy nie byłem za granicą. Tyrol nie jest daleko. Niezmiernie żałuję, że nie byłem za granicą.

Teraz często przypomina mi się ojczulek. Kilka razy w ciągu dnia. I często powraca ten jego gest przy nabijaniu fajki. Ja dokładnie tak samo nabijam, kciukiem. Palenie fajki to była jedyna namiętność, na jaką, biedaczyna, mógł sobie pozwolić. I od czasu do czasu dostawał od kupca korzennego stare czasopisma. Mój ojciec był o wiele biedniejszy ode mnie.

Może dlatego tyle o nim myślę, że miał pięćdziesiąt cztery lata, gdy zmarł. Ja teraz jestem w jego wieku. Możliwe, że to jest także mój czas.

Ale uważam to za nieprawdopodobne.

Jak za całkiem pewne uważam, że za tydzień udam się w podróż powrotną.

28 sierpnia

Mam gorączkę. Niewiele: 38 i 2 kreski. Jednakowoż to już gorączka. Może się przeziębilem. Nie kładę się do łóżka, siedzę sobie tutaj na balkonie. Dzisiaj nie mam nastroju do czynienia zapisków. Jestem zmęczony, tak, to będzie przeziębienie. I

nawet dzisiaj mam wciąż to uczucie, jakbym na coś czekał.

29 sierpnia

Chciałbym możliwie wiarogodnie zapisać moje wczorajsze spotkanie z Ágostonem Timárem. Było już po kolacji. W czasie kolacji nie widziałem go. Dzierżawca, który siedział na ławce przed biurem, zbliżył się do mnie, gdy wyszedłem z restauracji i zakomunikował mi, że pan Timár chce wyjechać rannym pociągiem. Powiedział to mimochodem, pośród innych informacji. Inżynier z rodziną również wyjeżdża rannym pociągiem. Jeszcze trochę i nikt nie pozostanie w ośrodku.

Dzierżawca powiedział nadto, iż pan Timár i tym razem nie jest w stanie całkowicie uregulować rachunku. Pozostał dłużny czterdzieści osiem forintów. Ale dzierżawca pozwala mu wyjechać, ponieważ w ubiegłym roku przysłał zaległość. No bo co ja mogę zrobić, zapytał. I ma rację. Zatrzymać bagaż? Jego bagaż nie ma żadnej wartości.

Zapytałem dzierżawcę, czy wie coś bliższego o zajęciu pana Timára?

— Nic — odrzekł. — Sekretarz. Pojmuje pan: strzeże sekretów. Choć nie otrzymuje żadnych listów. Nie ma bliższego adresu. Sekretarz.

Przez chwilę myślałem, żeby poręczyć za dług Ágostona Timára. Suma nieznaczną. Ale moje bohaterkie poręczenie było zbyt cenne. Teraz nawet się cieszę, że nie uczyniłem tego: bardzo tanim kosztem dobiłbym się nader szlachetnego samozadowo-

lenia. Zresztą dzierżawca miał do niego zaufanie. Bardzo umiarkowane, ale miał.

Wiadomość, że pan Timár wyjeżdża, przyjąłem dość bezradnie. Po kolacji poczułem, że mam gorączkę. Tedy ruszyłem do domu, do mego pokoju, z zamiarem pójścia do łóżka. Ale już w pół drogi zatrzymałem się. Poczulem nieodpartą potrzebę porozmawiania z nim, zanim wyjedzie.

Chciałem mu powiedzieć wiele rzeczy. Czy akurat jemu? Bezwarunkowo musiałem powiedzieć wiele rzeczy komukolwiek. Zresztą miałem gorączkę. Gdy zbliżałem się do willi, w której mieszkał, poczułem z całą mocą, że już nigdy więcej nie zobaczę tego człowieka.

Tylko jedno okno w owej willi było oświetlone. Jego okno. Wszedłem na górę, obmacując w ciemnościach ściany korytarza, pomagając sobie płomykiem zapałki, z trudem odszukałem drzwi do jego pokoju. Zapukałem. Odpowiedział tak chrapliwie, że ledwie usłyszałem jego „proszę”.

Gdy wszedłem, pan Timár w koszuli, ale w spodniach i obuty siedział na brzegu łóżka i coś czytał z jakiejś zeszytowej serii. Na stole stała świeca, która mgliście oświetlała jego twarz. W ogóle było w tym pokoju dość ciemno. Szyję miał owiniętą grubą chustką. Okno było otwarte. Z tego okna widać las iglasty i kaplicę, która bieliła się w świetle księżyca.

Bardzo byłem ciekaw, co czyta. Założyłbym się, że jakąś pracę z dziedziny psychologii. Odgadł moją ciekawość i nagłym ruchem wsunął broszurę pod poduszkę. Chciał ją ukryć przede mną... Później zauważyłem, że na nocnym stoliku leży kilka po-

dobnych wydawnictw. Udało mi się odczytać tytuł jednego z nich: *Ofiara Sing-Singu, albo omyłka elektrycznego krzesła*. Taki był ten tytuł. Przypadki Nicka Cartera. Lektura uczniów. Powieść z dreszczykiem w zeszytowej formie.

Nie znalazłem u niego innego rodzaju książek. Ale bagaż otwarty na oścież leżał przed nim na podłodze, mogłem więc przebiec wzrokiem wszystkie jego rzeczy: kilka niepranych koszul, para spodni, brudne kołnierzyki. Najwidoczniej miał tylko jedno ubranie, to, w którym chodził. Drzwi od szafy również były otwarte, ale w szafie wisiał tylko cienki płaszcz gumowy. Coś w rodzaju deszczowca. I kapelusz. Prawdopodobnie to było wszystko.

Wziąwszy pod uwagę, jak mało było rzeczy, którymi dysponował, musiało mnie zdziwić, że tą znikomą ilością przedmiotów potrafił wytworzyć tak wielki nieporządek. Nic nie było na swoim miejscu. Umywalka stała pod oknem, a dzban do wody wypełniały sosnowe gałązki. Pomimo otwartego okna powietrze w pokoju było nieświeże i ciężkie. Na rozestanym łóżku pół siedział, pół leżał.

— Kto tam? — zapytał gniewnie. A po krótkotrwałym milczeniu: „Och, to pan!”. Przyjął pozycję siedzącą. Nie powiedział, abym wszedł i usiadł.

Ale ja zamknąłem drzwi, i myślę, że rzadko w moich krokach było tyle naturalnej pewności siebie, jak przy tej okazji. Coś takiego bierze się samo z siebie. Jak powiadam, uczułem potrzebę porozmawiania z tym człowiekiem. Podszedłem bliżej, na co podniósł się z łóżka.

— Słyszę, że pan wyjeżdża — powiedziałem.

— Tak. Słucham pana? — odrzekł.

— Nie potrzebuje pan czegoś?

— Nie — rzekł cichym głosem.

Powiedziałem, że chcę się z nim pożegnać.

— Pożegnać się? Och! — Tak wyrzekł to „och”, jak bywa tylko w powieściach. Po chwili z szerokim gestem. — Proszę, niechże pan siada. Gdzie się panu podoba. Tutaj. Na brzegu łóżka. Zechce mi pan wybaczyć ten nieład. Ale sam pan widzi, pakuję się.

I rzeczywiście, gwałtownym ruchem zatrzasnął walizkę i kopnął drzwi od szafy. Tym samym jakby zakończył akt pakowania się. Oba te gesty były nerwowe, jakby go złościło, że widzę, jak mało ma rzeczy. Przysiadłem na łóżku, blisko świeczki. Ja jeszcze widziałem, mgliście i niepewnie, jego profil w pełgającym świetle, lecz on ledwie mógł mnie dostrzec w ciemności. Tak wyszło. Czas jakiś milczeliśmy. Cieszyłem się, że moja twarz pozostała w mroku i mogę mówić prawie niewidoczny.

— Chciałem z panem porozmawiać, zanim pan wyjedzie — zacząłem. To, że mogłem mówić ukryty w ciemności, ośmieliło mnie. — Proszę mnie posłuchać! Przez chwilę, jeśli pan pozwoli. To, co mam do powiedzenia, odnosi się do pana. Wyjeżdża pan jutro rano. Jest wielce prawdopodobne, że nigdy więcej się nie zobaczymy. Przynajmniej ja tak uważam. Mam nadzieję, że jestem w błędzie. (Nie miałem najmniejszej! Ale w ciemności słyszałem mój głos. O stanowczej, płynnej intonacji, brzmiał obco). Spotkaliśmy się ostatnio, ale pan był w towarzystwie. To nic nie znaczy. Zapewne miał pan powód, żeby nie

szukać następnej okazji. Nie uważa pan za dziwne, że odwiedzam pana, aby się pożegnać?

Milczał. Patrzył przed siebie.

— Nie — odparł, po dość długiej chwili. Powiedział to cicho, naturalnie, jak człowiek, który coś przemyślał i odpowiada rozważnie.

Ja także milczałem. Patrzyłem na las oświetlany z oddali przez księżyc. Właściwie półksiężyc, noc była bezchmurna, jasna i ciepła. Czułem, że drzę od lekkiej gorączki.

— W porządku — powiedziałem nieco później. (Od tej chwili mówię o wiele bardziej zdecydowanie). Muszę pana prosić, aby zechciał mnie wysłuchać. Nie jestem tutaj, u pana, przez pomyłkę. To nie leży w moim zwyczaju. Nigdy nie zawieram znajomości. Niech pan sam przyzna: to pan zainicjował naszą znajomość. Ta nasza znajomość była dość krótka, ale i dość osobliwa. Jeszcze nigdy nic takiego mi się nie przytrafiło, mogę to panu powiedzieć po dość długim życiu, że w nawiązaniu tak dziwnej znajomości musiało mi dopisać szczęście. Jest coś w pańskim sposobie bycia... Niech pan sobie wyobrazi, że dla mnie to nowość. Ludzie, z którymi się spotykam, prowadzą całkiem inne rozmowy. Ja wiem, że pan ma rację. Proszę, niech pan mnie źle nie zrozumie. Chciałbym z panem porozmawiać. Trudno jest zacząć. Chciałbym omówić z panem wiele zagadnień. Pan mnie ośmielił. Jest pan młodszy ode mnie... Nie mówię, że chcę pana prosić o radę. Istnieją sprawy, w których rady są bezużyteczne. A jednak, przychodzę do pana. Skoro

już zaczęliśmy rozmowę, może warto ją dokończyć, nie uważa pan?

— Bardzo proszę, panie profesorze — powiedział zgodliwie i cicho. Po czym: — Ale co to jest? Wyznanie?

— Nie — odrzekłem. — Narada. Jak to pan powiedział: dwóch Murzynów... Pan jest młodszy ode mnie, ale możliwe, że widział pan więcej.

— Widziałem? Ależ ja więcej wycierpiałem — powiedział to tonem korygującym, nieomal z dumą.

— Więcej pan wycierpiał — zgodziłem się. — Ja mam pięćdziesiąt cztery lata. Żyję na prowincji. Sądzę, że to, co najgorsze w życiu, mam już za sobą. Przynajmniej tak myślę. Że już nic nie może mi się przytrafić. Kilka miesięcy temu... miewałem czasem takie uczucie, że tracę rozum. Czy widać to po mnie?

Zastanowił się.

— Nie — powiedział zdecydowanie. — Skądże, panie profesorze. Co pan ma na myśli? Ja nie jestem lekarzem. Ale, jeżeli chce pan mówić, proszę zaczynać. Chętnie posłucham. Pod warunkiem, że będzie pan szczery. Ludziom czasami to pomaga, o ile są szczerzy. Ja nie potrafię pomóc.

Teraz już nie wiem, jak długo mówiłem. Może godzinę, może dwie. Pamiętam, że usiadłem głębiej na łóżku, tak, aby nie mógł widzieć choćby ułamka mojej twarzy.

Sądzę, że powiedziałem mu wszystko. Wiele z tego, co mówiłem, już nie pamiętam. Mówiłem chaotycznie. Zacząłem od plakatu. I opowiedziałem mu to ze szczegółami. Nic na to nie rzekł. Powiedziałem, że jestem łacinnikiem. Mówiłem o mojej mat-

ce. Opowiedziałem mu o śnie. Sen. Wtedy zapytał, jak często biła mnie moja mateńka? I w jakich okolicznościach? Zdaje mi się, że akurat to go zaciekawiło. Spytał mnie również o ojca. Potem znów przez długi czas mówiłem tylko ja. Głos mój brzmiał obco, jakby dochodził z daleka. Mówiłem o moich latach studenckich. O kolegach. O uniwersytecie. Czy byłem bardzo biedny, zapytał. Powiedziałem mu, jak bardzo byłem biedny. Opowiedziałem zdarzenie z J. A potem już całkiem bez ładu i składu mówiłem o minionych dwudziestu pięciu latach. Kiedy wymawiałem słowa, czułem, że teraz zbliżam się do tej przeszkody. Prawda, że pozwolił mi mówić. Możliwe, że miałem wysoką gorączkę.

Najwyraźniej przypominam sobie owo upojenie, jakiemu powoli ulegałem: to, że mogę mówić. Nikt nie widzi mojej twarzy. Mogę mówić, co chcę. Przypominałem sobie nieznane, na pół zapomniane słowa, pojęcia, imiona. Jak ktoś, kto wyszedł z więzienia, gdzie milczał przez całe życie. I upija się tym, że może mówić. A ktoś inny go słucha. Nigdy nie wiedziałem, jak cudowną rzeczą jest mówienie. Wylewało się ze mnie wszystko jak z jakiegoś pijaka. Sprawy sprzed dwudziestu lat, sprawy z dnia wczorajszego. Że wczoraj miałem wrażenie, iż coś się stanie. Że mnie, jako dwudziestolatka, jeszcze raz wysmiała pewna kobieta. Że kiedy byłem młodym nauczycielem, dyrektor zwymyślał mnie w obecności moich uczniów. Że przygotowywałem się do jakiejś misji. Że moje mieszkanie ma taki a taki rozkład. Że przez tyle a tyle lat odłożyłem tyle a tyle pieniędzy. Że niedawno byłem w przybytku pani Hajni-

kowej, lecz to mi też nie pomogło. I jakie są objawy owego niepokoju? Kiedy to się zaczęło? I że od tamtej pory mnie nie opuszcza. I że teraz, kiedy to mówię, jest tak, jakbym znalazł swój głos.

Milczałem przez dwadzieścia pięć lat — rzekłem. Czy pan to rozumie? Z nikim nie rozmawiałem tak, jak z nim. Dlaczego? Nie wiem. Bo „więcej wycierpiał”? Może. Że zaczynam cierpieć, jak cierpi ciężko chory człowiek. Teraz, w moim wieku. Co to jest? Czego chcę? Czy uważa, że pomogłaby mi jakaś podróż?...

— Nie — odrzekł. — Skądże.

A więc co? Tak dalej być nie może. I że to jest pierwsza noc w moim życiu, kiedy rozmawiam z drugim człowiekiem.

Człowiek żyje podle, jak zwierzę. Jestem pedantem, z mnóstwem śmiesznych przyzwyczajęń. I dopadł mnie czas. Ciało już nie jest mi posłuszne: żołądek, mózg, wytrzymałość, ręce drżą, wzrok słabnie, psują się zęby. Skinął głową. Powiedziałem mu, że jutro stąd wyjedzie i może tylko dlatego ośmielim się mówić, bo to jest tak, jakbym mówił w próżnię, sam w pustym pokoju. Co to jest, jego zdaniem. Co się ze mną dzieje? Choroba nerwów? Może jednak powinienem wybrać się w podróż? Ale na to już jestem za stary. I że jestem mu niezmiernie wdzięczny, że mogę do niego mówić. Nie wiedziałem, że jeszcze coś takiego mi się przydarzy. Że mogę z kimś porozmawiać.

Nie wiem, jak długo mówiłem. Kiedy umilkłem, on także milczał. Wsparł twarz o dłonie i patrzył na czubki butów.

Osobliwe, że nie czułem żadnej skruchy, kiedy zamilkłem. Nie wstydzilem się tego, co powiedziałem. Jakbym był sam. Teraz też nie czuję żadnej skruchy.

— Cudowny — rzekł po chwili, do siebie.

— Co? — spytałem.

Wszystko to było jak we śnie. Jak we śnie. Nie znajduję innego określenia. Jak we śnie. Przez chwilę czułem się tak, jakbym dostał zawrotu głowy i w trakcie owego zawrotu głowy dowiedział się, że to wszystko, cała ta sytuacja: to łóżko, ten blisko siedzący człowiek, ta świeczka, tam, na zewnątrz księżyc i sosny, i ta szafa, i to wszystko, co powiedziałem, i to, co on teraz powie, że to wszystko już raz się zdarzyło. Że już raz to przeżyłem. Trwało to chwilę. I w trakcie owej chwili czułem też, że znam zawczasu następne słowo, wiem, co powie ten drugi człowiek. To było jak we śnie, tylko we śnie człowiek czuje się tak lekko. Czułem, że teraz coś się ze mną dzieje. Może jutro rano będę miał inną twarz. Lub naraz zacznę mówić po chińsku.

— Człowiek — powiedział. — Jest cudowny. Nic nie jest równie interesujące, nic innego. Gdy słucham pańskiego głosu, wydaje się taki młodzieńczy. Niech pan się nie rusza. Nie chcę widzieć pańskiej twarzy. Stara, prowincjonalna twarz z brodą. Twarz jakiegoś człowieka. A pański głos był teraz głosem chłopca, może studenta. Pełen entuzjazmu, urywany. Może patetyczny. Może uskarżający się. Był to głos żywy. I wyraził wszystko. Mam wrażenie, że wiem o panu wszystko. Spostrzegam pewnego człowieka w jakimś kąpielisku. Coś w nim przeczuwam.

Po co, dlaczego? Tajemnica. Tyle tajemnic jest wokół nas, nieprawdaż? Cudowny jest człowiek. Prawdopodobnie mamy jakiś wspólny kłopot. Coś takiego zdarza mi się po raz czwarty. Bardzo podobnie. Raz był to kelner. Raz kobieta. Raz bardzo młody chłopiec. I teraz pan. To są rzeczy nieobliczalne. Wszystkie cztery przypadki były identyczne i każdy z nich był identyczny z moim. Możliwe, że każdy człowiek jeden raz w życiu eksploduje. A jednak jest cudowny.

— Schlebiam sobie — rzekł później. — Każdy ma jakieś uzdolnienia. Jeden wyczuwa w ziemi wodę. Albo metale. Inny widzi rzeczy na wylot. Ktoś jeszcze potrafi kochać drugiego człowieka. Absolutna tajemnica. Dar. Ja też go mam. Niekiedy zadrzę przed ludźmi. Powiniennem przystanąć. Chciałbym porozmawiać z nimi. Natychmiast, bez ogródek, o czymś bezwzględnie istotnym. O tym, co tutaj dzieje się z nami. Zawsze odgaduję, gdy jakiś człowiek jest bliski kryzysu. Nieskomplikowany dar, który raczej jest nie do wykorzystania. Kiedy zobaczyłem pana, wówczas to także idealnie się powtórzyło. Było coś w pańskim chodzie, także w spojrzeniu. Jakby człowiek znajdował się w skrajnym niebezpieczeństwie. Jego oczy, cała jego istota zrywa się, krzyczy o pomoc. Zdumiewające jest to, co jest w ludziach.

— Niech pan posłucha — powiedział. — To tylko wspomnienie. Akurat przyszło mi na myśl. Opowiem je panu, bo wydaje mi się, że... to jest u mnie ten punkt. W którym wszystko runęło. Trzeba ten punkt, to wspomnienie odnaleźć. Gdyby to mogło

na coś się przydać... To tylko wspomnienie. Miałem dwadzieścia dwa lata. Studiowałem na uniwersytecie, w Wiedniu. Byłem potwornie biedny. Byłem tak biedny, jak człowiek może być biedny w swych młodych latach, gdy urodzi się w biedzie. Z czasem człowiek nauczy się żyć z biedą. Uwija się jak w ukropie, prosi o pożyczkę, uważa się, coś zmyśla. Później już jakoś idzie. Człowiek czterdziestoletni nigdy nie może być tak beznadziejnie biedny jak dwudziestolatek. Kiedy miałem dwadzieścia lat, bałem się pieniędzy. Rumieniłem się, gdy dostawałem od kogoś pieniądze. Z czasem to mija, i to jak! Co? Panu też to przeszło? No tak. — Zakaszał i na chwilę się zamyślił. — Byłem cały w ranach od tej potwornej biedy. Wyświechtane ubranie. Raz w miesiącu szedłem do kawiarni. Byłem studentem filozofii. O kawiarniach myślałem tak, jak umierający myśli o Polach Elizejskich. Z jednej strony w większości kawiarni była muzyka. Lecz poza tym, niech pan sobie wyobrazi: ot, po prostu siedzieć sobie w ciepłej, w jasnym świetle lamp, pod oknem, pić kawę z bitą śmietaną, do tego trzy babeczki, zapalić cygaro, przy tym kelner podaje ogień, siedzieć w subtelny zapachu kawy i dymu z papierosów, a dokoła mnie poukładane na krzesłach w sterty, drogie i wykwiłtne zagraniczne czasopisma — co? — angielskie, francuskie i niemieckie revues i magazyny ilustrowane, pełne zajmujących rzeczy, fotografii z dalekich cudzoziemskich miejsc, reklam samochodowych, sprawozdań z premier teatralnych, tu i ówdzie lekki felieton — kochany panie! Pan się domyśla, czym była dla mnie kawiarnia! A mogłem pójść tam

raz na miesiąc. Stołowałem się w mencie. Mieszkaliśmy we czterech w jednym pokoju. Moment, już ich wymieniam, po kolei: jeden był synem chłopca, brudas. Może się mył, ale na próżno. Klitkę wypełniał nieprzyjemny zapach. Gdy tylko było to możliwe, wychodziłem z domu; wiele czasu spędzałem, przesiadując na ulicznych ławkach. Każda książka była świętem. Książka! Dosyć długo tak żyłem. Nocami zmywałem naczynia w pewnej kawiarni.

— W kawiarni? — spytałem ze zgrozą.

— Jedynie z tyłu, w kuchni. Nie miałem prawa wejść do kawiarnianej sali. Byłem pomywaczem od dziewiątej wieczór do północy. Za co otrzymywałem dziennie koronę pięćdziesiąt oraz kawę i dwie bułki. Ręce miałem ustawicznie czerwone i przeżarte sodą. Od czasu do czasu dostawałem jedną, dwie gazety. Ale nigdy revue, ta bowiem trafiała do innych rąk. Wszystko to mówię nie po to, aby się rozczulać nad sobą. Miałem dwadzieścia lat. Ach, racja, żeby nie wprowadzić pana w błąd: Timár — to tylko mój pseudonim. Moje prawdziwe nazwisko: Habulyák. To nie jest nazwisko mojego ojca, lecz matki. Mária Habulyák — tak się nazywała. Ojca nie znałem. Wychowywałem się w sierocińcu. Właściwie nie byłem znają, ale matka oddała mnie do sierocińca. Coś tam za mnie płaciła. Czasami też odwiedzała. Pamiętam tylko dwa spotkania. W czasie pierwszego mogłem mieć cztery lata. Wtenczas przyniosła mi dwa jabłka. Była służącą. Siedzieliśmy w długim pokoju, w niedzielne popołudnie, w długim, pustym pokoju, ja na krześle, matka naprzeciwko mnie, na ławce. W każdej ręce trzymałem po jabł-

ku. Pamiętam, że na dworze padał deszcz, okno było zamglone od deszczu. Matka siedziała w milczeniu, z rękami na podolku. Mogliśmy tak siedzieć ze dwie godziny. Nie zamieniliśmy ani słowa. Moja matka umiała chyba tylko po słowacku, mnie natomiast wychowywano po węgiersku. Potem poszła sobie. Drugie spotkanie miało miejsce w rok później. Szóstego grudnia, tego jestem pewien.

Bo to przecież dzień Świętego Mikołaja, święto dzieci. Wtedy tak samo siedzieliśmy naprzeciwko siebie, w tej samej sali, ja na krześle, matka na ławce. I też nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Matka była w roboczym odzieniu, tylko tak mogła się urwać tego popołudnia. Przyniosła mi kubek, zwykły chłopski kubek, z jakiego służące piją kawę. W kubku było kilka orzechów. Jeden orzech, na wierzchu, był pozłacany. Ten jeden pozłacany orzech, teraz jestem całkowicie pewien, matka gdzieś ukraffa, zapewne tam, gdzie służyła, gdzie tego rana w bucikach dzieci pełno było takich orzechów. Podczas owego drugiego spotkania także nie rozmawialiśmy. Kiedy matka odeszła, zabrano mi kubek, lecz zwrócono orzechy. Nigdy więcej nie widziałem mojej matki. Powiedziano mi, że wyjechała z miasta. Nigdy też więcej nie słyszałem o niej. Tego również nie mówię po to, by pana wzruszyć. Ale żeby pan zrozumiał, skąd przyszedłem. Zrozumiał pan? Świetnie: kiedy miałem dwadzieścia dwa lata, pewnego dnia, na początku kwietnia, poznałem na uniwersytecie dziewczynę. Była to kobieta jak każda inna: oczy, włosy, usta, twarz, ręce, nogi. Nie pamiętam jej twarzy. Z pewnością to ona zagadnęła mnie, nie

ja ją. Od kilku tygodni uczestniczyliśmy w tym samym seminarium. Pozdrowiałem ją, przychodziłem, odchodziłem. Co się tyczy ubrania, to myślę, że musiałem wyglądać okropnie. Pewnego popołudnia dziewczyna zagadnęła mnie. Żebym ją odprowadził. Była piękna pogoda. Mówiła bardzo słodko, pamiętam to dobrze. Chyba zlitowała się nade mną. Tak jest, miałem dwadzieścia dwa lata. Zszedłem z nią po schodach. Zatrzymaliśmy się w jednej z bram uniwersytetu. Dziewczyna miała niciane rękawiczki, dobrze to pamiętam, zapinała je na guziczki. I wielki, florentyński kapelusz z szerokim rondem. Jeszcze dokładnie pamiętam tę chwilę, kiedy staliśmy w bramie uniwersytetu. Ale to wszystko, co było potem, zlewa mi się w jedno. Nade wszystko, nie pamiętam twarzy tej dziewczyny. Świeciło słońce. Dziewczyna zaproponowała, abyśmy pojechali tramwajem do Lainzu. Zna tam cukiernię, gdzie dają pyszne lody. Nawet dodała: „i tanie” — i rozśmiała się. Ja nic nie powiedziałem. Dziewczyna nie oczekiwała odpowiedzi. Poszła przodem. Ja za nią. Wsiadliśmy do tramwaju. Miałem wszystkiego sześćdziesiąt fillerów.

Wtedy jeszcze o tym nie myślałem. Gdy zwracałem się do dziewczyny, a ona mówiła do mnie, zawirował świat w niebieskich sferach, porywając nie tylko mnie, ale cały ten rozpędzony tramwaj. Bez namysłu kupiłem dwa bilety, ponieważ zawsze byłem szarmancki względem dam. Ba, dwa bilety kosztowały czterdzieści fillerów. Zostało mi dwadzieścia. Niech pan mnie dobrze zrozumie: dwadzieścia austro-węgierskich fillerów. Dziewczyna

była bardzo sympatyczna, otworzyła torebkę i zaczęła w niej gmerać: chciała mi oddać należność za jeden bilet. To była miła, biedna dziewczyna, studentka. Uzbierała osiem grajcarów, przeorała całą torebkę, więcej nie znalazła. Śmiała się. Podróźni także się śmiali. Wręczyła mi osiem grajcarów, mówiąc, że jutro odda mi resztę. Naprawdę miła, morowa dziewczyna. Niczego nie chciała ode mnie. I jeszcze dodała: „No, cóż, wobec tego będę pańskim gościem. Jutro na zajęciach oddam panu dług”. Pojmuje pan? Jutro odda!

U końca Mariahilferstrasse, tam gdzie linia tramwajowa rozwidła się w kierunku Schönbrunn, jest taki mostek... Ach tak? Nie zna pan Wiednia! Wszystko jedno. Słowem jest mostek. Tramwaj tam jedzie coraz wolniej. Gdy dojeżdżaliśmy, pomyślałem: teraz wyskoczę. Była to moja ostatnia wyraźna myśl. Nagle poczułem gwałtowne, ostre bóle żołądka. Paliło mnie i kłuło. Równocześnie zupełnie spokojnie rozmawiałem z dziewczyną. Gdy dojechaliśmy na miejsce, wysiadłem pierwszy i dwornie pomogłem wysiąść pannie. Nie pamiętam jej imienia, chociaż je wymieniła. Krótko mówiąc: byłem szarmancki i pomogłem jej wysiąść. Już w tramwaju chowałem ręce w kieszeniach, aby nie zobaczyła na nich ran po żrącej sodzie. Z rękami i tak zawsze miałem kłopot, ponieważ mi się pociły. Szliśmy więc, ćwierkając, w stronę cukierni. Było naprawdę bardzo ciepło. Dziewczyna czuła się wybornie, cały czas się śmiała. Przepuściłem ją w drzwiach cukierni. Gdybym wtedy, w chwili gdy dziewczyna nacisnęła klamkę, zrobił coś roztropnego, gdybym, powiedzmy: nag-

le runął na chodnik i udawał zemdłego albo po prostu uciekł, wówczas, tak myślę, byłbym dzisiaj zdrowym i szczęśliwym człowiekiem. Zwłaszcza ten upadek na plecy, tak, to byłoby rozwiązanie. Często o tym myślałem. Najlepsze koncepty nachodzą nas po czasie. No, ale teraz to już nie ma znaczenia. Nie upadłem na wznak. Ani nie uciekłem. Dziewczyna szła przodem. Ja za nią. Zajęliśmy miejsce przy stoliku.

Była to mała, niemal zupełnie pusta, a nade wszystko nadzwyczaj tania cukiernia. Dziewczyna nie kłamała: było w niej tak tanio, że nawet wliczając bilety w obie strony, taka wyprawa za miasto naprawdę się opłacała. A towar, jaki nam podano, był bez zarzutu, najwyższej klasy. Poza nami dwojgiem i kelnerką nie było w tej cukierni żywego ducha. Naładzie, pod organdyką leżały ciastka. Wszystko tam lśniło czystością. Wokół lampy gazowej też wisiała organdyka, z powodu much. Zamówiliśmy dwie porcje lodów. A gdy je zjedliśmy, dziewczyna powiedziała:

— Mają tu pyszne lody ponczowe. Jeśli ma pan jeszcze pieniądze, zjedźmy po porcji. Wystarczy panu? Jutro oddam. — I roześmiała się. — Wystarczy — odrzekłem. Wystarczyć, to naprawdę nie wystarczyło mi już na jedną porcję. Porcja lodów — czterdzieści fillerów. Wstałem, poprosiłem o dwa talerzyki i sam wybrałem dwie porcje z ponczem. Do tego dwa pączki. Jeden zwróciłem, aby dziewczyna widziała z jakim gourmandem ma do czynienia. Powiedziałem, że jest nieświeży. W zamian wziąłem kremówkę. Dziewczyna natychmiast ją spałaszowała. Na lody była łasa jak dziecko.

— Niech pani zje jeszcze jednego — poprosiłem.

— Nie, nie — zareagowała natychmiast. — Co też pan? To już byłoby za dużo. — Taka to była dziewczyna. Dwie porcje lodów to było dla niej za dużo. Mówiła nieprzerwanie, patrząc mi prosto w oczy. Jej oczy pamiętam jak przez mgłę: czyste, szare oczy. Możliwe jednak, że się mylę, że były niebieskie. Bo ja już wtedy nie patrzyłem w jej oczy. Z cukierni oszklone drzwi prowadziły do kuchni. Na tych drzwiach było napisane: TELEFON. Niżej: WC. Słowem, było tam wszystko: telefon, klozet, kuchnia. Nad drzwiami wisiał zegar ścienny, spojrzałem na ten zegar. Za pięć minut będzie wpół do szóstej. Miałem jeszcze pięć minut. Co będzie potem, tego nie byłem pewien, ale tyle sobie dałem. Pięć minut. Było wpół do szóstej. Wstałem. Pardon — rzekłem do dziewczyny. Przerwałem jej w pół zdania. Akurat coś mówiła. Pardon, rzekłem i wstałem. W owej chwili jeszcze nie wiedziałem, co uczynię. Dziewczyna popatrzyła na mnie, wyrzała przez okno i powiedziała: proszę. Wyszedłem przez drzwi prowadzące do kuchni. Kelnerka ruszyła za mną. Zatrzymaliśmy się w mrocznym korytarzu. „Chce pan zadzwonić?” — zapytała. Odrzekłem, że nie. Na co kelnerka wróciła do cukierni. Ja wszedłem do WC. Stałem tam trzy, cztery minuty, bez ruchu, w ciemności. Następnie bardzo cicho otworzyłem drzwi. Korytarz był długi. Prowadził do kuchni. Nie było w niej nikogo. Jedno z okien w korytarzu wychodziło na bramę. Nisko zainstalowane i otwarte. Powoli przelałem przez to okno. Absolutnie bezszelstnie. Nigdy nie sądziłem, że potrafię poruszać

się tak cicho. Kiedy człowiek wychodzi z domu, aby zabić, możliwe, że wówczas porusza się równie ostrożnie. Zatrzymałem się w bramie. Był to mały, jednopiętrowy dom na peryferiach miasta. Za bramą widziałem ulicę. Na lewo od bramy była cukiernia. Przesuwałem się ukradkiem, przywarwszy ciasno do bramy, i tak wydostałem się na ulicę, na prawo. Tam nikt nie mógł mnie dojrzeć. I nikt mnie nie dojrzał. Znalazłszy się na ulicy, zebrałem w sobie wszystkie siły i zacząłem biec. Skręciłem w pierwszą boczną uliczkę i biegłem dalej, jak szalony. Na tej ulicy były same wille, prywatne domy. Tu i tam za oknami paliły się lampy, zmierzchało. Robiło się coraz ciemniej. Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy usłyszałem, jak dzwon wybija godzinę. Gdzieś w pobliżu mógł być kościół. Wybiła szosta. Biegłem pół godziny bez przerwy. Oparłem się o jakiś płot, tak byłem wyczerpany. Odliczałem uderzenia dzwonu. Sześć. Sześćdziesiąt. Sześćdziesiąt i czterdzieści. Dziewczyna nie miała złamanego szeląga. Pojmuje pan? Czekala pięć minut. To jeszcze mogło ujść. Potem dziesięć minut. To już była męczarnia. Kelnerka spojrzała w jej stronę. Stałem przy parkanie i widziałem, jak coraz to ukradkiem zerkam w twarz dziewczyny. Lecz dziewczyna nie odpowiada spojrzeniem, sytuacja jest dla niej bolesna, w odrętwieniu wygląda przez okno. O czym myśli? To już piętnaście minut. Zegar nad drzwiami wybija kwadrans. Powinny spojrzeć sobie w oczy; patrz sobie w oczy! — Czy pan — mówi niepewnie kelnerka — nie poczuł się źle? — Krępujący temat, nieprawdaz? Dziewczyna oblewa się rumieńcem. —

Nie sadzę — mówi. Ale kelnerka kręci głową. Jeszcze dwie, trzy minuty. Wtedy kelnerka wstaje. Na co dziewczyna, czerwona jak piwonია, mówi: — Teraz już... sama też tak uważam... należałoby sprawdzić... Gdyby pani była tak uprzejma — dodaje szybko. Kelnerka wychodzi na korytarz. Drzwi zostawia otwarte. Chrząka. Waha się. Wreszcie puka. — Herr — mówi. — Herr. — Nie ma odpowiedzi. Puka jeszcze mocniej. Żadnej odpowiedzi. Naciska klamkę. Klamka ustępuje. Kelnerka cofa się w przerażeniu: kabina jest pusta. Pojmuje pan? Gdzie jest ten dżentelmen? Kelnerka krzyczy: Fräulein! — Dziewczyna biegnie do niej równie przerażona. Stoją przez chwilę oniemiałe ze zgrozy. — Ale — mówi kelnerka — tędy nie można wyjść na dwór. Drzwi stąd prowadzą tylko do kuchni. — A z kuchni nie ma wyjścia. Wchodzą do kuchni. Potem wracają na korytarz. Pan to pojmuje? Już nic nie mówią. Teraz dostrzegają otwarte okno, dziewczyna zaczyna drżeć. Milczą. Kelnerka odzywa się pierwsza: — Tędy mógł wyjść. — Przygląda się otwartemu okno. Mierzy wzrokiem odległość między gzymsem okna i podłogą. — Pan — mówi — z łatwością mógł wyjść przez to okno. Tylko po co miałby tędy przełazić? — Dziewczyna opiera się o ścianę. Patrzy na to okno, widzi mnie, jak przez nie przełazię. I obie wracają do cukierni.

Milczał, uśmiechnął się szyderczo, poprawił szalik na szyi.

— Wszystko to widzę jasno i wyraźnie, uczepiony płotu. Jeśli człowiek widzi coś na własne oczy, nic nie podważy jego pewności. Od czasu do czasu

ktoś przeszedł przede mną. Człowiek po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko mnie, zaświecił gazową latarnię. Ponownie usłyszałem bicie niewidocznego zegara. Siódma. Co teraz robi ta dziewczyna? Już wraca do domu, pieszo. Nie ma pieniędzy na tramwaj. Z Lainzu do Wiednia, pieszo. Może dojdzie na dziewiątą. Ja także ruszam, pieszo. O tym, co działo się z dziewczyną, gdy przyszła kolej płacić rachunek, myślę z roztargnieniem i mimochodem, jak o czymś, co nie jest specjalnie ważne. Zresztą nigdy nie myślałem o tym zbyt drobiazgowo. Prawdę powiedziawszy, do dzisiaj nie umiałem sobie tego wyobrazić. Niekiedy w półmroku słyszę głos dziewczyny, gdy mówi: — Jeszcze jedną porcję ponczowych? To już za wiele... — Albo: — Nie mam nic przeciwko temu; ale jutro oddam... — Jednak to, co słyszę w półmroku, to już inna historia. Idę pieszo, ja również docieram do Wiednia na dziewiątą. O wpół do dziesiątej wchodzę do „mojej” kawiarni. Spodziewam się, że z powodu spóźnienia zbesztają mnie i wykopią. Skradam się ostrożnie jak pies-włóczykij. Ale nikt nic nie mówi. Szef jest w dobrym nastroju. Nikt nie ma mi za złe. Nazajutrz nie idę na uniwersytet. Na trzeci dzień też nie. Czwartego dnia mówię głównemu kelnerowi, że jestem studentem i proszę go o dwadzieścia koron. Daje mi, bo... Bóg raczy wiedzieć. Słowem, dał. Z tymi pieniędzmi natychmiast powróciłem do Budapesztu. Niebawem w ślad za mną wysłano z uniwersytetu moje papiery.

Wstał, podszedł do okna.

— To tylko takie wspomnienie. Przygoda, jeśli pan woli. Wspomnienie ze studenckich czasów.

Wobec tego zapytuję siebie: dlaczego owego dnia nie miałem dwóch koron? Co? Głupie pytanie. Są ludzie, którzy potrafią przechodzić coś takiego jak katar. Ja nie. Do tego trzeba mieć szczęście. Ja się rozchorowałem. Boję się kobiet. Każdej kobiety. Kiedy rozmawiam z jakąś kobietą, przypominam sobie twarz tamtej dziewczyny, jak wygląda przez okno. Stąd ta nerwowość; wszystko jedno, jak pan to nazwie; dość, że tak jest.

Podniósł rękę:

— Gwiazdy — powiedział i pokazał na niebo.

Roześmiał się chrapliwie. — Gwiazdy — powtórzył. — Od tamtego czasu bywałem w Lainzu. Jeszcze zeszłego roku była tam ta cukiernia, ale już tej wiosny ją sprzedano. Nigdy nie spotkałem owej kelnerki. Ani dziewczyny. Gdzieś przepadły.

— Gwiazdy — rzekł po raz trzeci i znów pokazał palcem na niebo.

Po tym wszystkim z powrotem usiadł na łóżku i umilkł.

— Trzeba kogoś kochać — powiedział chrapliwie, niemal w tajemnicy, raczej do siebie. — Raz jeden każde życie eksploduje. Każde. Trzeba kogoś kochać, w przeciwnym razie wszystko jest daremne. Kobiety, to najprostsze. Ale jeśli mnie to właśnie sprawia kłopot? Co mam robić? Próbowałem kochać ludzi. Wszystkich. Ludzkość. Ale to jest trudne, bardzo trudne. Człowiek musi jakoś zabijać czas. Nie?

Wstał:

— Odprowadzę pana do jego pokoju.

— Nie trzeba — powiedziałem.

Ja także wstałem. Gdy ściskaliśmy sobie ręce, rzekł:
— Ma pan gorącą dłoń. Czy to może gorączka?
Tak, jest pan chory. Bóg z panem, panie profesorze.
Jaki cichy wieczór. Jutro wyjeżdżam. Nie, niczego
mi nie trzeba. Nie mam adresu. Jadę do Wiednia,
żyję tam. Niech pan się leczy. Nie ma pan nikogo?
Niech pan kupi psa...

I całkiem poważnie dodał:

— Dlaczego nie?

Staliśmy w drzwiach. Jedną rękę już miałem na klamce. Już byłem oddalony odeń o krok. Kiedy poruszyłem się, aby odejść, on także się poruszył. Postąpił ku mnie i obie ręce położył mi na ramionach. Po czym, trochę wspinając się na palcach, bezgłośnie, pocałował mnie w twarz z obu stron, dwa razy.

Gwałtownie się odwrócił, podszedł do okna i wychylił się. Stałem przez chwilę w oszołomieniu, po czym bez słowa wyszedłem. Noc rzeczywiście była cicha i ciepła. Gdy dotarłem do mego pokoju, powaliła mnie gorączka. Ale spałem przy otwartym oknie. Dzisiaj czuję się gorzej. Rano przyniesiono mi bilet wizytowy. Na bilecie było napisane:

„Proszę wpłacić w biurze dziewięćdziesiąt koron w moim imieniu. I jeśli pan może, proszę wysłać sto dziesięć koron do Wiednia, na poste restante, główna poczta. Ágoston Timár. Sto dziesięć i dziewięćdziesiąt to razem dwieście. Oddam z końcem grudnia. Liczę na pana. Można na pana liczyć”.

Wyślę mu pieniądze. Z pewnością są mu potrzebne, skoro prosi.

2 września

Dzisiaj nie mam gorączki. Jutro wyjeżdżam. Dzierżawca powiada, że to była letnia grypa. Może. Ja czuję się tak, jak po jakiejś ciężkiej chorobie. Teraz już mam się znacznie lepiej. Szkoda, że jestem taki słaby. Gorączka bardzo mnie rozbiła. Chętnie poszedłbym jeszcze raz na punkt obserwacyjny. Już nigdy tutaj nie przyjadę. Jestem bardzo zmęczony.

5 września

Wróciłem do domu i rozpakowałem się. Nie wiem, gdzie powinienem schować ten dziennik?

26 września

Dzisiaj, w niedzielne popołudnie, przeczytałem ten dziennik od a do zet. Uważam za konieczne zapoznać się z kilkoma przypisów, zanim definitywnie zamknę go i gdzieś wetknę. Możliwe, że go spalę, ale tego nie jestem pewien. Na wszelki wypadek gdzieś go schowam.

Jeśli go stanowczo nie porzucam, to dlatego, że być może, któregoś dnia pokażę go pewnemu lekarzowi. Myślę, że coś takiego może lekarza zainteresować. Teraz, gdy uważnie przeczytałem te notatki, widzę jasno, że byłem bardzo chory. Jestem po ciężkiej chorobie, to pewne. Z drugiej strony czuję, pod każdym względem, że mam to za sobą. Nauczyciel historii, z którym tylko przelotnie zamieniłem kilka zdań, pogratulował mi. Powiedział, że jestem odmieniony. Nie nawiązał do tamtego wieczoru. Ja też

słowem nie napomknąłem. Sam czuję, że wyglądam lepiej. Znowu wstaję punktualnie wpół do siódmej i wszystko działa jak należy, bez przeszkód. Apetyt też mi się poprawił.

Słowem, wszystko zaczyna się układać.

Naturalnie, nie tak od razu.

Są jeszcze „objawy szczątkowe”, jak zwykł to nazywać nauczyciel higieny. Ale to naturalne. Te „objawy szczątkowe” nie są już tak rozległe i głębokie.

Mając to wszystko na względzie, uważam, że postąpiłem słusznie, decydując się tego lata na wyjazd.

To prawda, że jeszcze przez kilka dni po powrocie byłem bardzo słaby. Nie mogłem pójść na *Veni Sancte*¹. Jakiś czas musiałem pozostać w domu. Sądzę, że był to ostatni atak choroby. W związku z tym przypomniałem sobie, jak wzruszająco troszczyła się o mnie moja gosposia. Naprawdę wzruszająco. A jest u mnie ledwie od czterech lat. W ostatnim czasie coraz bardziej mnie porusza okazywana mojej osobie uwaga bądź troska obcych ludzi. Wstyd mi, że niczego jej nie przywiozłem z podróży. Zapomniałem o gościńcu. Do nikogo też nie wysłałem kartki. Z czego również wynika, jak bardzo byłem chory. Wynagrodzę jej to na Boże Narodzenie. Podaruję jej chustę... Zauważyłem kiedyś na jednej z wystaw przy ulicy Głównej dzierganą chustę. Nader odpowiednią dla starej kobiety. A więc tak, tę chustę.

Uważnie przeczytałem niniejsze zapiski i w trak-

¹ *Veni Sancte* (łac.) — uroczysta msza na początek nowego roku szkolnego nazywana tak od pierwszych słów hymnu *Veni Sancte Spiritus* — „Przybądź, Duchu Święty”.

cie lektury naszło mnie uczucie, iż powinienem być wdzięczny Opatrzności, jako że wyzwoliłem się z wielkiego zagrożenia. Uważam za wielce prawdopodobne, że przed paroma tygodniami byłem bliski jakiegoś poważnego rozstroju nerwowego, być może kompletnego zwariowania. Co zresztą opisałem w pewnym miejscu. Mogę to stwierdzić teraz, znajdując się w bezpiecznym ustroniu ze spokojnymi nerwami. Czytałem ów dziennik jak wyleczony pacjent, rekonwalescent odczytuje wykres gorączki z czasu, gdy zagrożenie było zaiste śmiertelne. Liniją, która skacze raz w górę, raz w dół. Raz było nawet czterdzieści z kreskami. Tego wieczoru, gdy odwiedziłem tuż przed wyjazdem owego obcego człowieka, Ágostona Timára.

Dla porządku zapisuję, że wysłałem temu nieszczęśliwemu człowiekowi sumę, o jaką mnie był prosił, i uiściłem w biurze kąpieliska jego dług w wysokości dziewięćdziesięciu koron. To i sto dziesięć koron, które mu wysłałem, to razem dwieście koron, plus opłata pocztowa dziewięćdziesiąt fillerów. Nie, iżbym liczył na to, że mi odda. Zapisuję to wyłącznie dla porządku. Aczkolwiek jestem przekonany, że mi odda.

Wszystko jedno. Cieszę się, że poprosił. Bardzo rzadko się zdarza, aby ktoś zwracał się do mnie z prośbą o pożyczkę. Na to żyję zbyt skrycie. Być może ludzie mają mnie za skąpca. Bardzo się cieszę, że ktoś zwrócił się do mnie z prośbą, a ja mogłem mu pomóc.

Nikomu w mieście nie mogę powierzyć mojego dziennika. Mogłby zainteresować lekarza, ale nie

ma tu takiego lekarza, który zajmuje się psychologią. Na razie zatrzymam go u siebie. Jest dla mnie ciekawy jako dokument, ukazujący, jak bardzo byłem chory.

Trzy tygodnie starałem się nie ulec pokusie przeczytania tych zapisków, sądziłem bowiem, że nie będzie to dla mnie korzystne. A może wręcz mnie rozdrażni. Ale nic nie pozostało z tych obaw. Sądzę, że nic... Nic istotnego. Minęło. W rezultacie cieszę się, że prowadziłem dziennik w tym właśnie okresie.

Teraz już nawet potrafię spokojnie zastanawiać się, co mogło być przyczyną tej choroby? Z pewnością nadmiernie żywiłem się samotnością, to też. Więcej powinienem był być wśród ludzi. I będę, podjąłem takie postanowienie. Częściej będę bywał wśród ludzi. Nadto, jak sądzę, w ostatnich latach zaniedbałem regularną pracę duchową. Żyłem gnuśnie, z dnia na dzień. Postanowiłem zajmować się żywiej studiami filologicznymi. Już nawet przygotowałem sobie pewien skromny program. Muszę sprowadzić kilka książek... W najbliższych dniach. Trzeba spacerować, trzeba zatrudniać ducha, podobnie jak ciało. Duch potrzebuje aktywności. Gdy duch jest beczynny, zaczyna kwaśnieć, rozkładać się. Jak ciało. Teraz będzie z tym inaczej. Inaczej zagospodaruję swój czas.

Cieszę się również z tego, że w tym roku szkolnym będę miał więcej zajęć. Jestem wychowawcą klasy. I musiałem przejść nową, zupełnie mi nieznaną ósmą klasę. A to przysporzy mi pracy. Teraz wszystko będzie inaczej i wszystko zaczyna się dobrze.

Nade wszystko częściej będę przebywał wśród ludzi.

W rzeczy samej, trzy dni temu byłem w kasynie. Po raz pierwszy od tamtego czasu... Nie mówię, że przyszło mi to łatwo. Do dziś wisi tam ów plakat. A jednak mogłem nań patrzeć zupełnie spokojnie. Ładny, ciekawy plakat. Nic więcej. Wcale mnie nie obszedł; minęło.

Rozpocząłem też moje rutynowe spacerunki, tymi samymi ulicami. Miasto o tej porze roku, pod koniec września, jest najpiękniejsze. Na korso wokół Baszty aż się roi od chłopaków. Jestem u siebie. Dobrze mi tutaj, bo gdzie mam być jeśli nie tu?

Czuję, że powoli wypełnia mnie wielkie uspokojenie. Rzecz ważna: nie wolno mi zajmować się podobnymi kwestiami. Nie wolno mi poddawać samego siebie nieustannemu sprawdzianowi. Jeśli bowiem człowiek stale siebie egzaminuje, może niekiedy dokonać zaskakujących odkryć. A na cóż mi to? To tylko zaskoczenie, emocjonujące zaskoczenie. Nie należy w siebie zaglądać. Dość już tego. Raz jeden spróbowałem, przypadkowo... Wystarczy.

Teraz zaczyna się spokojniejszy czas.

Uważnie przeczytałem dziennik. Wyraźnie widzę kompletny obraz choroby. Mam ją za sobą. Wyzdrowieję.

Wspaniałe jest i to, że jestem u siebie. Gdzież jeszcze znalazłbym tyle spokoju, co w moim mieszkaniu? Tego właśnie potrzebuje stary człowiek. Jestem stary, trudno. Ta cisza, ten pokój, ten fotel, ten zegar, ten stojak na fajki, sitko na tytoń, półka z książkami, których co prawda na razie nie czytam... ale

ta cicha ulica z kasztanowcami przed moim oknem, to jest cały mój świat. To dał mi los. I tak jest dobrze. Nie proszę o więcej. Jestem sam i tak też jest dobrze. Pokój panuje wokół mnie, pokój jest we mnie.

Nie zaniecham tego dziennika, skoro już go znalazłem. To także jest wypełnianie czasu. Przed zaśnięciem albo co niedzielę zanotuję to, co widzę, co zdarzyło się w minionym tygodniu. Wypełnię nim czas.

Wystarczy na dzisiaj. Muszę poprawić wypracowania. Może jutro wieczorem powrócę do tych zapisków.

28 września

Wczorajszego wieczora nie wróciłem do dziennika, a teraz nawet już nie wiem, co chciałem zanotać. Niezmiennie trwa powrót do zdrowia. Nie obserwuję żadnych symptomów. Jestem spokojny. Przy tym mam dość dużo pracy.

Ani mi się śniło, że w tym roku szkolnym podejmę się wychowawstwa klasy.

Tymczasem, kiedy powróciłem z Virágfüred, wszystko już było zaplanowane: dyrektor namawiał mnie. A ja nie chciałem się podjąć, przy czym nie szło mi o wychowawstwo, lecz o ósmą klasę. Wyższe klasy nigdy mnie nie kusiły. Zwykle uczyłem łaciny do końca klasy czwartej, potem przekazywałem uczniów Halasiemu. Bardzo rzadko podejmowałem się zajęć w klasie piątej. Tylko trzy razy w ciągu dwudziestu ośmiu lat poprowadziłem klasę do matury. To nie jest moja domena. Do czwartej — jestem w

domu! Bardziej też lubię młodszych chłopców. Gdy stają się wyrostkami, a zaczyna się to od piątej klasy, przestaje mnie cokolwiek z nimi łączyć. Nieomal są mi antypatyczni. Najlepiej czuję się w pierwszej i w drugiej. Kiedy są jeszcze całkowicie niewinni, mali. Mam wypróbowaną metodę na pierwszą klasę, na podejście do pierwszych pojęć i myślę, że nie jest to metoda najgorsza.

Z siedmio-, ośmioklasistami zawsze są trudności.

Nie potrafię wpaść we właściwy ton, szczególnie jeśli to nie ja zaczynałem z nimi, jeżeli nie ja doprowadziłem ich do tego miejsca. W wyższych klasach jestem pedantem, niemiłym belfrem, wiem o tym. To rodzaj samoobrony. Nic na to nie poradzę. Do czwartej klasy włącznie jestem na dobrej stopie ze wszystkimi uczniami.

A teraz ta zupełnie obca mi klasa.

Wszystkich ich, od pierwszej klasy, prowadził jako wychowawca Halasi. I oto teraz, właśnie teraz, przed maturą, trafili do mnie. Halasiego powołano na stanowisko wicedyrektora w Miszkolcu.

Zawsze był karierowiczem. Wyjechał jeszcze w czasie wakacji.

Pozostawił tu trzydzieścioro czworo wychowanków. Jeszcze nie zdążyłem się wśród nich rozeznać. Jak to widzę po samej tylko łacinie, nie pozostawił ich w najlepszym stanie. Nigdy nadmiernie nie ufałem Halasiemu. Znajomość gramatyki wśród uczniów jest raczej przeciętna. Umiejętność formułowania myśli — mierna. Są nastawieni na *memoriter*¹.

¹ *Memoriter* (łac.) — na pamięć.

Tego, owszem, oczekiwałem, bo taka jest metoda Halasiego. *Memoriter*, co jest efektowne i wygodne. Ale wczoraj jeden z uczniów, Puliszka, potknął się na czasowniku. Nie rozpoznał *plusquamperfectum*¹. U Halasiego miał „dobry”. U mnie nie będzie miał.

Nie znam jeszcze wystarczająco stopnia zdyscyplinowania klasy. Na razie nie mogę narzekać. W ogóle mogę powiedzieć, że panowała względna cisza. Mészáros, który od czterech lat uczy ich języka węgierskiego, twierdzi, że klasa się poprawiła. Co, wedle niego, nie jest zasługą Halasiego, lecz *coeducation*. W zeszłym roku do klasy (siódmej) włączono sześć dziewcząt. Jest to pierwszy przypadek koedukacji w naszym gimnazjum. Póki co, jest to próba, na wyraźne życzenie ministerstwa. Ja nie jestem zwolennikiem koedukacji. Ale Mészáros twierdzi, że ma to dobry wpływ na chłopaków. Są poważniejsi i staranniejsi. Nic z tego nie rzuciło mi się w oczy.

Dziewczęta przychodzą skwapliwie na zajęcia. Już pierwszego dnia zarządziłem, aby usiadły osobno, całą szóstką, w jednej ławce po lewej stronie. Nie życzę sobie, aby siedziały wymieszane z chłopakami.

Z Horacym jestem za pan brat. Tacyta zacznę z początkiem października. Jestem zmuszony przygotować się do lekcji. Dotychczas nie zajmowałem się Tacytem.

Wczoraj gospoia zaskoczyła mnie takim oto życzeniem, abym kupił kanarka, i to razem z klatką. Wdowa po krawcu z sąsiedztwa wystąpiła z tą pro-

¹ *Plusquamperfectum* (łac.) — gram.: czas zaprzeszyły.

pozycją. Krawiec zmarł pół roku temu. Pomyślałem o dobrej radzie Timára i kupiłem tego kanarka. Popolity, odrobinę zielonkawy kanarek. Pierwszego dnia klatka wisiała w jadalni, ale na mój gust kanarek trochę za dużo gwizdał. Jakkolwiek niezaprzeczalnie mile, to jednak za dużo. Dlatego poprosiłem gosposię, aby zabrała go do swojego pokoju.

Trzymanie kanarka nie wydaje mi się rzeczą konieczną. Myślałem, czyby nie kupić złotych rybek, są bowiem ciche i poruszają się. Na ulicy Floriana jest taki sklep, w którym można je dostać, po przystępnej cenie. Ale potem rozmyśliłem się: nie wydaje mi się, abym potrzebował złotych rybek. Z takimi stworzeniami zawsze jest tylko kłopot. Rozchorują się, zestarzeją i zdechną, a człowiek potem ubolewa.

Niczego nie potrzebuję.

Gdybym kupił psa, miałbym z nim tylko utrapienie. Niepotrzebny mi pies. Tym bardziej, że czuję się coraz lepiej. Dzisiaj po południu szedłem sobie ulicą i natknąłem się na weterynarza. Przystanął, dawnośmy się nie widzieli. Powiedział:

— Masz wspaniałą cerę. Po prostu odmłodziłeś. Chód masz jak dawniej. Cały jesteś jak dawniej.

Ja sam też czuję, że chód mam jak dawniej. Chodzę z rękami założonymi z tyłu, twardym krokiem, jak niegdyś. Jeszcze parę miesięcy temu tak nie chodziłem. I dobrze śpię. Nie najgorzej śpię.

Przypominam sobie minione lato jak coś bardzo odległego, coś sprzed wielu lat.

3 października

Wszystko toczy się jak należy. Wczoraj sporządziłem nowy rozkład dnia. Nie można bez tego żyć. Ten nowy jest następujący:

6.30: Pobudka.

7.00: Śniadanie.

7.30: Spacer.

8.00–12.00: Zajęcia.

12.00–12.30: Spacer.

12.30–13.30: Obiad.

13.30–14.30: Sjesta.

14.30–17.00: Poprawianie wypracowań, przygotowanie się do jutrzejszych zajęć.

17.00–18.00: Spacer.

18.00–19.30: Kasyno.

20.00: Kolacja (lekka, bezmięsna).

21.00: Czytanie w łóżku.

22.00: Sen.

Zmienia się to tylko w piątek, kiedy jest konferencja. Wówczas wypada sjest, a kasyno skraca się o pół godziny. Uważam, że udało mi się sporządzić celowy rozkład dnia, w którego ramach można zdrowo żyć.

6 października

Dzisiaj jest święto męczenników z Arad¹. Mnie, jako wychowawcy klasy ósmej, przypadł obowiązek

¹ Po klęsce powstania węgierskiego (1848–49) 6 października 1849 w Aradzie Austriacy dokonali egzekucji trzynastu generałów honwedzkich.

wybrania wychowanka, który wygłosi mowę żałobną w imieniu młodzieży. Nie znałem klasy, dlatego wezwałem wychowanków, by sami wyznaczyli ucznia, który by się do tego nadawał. Cała klasa wszczęła okropny hałas:

— Madár! — wołano jednogłośnie. — Madár!

Madár, jak się dowiedziałem, jest klasowym poetą i sekretarzem kółka samokształceniowego. Jakiś do tej pory nie rzucił mi się w oczy. Siedzi po prawej stronie, w piątym rzędzie ławek, z brzegu. Pryszczaty, z dużym nosem, o zakłopotanym spojrzeniu, niezbyt sympatyczny młodzieniec. Jeszcze nie ma u mnie żadnego stopnia. Przyjrzę mu się uważniej. Wielkim było dla mnie zaskoczeniem, iż przewodniczącym kółka samokształceniowego jest Puliszka. Drażal. To ten, który nie rozpoznaje *plusquamperfectum*. Teraz go sobie przypomniałem. Był pupilem Halasiego. Na mnie zrobił wrażenie wyjątkowo ograniczonego. Jego ojciec jest notariuszem w Sáros.

Poprosiłem o ciszę i zapytałem, dlaczego Puliszka nie miałby wygłosić mowy?

Klasa nagle zamilkła. Znam ten rodzaj milczenia. Puliszka również milczał i nie spojrzał na mnie. Musi tu panować jakaś wielka zazdrość między Madárem a Puliszką. Muszę dowiedzieć się czegoś więcej. W takich razach lubię mieć czystą sytuację, zwłaszcza że jestem wychowawcą.

— A więc, jak to jest, Puliszka? — spytałem. — Dlaczego nie chce pan mówić o narodowych męczennikach?

— Panie profesorze — odrzekł Puliszka z twarzą

nabiegłą krwią. — Klasa woli Madára. Chętnie ustępuję.

— Czy to prawda? — zwróciłem się do klasy.

— Madár! — zawołały trzydzieści dwa gardła.

Pałacowa rewolucja. Nie znam ich osobiście, co utrudnia sytuację. Są to już nieomal gotowi ludzie, nie tylko dzieciaki. Oni żyją razem od ośmiu lat, a ja ich nie znam. Nie ośmieliłem się wtrącać, rzekłem jedynie:

— Madár, pan jest sekretarzem. Czy chce pan wygłosić mowę? Tak, czy nie? — I zanim zdążył odpowiedzieć, zapytałem jeszcze: co tu jest między wami? Puliszka! Madár! Co jest między wami?

Obaj powstali. W tym roku szkolnym była to pierwsza krytyczna godzina. Wszyscy milczeli. Trzydzieści dwie pary oczu wbiły się we mnie i tych dwóch uczniów.

Z wieloletniej praktyki wiem, że w życiu każdej klasy, każdej takiej małej wspólnoty jest pewien czuły punkt: jest to kwestia priorytetu. Każdej wspólnocie niezbędny jest przywódca. Tego rodzaju zwierzchność sami chłopcy wyłaniają spośród siebie z biegiem lat. Zawsze jest ten jeden, który całkiem naturalnie, bez słów, zostaje tym najpierwszym. Rzadko jest to najlepszy uczeń. Najczęściej — herszt bandy. Lecz jego przewaga jest oczywista. W życiu klasy to on jest wodzirejem. W ciągu dwudziestu ośmiu lat zauważyłem, że — dziwna rzecz — później, w życiu, owi hersztowie bandy, owi prezydenci republiki rzadko do czegoś dochodzą. Uważnie przyrzętałem się tym dwóm wychowankom. Madár jest wąty, chudy. Puliszka ogromny, tryska zdrowiem.

Madár jest inteligentny i robi wrażenie niepewnego siebie. Puliszka jest silny, lecz robi wrażenie ograniczonego. Godzinę później dowiedziałem się, że Puliszka jest najlepszym gimnastykiem w naszej szkole, a także chlubą młodzieżowej drużyny piłki nożnej. W przedmiotach szkolnych pilny, lecz przeciętny. W łacinie, co już mogłem stwierdzić, orientuje się słabo. Przewodnictwo kółka samokształceniowego może zawdzięczać raczej swoim wyczynom sportowym. I to dlatego jest dumą naszego gimnazjum. Madár jest złym gimnastykiem, ale w pozostałych przedmiotach znacznie powyżej przeciętnej. Z języków zdecydowanie dobry. Z matematyki też dobry. Sprawowanie — z tym bywa różnie. Poza tym jest poetą numer jeden w całym gimnazjum. Pisze wiersze i w siódmej klasie to on był wydawcą gazety. O ile wiem, teraz niczego nowego nie wydał.

— Panie profesorze, niczego między nami nie ma — powiedział Madár. — Puliszka jest przewodniczącym. Jeśli chce wygłosić mowę, proszę mu ją powierzyć.

Mówi przez nos, ze spuszczonej oczami i w jego sposobie bycia jest coś aroganckiego. Chłopak nie jest sympatyczny. Puliszka jeszcze bardziej się zmieszał.

— Madár jest poetą — powiedział z zakłopotaniem, ale i z pewną dozą pogardy.

Klasa zarżała. Ja też się roześmiałem. Dziewczęta również się śmiały. Oto dłaczego Madár wygłosił dzisiaj mowę. Mówił dość krótko. Gestykulował w białych nicianych rękawiczkach. Był blady, ale rzecz wykladał płynnie. Jedno jego zdanie skwitowano

uśmieszkami. O październikowych męczennikach powiedział, że „...zamienili się w herosów”. Nauczyciel węgierskiego pokręcił głową. Dyrektor to samo. Wszyscy się uśmiechali. Człowiek nie „zmienia się” w herosa. Na szczęście nie zauważył, że wywołał krzywe uśmieszki, inaczej bowiem niechybnie by się zaciął.

Dam na niego baczenie. W ogóle zaczynam pozwoli poznawać ósmą klasę.

7 października

Babie lato. Teraz, jesienią, miasto jest zupełnie inne. Wszędzie w gospodach piją moszcz. W kasynie także można dostać świeżego moszczu. Tuż za moim oknem, a także na korso pożółkły kasztanowce. Dokądkolwiek idę, wszędzie spadają kasztany.

W południe przez dziesięć minut przyglądałem się pierwszoklasistom, którzy wskakiwali na stare kasztanowce rosnące na dziedzińcu naszego gimnazjum. Ja też niegdyś lubiłem zbierać kasztany. Gdy wracali na lekcję, wszyscy mieli kieszenie wypchane lśniącymi kasztanami. Żałuję, że w tym roku szkolnym nie uczę pierwszoklasistów. Chętnie przebywałbym z nimi. Nieporównanie chętniej niż z ośmioklasistami.

Aczkolwiek pod względem dyscypliny nie mogę narzekać. Klasa jest dość cicha i posłuszna. Z drugiej strony też nie słyszę skarg. Raczej są słabi pod względem naukowym. Nie jestem ukontentowany metodą Halasiego.

Dzisiaj w czasie sjeisty wszedłem do pokoju mo-

jej gosposi i przyjrzałem się kanarkowi. Zwie się Jancsi. Gosposia twierdzi, że kanarek jest w złym nastroju, ponieważ pokój jest ciemny. W jadalni było widniej, tam czuł się lepiej. Co mam zrobić? Pozwoliłem, aby go przeniosła do jadalni. No i, oczywiście, znowu gwizdże. Ale już nie chcę się odzywać. Teraz, po południu, kiedy to piszę, także słyszę, jak gwizdże. Gosposia twierdzi, że gwizdże cudownie. Ja nie mogę tego powiedzieć; jak na moje ucho to gwizdże odrobinę zbyt monotonicznie. Skoro jednak jest to jedyna radość tej starej kobiety, niech sobie gwizdże. Mam nadzieję, że przywyknę...

W przyszłym tygodniu czeka mnie nieprzyjemna sprawa: nauczycielowi fizyki urodziła się córka. Trzeba pójść na chrzciny. Ów nauczyciel ma czterdzieści pięć lat i pozwala sobie na coś takiego; lekomyślny człowiek, bez dwóch zdań. Tym bardziej, że już ma dwoje dzieci. Tonie w długach. Dla mnie są to, że tak powiem, jedyne okazje, kiedy poza kasynem ocieram się o jakichś ludzi. Chrzciny. I pogrzeby. W tych dwóch przypadkach odmowa jest niemożliwa. W ciągu dwudziestu ośmiu lat, odkąd jestem w tym mieście, uczestniczyłem w kilkuset chrzcinach i pogrzebach. Wszystkie były takie same. Te też nie będą inne.

Jest tak ciepło, że mogę spać przy otwartym oknie.

9 października

Dzisiaj w pokoju nauczycielskim dłużej rozmawiałem z Mészárossem. Jest to człowiek ograniczony, prawie mój rówieśnik. Żonaty. Miał syna, który

zmarł śmiercią tragiczną, studiował filozofię, zamie-
rzał zostać nauczycielem, jak ojciec. Ten cios niemal
powalił Mészáros. Nigdzie nie bywa. Żyje w domu
z żoną... Nie byłem u nich ani razu. On też nie jest
specjalnie rozmowny.

Przypadkiem zeszedliśmy na temat jednego z uc-
niów, tego nazwiskiem Madár. Mészáros powiedział,
że to zdolny chłopak, lecz w pilności nierówny, a
charakter ma nieprzejrzysty. Chyba jest obłudny.
Na mnie robi podobne wrażenie. Mówiąc, mruga i
lustruje człowieka od dołu do góry. Często spuszcza
wzrok. Nie jest stąd, z tego miasta, mieszka na stan-
cji. Jego ojciec był starszym leśnikiem w hrabiow-
skim lesie, już nie żyje. Matka pracuje na niego,
przysyła mu pieniądze. W szóstej klasie miał sty-
pendium, ale pod koniec roku je utracił. Bez sza-
cunku odpowiadał Halasiemu. Z trudem przywró-
cono mu zwolnienie od czesnego.

Mészáros rozwodził się o dyscyplinarnych zale-
tach *coeducatio*. To jest akurat taka kwestia, o której
niechętnie dyskutuję; ani z nim, ani z nikim innym.
Mam na to swój określony pogląd, ale zachowuję
milczenie. Dyrektor również jest zwolennikiem *co-
educatio*, prawdopodobnie dlatego, że w ostatnim
czasie ministerstwo robiło silną propagandę temu
systemowi. My także, wśród wielu innych, jesteśmy
terenem doświadczalnym.

Moje stanowisko jest takie, że w wyższych kla-
sach i to począwszy zaraz od piątej, *coeducatio* nie
powinna być utrzymana. W pierwszych czterech la-
tach, gdy mowa jest jeszcze o dzieciach, ujdzie. Ale
już od klasy piątej uważam ją, z punktu widzenia

dyscypliny i moralności, za niebezpieczną. Jest bowiem rzeczą groźną dla moralności młodych ludzi dojrzewających płciowo w sposób różnorodny, jeśli w okresie *pubertas*¹ przebywają w jednej sali przez większą część dnia. To jest mój własny pogląd, z którego zresztą nikomu nie muszę się spowiadać.

Mészáros mówi co innego. Przykładami poświadcza, że to pobudza ambicję chłopców, jeśli dziewczęta obserwują ich postępy. Jest to pośredni tryb zalecania się, powiada Mészáros. Chłopcy starają się prześcignąć dziewczęta, udowodnić dobrymi odpowiedziami, że są lepsi od nich, inteligentniejsi. Podług mnie jest to osobliwe stanowisko, jeśli chodzi o pedagogikę.

Weźmy choćby takiego Madára, mówi Mészáros. Był dobrym uczniem, ale pod koniec siódmej klasy nie przekroczył granicy przeciętności. A pod względem dyscypliny dał aż nadto powodów do niezadowolienia. Podstępny, herszt klasowej bandy, często kroć opryskliwy i zuchwały. Wielebny, który daje lekcje religii, miał wiele poważnych zastrzeżeń pod jego adresem. Nieraz spięli się w kwestiach wiary. Pod koniec szóstej klasy utracił stypendium, chociaż, wedle Mészárosa, chłopak jest zdolny. I oto teraz, twierdzi Mészáros, który uczy go od dawna, teraz, od klasy siódmej, kiedy doszły dziewczęta, chłopak jakby się odmienił. Spowaźniał, przycichł. Jest mniej porywczy. Lepiej się uczy. W minionym roku szkolnym był już naprawdę dobry. Mészáros przypisuje to wpływowi owych dziewcząt. Zależy mu na

¹ *Pubertas* (łac.) — tu: dojrzewanie.

nich, rozpalają jego ambicję — twierdzi Mészáros. Nic nie odpowiedziałem. Jeszcze nigdy nie uczyłem w klasie koedukacyjnej. Mam na ten temat własny pogląd. Na wszelki wypadek będę miał na oku tego Madára.

10 października

Dzisiaj boli mnie głowa. Z największym zdumieniem stwierdzam, że od czasu powrotu do domu pi-szę w tym dzienniku o wszystkim, z wyjątkiem tego, co mnie naprawdę zajmuje.

11 października

Na przykład nie napisałem ani słowa o Timárze, aczkolwiek wiele myślałem o nim. Bodaj codziennie. Dlaczego o nim nie napisałem? Możliwe, że w głębi serca chciałem go zapomnieć. I jego, i całe to lato. Co za dziwaczne, niejasne przeżycie! Nie ma w nim nic, lecz coś jednak jest, do czego niechętnie powracam myślą. Coś... coś nieczystego. Otóż to: nieczystego. Coś, o czym człowiek nie mówi, czego najchętniej wyparłby się przed samym sobą.

Teraz, gdy ponownie żyję w starych koleinach i, Bogu dzięki, opuścił mnie wszelki niepokój, gdy znów jestem, kim byłem, kimś, kto ma swoje środowisko, tytuł, mieszkanie i zatrudnienie — a wszystko to wcale nie poślednie — i gdy idę przez miasto, jestem kimś, przed kim zdejmują kapelusz, kimś, kto — mogę to spokojnie napisać — cieszy się szacunkiem i jeśli to nawet w sumie niewiele, to wol-

no mi przecież bez nadmiernej pewności siebie powiedzieć, że własnymi siłami dobiłem się tej skromnej pozycji; teraz, bywa, potrafię kartkować ten dziennik ze zdziwieniem i konsternacją, i jedynie ze zdziwieniem i konsternacją potrafię myśleć o tym, że przed paroma tygodniami byłem w stanie długo rozmawiać o wstydlivych i najszybszych, najbardziej poufnych, najbardziej osobistych sprawach z człowiekiem obcym o niejasnej profesji i takiejż powieści.

Niekiedy czuję — a to jest coś, o czym dotychczas nie pisałem w tym dzienniku — że Timár, którego ledwo znam, jest jedynym człowiekiem, który mógłby być moim przyjacielem. Z którym mam coś wspólnego. Choć ledwie go znam. A o którym często muszę myśleć.

I może to nawet mądre, że czynię niniejsze zapiski. Bez wątplenia, mam za sobą kryzys. Jestem teraz o wiele, o wiele spokojniejszy. Znow odnalazłem siebie. Niemal przez cały dzień jestem, jakim byłem dawniej. Tylko gdy w nocy siedzę samotnie w moim pokoju, nie jestem taki jak dawniej.

Muszę się tym zająć, chociaż wiem, że jest to niebezpieczne. Ale nic na to nie poradzę, nie mogę inaczej. Nocną porą myślę, muszę myśleć, szczerze, inaczej niż za dnia. A to zły nałóg, do którego przywykłem, od pewnego czasu. Niebezpieczny nałóg. Gdy człowiek raz w życiu zacznie myśleć, może od tego oszaleć.

A może jednak nie jest to takie niebezpieczne; wszystko jedno, nie mogę inaczej. Muszę szczerze myśleć dwie, trzy godziny w ciągu dnia. Wydaje mi

się, że ostatnio jest ze mną tak jak z kimś, kto musi się napić.

Co się tyczy Timára, to bardzo często myślę o nim. Wczoraj, jak każdego roku, każdego miesiąca zaszedłem do banku i ulokowałem na mojej książeczce oszczędnościowej część pensji, pięćdziesiąt koron. Mogę już mieć w banku dwanaście, szesnaście tysięcy koron, razem z procentami. Gdy wpłacałem pieniądze, pomyślałem nagle, po co mi te pieniądze? Co mam z nimi zrobić? Kiedyś tam zacząłem odkładać instynktownie, z instynktowną przecznością, lękiem człowieka ubogiego. Na stare lata, myślałem, na wypadek choroby. Oto jestem już stary, i co mam z nimi zrobić? Gdy wyślą mnie na emeryturę, mogę żyć z emerytury. Na cóż mi te pieniądze? Niewiele, ale dla mnie to mała fortuna. Tyle że nie wiem, co z nią począć? Tu sobie leży, nikomu nie sprawia radości. Mnie też nie. Mam coś kupić? Większe mieszkanie? Ładniejsze meble? Bzdura. W ubrania jestem zaopatrzony na lata naprzód. Mam pięć garniturów, futro, dwa płaszcze. Niczego więcej nie potrzebuję. Pomyślałem sobie, że może te pieniądze uratowałyby Timára. Może nawet ich część wystarczyłaby, aby mu pomóc. Na leczenie krtani. Chociażby. Myślę, że gdyby mnie poprosił, oddałbym mu je. Może nie wszystkie, w każdym razie ich część. Ale nie poprosił, nie napisał. Nie mogę wysłać, bo ot, mam takie widzimisię. Zresztą nie znam jego adresu.

Kiedy o nim myślę, zawsze czuję przyptyw ciepła. Teraz postanowiłem, że opiszę tu wszystko tak, jak jest. Nie będę się wstydził słów. Bo wstydzę się

napisać pewne słowa. Na przykład: „serce”. Albo: „smutek”. Albo: „miłość”. Muszę to przezwyciężyć. Będę pisał to, co nawinie mi się pod pióro.

Teraz najchętniej napisałbym tak: gdy myślę o Timárze, myślę o nim z miłością. Z jakąś ciepłą przyjaźnią, z dobrym uczuciem. Był pierwszym człowiekiem, do którego zwróciłem się z ufnością. Pewnego dnia zauważył mnie, obcesowo zagadnął i jakby się coś ze mną stało. Muszę dopuścić myśl, że pośród największych i najrzadszych rzeczy, jakie mogą się przytrafić człowiekowi jest ta oto, iż bez żadnego powodu, raptem obdarza kogoś zaufaniem. Żyją sobie ludzie, jeden obok drugiego, niczym ślepcy. Aż pewnego dnia zaczynam widzieć przez wąską szczelinę. Widzę niewiele, ale wrażenie jest ogromne.

Ta pustka we mnie jakby nagle ustąpiła. Jakbym był świeższy. W tej chwili, przezwyciężając siebie, piszę to słowo „smutek”. I smutek jakby nieco złagodniał.

Nie lubię tego słowa. Uważam, że jest zbyt czułościowe. Ale gdy badam, co się ze mną dzieje od czasu mojego powrotu, nie znajduję lepszego określenia.

Po prostu jestem smutny.

Jest to taki stan, jak każdy inny. Nie ma przyczyny. I nie jest szczególnie nieprzyjemny. Człowiek może jeść, pić, trawić, spać. A jednak, gdzieś tam, w trakcie, w przebiegu życia, coś się ze mną dzieje. Jestem smutny. Dlaczego? Po czym? Nie potrafię powiedzieć. Jest to jakiś cichy, spokojny smutek. Jest w nim coś miłego. Wszędy wnika. Wiem, że

smutno śpię. To komiczne, ale tak jest. Co mam zrobić? Jestem smutny, kiedy przebywam wśród ludzi. Smutny po powrocie do domu. Nie „zropaczony”, nie „apatyczny”, nie „znużony życiem”. Smutny. Co to jest?

Nikt tego po mnie nie widzi. Zawsze byłem poważny między ludźmi. I teraz, zewnątrz, trzymam się lepiej. To takie spokojne, dziwne uczucie. Jest w nim jakieś sceptyczne oczekiwanie. Cały mój dzień jest nim wypełniony po brzegi.

Gdy mnie pytają: „Jak się pan miewa?” — nie mogę odpowiedzieć: „Jestem smutny”. To nie jest odpowiedź. Ale to jest prawda. Dlatego o tym piszę.

Kiedy myślę o Timárze, to ów smutek łagodnieje. Jakby ta pustka, która jest we mnie przez całe moje życie, czymś się wypełniała. Niewiele jest tego, czym się wypełnia: pamięć o pewnym człowieku. Nigdy nie sądziłem, że to taka wielka rzecz.

Na stole stoi lampa i kiedy to piszę, widzę lewą rękę, którą przyciskam papier. Dzisiaj pierwszy raz rzuciło mi się w oczy, jak bardzo zestarzała się ta moja ręka. Teraz, gdy na nią patrzę, jestem głęboko zdumiony, jak bardzo stara jest ta ręka. Myślę, że starsza od mojej twarzy. Człowiek nie starzeje się momentalnie, lecz na raty. Słuch mam jeszcze młody, a wzrok już stary. Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

13 października

Timár powiedział, że trzeba kogoś kochać. Dzisiaj dokonałem przeglądu moich znajomych, ale nie

znalazłem nikogo, kogo chciałbym kochać. Dyrektora naprawdę nie mogę kochać. Nie jest złym człowiekiem, ale nie byłbym zdolny go pokochać. Ani nauczyciela fizyki. Ani sekretarza gminnego, z którym grywam w taroka. Są to — każdy z osobna — niezły ludzie, ale nic na to nie poradzę, nie czuję się zdolny do tego, aby ich pokochać. Coś mnie przed tym powstrzymuje. Kobiet, które mógłbym pokochać, nie ma; zresztą jest to wykluczone z mojej strony. Miłość, jaką może poczuć mężczyzna do kobiety, pociąga za sobą liczne komplikacje. Uważam, że kobiety nie można tak po prostu pokochać. Trzeba do tego czegoś więcej. Wreszcie czas miłości nie jest już tożsamy z moim czasem. To już jest poza mną.

Kogóż więc mam kochać? Gosposię? Biedną, po sześćdziesiątce; co jeszcze nie byłoby przeszkodą, ale nie zasługuje na miłość. Jest stara i gderliwa. Głupie stworzenie. Ma nieprzyjemne nawyki. Często staje przede mną i dłubie w nosie, jakby nie było mnie w pokoju. Sam to czasami robię, ale tylko wtedy, gdy jestem sam. U drugiej osoby jest to obrzydliwe. Myślę, że ten brzydki nawyk mojej gosposi jest jedną z przyczyn, dla których często jadam w kasy-
nie; obiady prawie zawsze poza domem.

Nadzwyczaj trudno jest znaleźć kogoś, kogo można by pokochać. Całą ludzkość? Timár też przyznał, że to bardzo trudne. Myślę, że dla mnie jest to zgoła niemożliwe. W ten sposób mógłbym kochać ryby lub gwiazdy. To tylko pojęcie: ludzkość. Nic mi do niej.

Wczoraj poważnie myślałem o tym, żeby kupić psa.

15 października

Nie mogę zrobić z domu menażerii. Gospościa oprócz kanarka sprawiła sobie szczygła, póki co nie odzywa się do niej. Ciekaw jestem, jaki głos będzie miał ten szczygieł. Do kanarka już się przyzwyczałem. Gdybym teraz kupił psa, miałbym prawdziwą menażerię. Porzuciłem zamiar zakupu psa.

20 października

Jestem smutny.

28 października

W sposób odczuwalny dzień staje się krótszy. Nie mogę wszakże z tej przyczyny skrócić moich przechadzek. Spaceruję o zmroku. Jest jeszcze ciepło, ale drzewa są już niemal zupełnie огоłocone z liści. Popsułem sobie żołądek.

29 października

Zabraliśmy się do pracy. Do ód Horacego. Z kiepskim wynikiem. Z Madára, co muszę tu stwierdzić, jestem zadowolony. Czuje język. Świadomie obchodzi się z łaciną. Bardzo ładnie tłumaczył dzisiaj, przed południem.

Powoli muszę zabrać się do odpytywania. Jakkolwiek jest to dla mnie niewygodne, trzeba będzie również w końcu zająć się uczennicami. Do tej pory dość je zaniedbywałem. Najbardziej przeszkadza mi w nich to, że już nie są dziewczynkami, lecz w większości panienkami. Nie mam żadnej praktyki w tym

przedmiocie, nie wiem, jak należy postępować z wychowankami płci żeńskiej. Chyba powinienem zwracać się do nich per „Panno...” Jest w tym coś niewłaściwego. I fałszywego. A dla mnie jest to krępujące, ponieważ nie mam w tym żadnego obycia.

30 października

Gdybym był religijny, mógłbym kochać Boga. Wielu jest takich, którzy spełniają się w tym, że kochają Boga, żyją wedle jego przykazań. I to jest jedyną treścią ich życia. To bardzo miłe i z pewnością całkowicie satysfakcjonujące. A ja nie jestem pewien, czy żyję wedle Bożych przykazań. Z punktu widzenia żarliwości religijnej z pewnością nie. Z drugiej wszakże strony staram się żyć w zgodzie z własnym sumieniem. Nikogo nie krzywdzę. Pracuję tam, gdzie posłał mnie los, wykonuję moje zadanie. Nikomu nie życzę nic złego. Zarazem muszę przecież napisać, że nie mam nic wspólnego z Bogiem. Człowieka pobożnego z pewnością wypełnia bez reszty to uczucie. Mnie nie wypełnia.

Dzisiaj zastanawiałem się nad tym, jak marny jest człowiek. Zarówno w psie, jak i w Bogu szuka sposobności, aby móc kogoś kochać. Zdaje się, że Timár miał rację. Nie można żyć bez miłości.

3 listopada

Szron. Powoli trzeba zacząć palić w piecu. Tutaj wcześniej przychodzi zima. Coś zwróciło moją uwagę, ale jeszcze nie chcę o tym pisać.

4 listopada

Możliwe, że się mylę, ale na wszelki wypadek zapiszę to: latem w Virágfüred przez kilka dni miałem takie uczucie, jakbym na coś czekał, jakbym czekał na jakąś wiadomość. To napięte oczekiwanie nie opuszczało mnie przez kilka dni. Prawda, że byłem wtedy chory. Czego ślad znajduję w tym dzienniku. Myślę, że teraz od kilku dni znów coś dzieje się ze mną. Może to nie jest tak silne, jak tamto uczucie z minionego lata. Jestem bardziej zdekoncentrowany. Nie chcę tego przyjąć do wiadomości. Ale: siedzę jak na szpilkach. Zauważyłem, że od pewnego czasu chodzę ulicami jak człowiek, który rozgląda się wokół i czeka, aż ktoś nadejdzie z naprzeciwka i przyniesie mu jakąś wiadomość.

5 listopada

Trzeba być bardzo ostrożnym z podobnymi spostrzeżeniami. Zauważyłem, że pochopne konstatacje wpędzają człowieka w taki stan ducha, który nawet trudno nazwać. Człowiek powiada: „Czekam na coś” i od tej chwili rzeczywiście na coś czeka. A to niebezpieczne.

Niezależnie od tego wszystkiego, to „czekam na coś” — może w nieco łagodniejszej formie niżli latem — jest tutaj wokół mnie. W pokoju. Idzie ze mną ulicą. Do klasy. Do pokoju nauczycielskiego, do kasyna.

Dzisiaj trochę później niż zwykle zjawiłem się w kasynie. Gdy wszedłem na górę, było tam nadzwyczaj ludno, ponieważ ze swego majątku przybył pan

hrabia. Grano w ferbla. Wszędzie snuł się dym, zapalono lampy, albowiem wcześniej ściemniało. Wszystkie kształty zacierają się w dymie z fajek i cygar. Usiadłem w kącie i przyglądałem się im. Wyglądało to tak, jakby ciała pływały w gęstych oparach. Przez chwilę miałem wrażenie, że jestem w akwarium, gdzie na jakimś szarym morskim dnie, w jakimś lepkiem żywiole pływają bezgłośnie szare, leniwe ciała i szare ryby. Niezmiennie w tym samym żywiole. I ja sam pomiędzy nimi, beznadziejnie, w kącie, jak jakiś stary, leniwy, morski pająk. Bezgłośnie, bezgłośnie.

7 listopada

Szron i pierwszy chłód. Rano ziemia była odrobinię zamarznęta. Dzisiaj włożyłem zimowe palto. Myślę, że to fałszywy alarm i że przed pierwszym śniegiem i poważnym mrozem doświadczymy jeszcze błotnistej jesiennej pluchy. Z każdego okna gabinetu fizycznego widać Tatry. Najwyższe szczyty, naturalnie, a mianowicie: Łomnicę i szczyt Franciszka Józefa¹. Te również latem są białe. Dzisiaj, przy osobliwie czystym niebie, Mészáros zaprosił mnie do gabinetu, ponieważ bardzo wyraźnie można było zobaczyć oba szczyty. Z taką ostrością i tak dokładnie, jakby stały u bram miasta, a nie oddalone o dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Jest w tym coś cudownego, że człowiek może sięgać wzrokiem na taką odległość.

¹ Szczyt Franciszka Józefa — dawna nazwa Gerlachu, najwyższego szczytu Tatr.

Dzisiaj po raz pierwszy napaliłem w piecu. W takim zimnym dniu całe miasto będzie cieplejsze i przyjemniejsze. Pedel uszczelnił bawełną izolacyjną okna w pokoju nauczycielskim. Zauważyłem, że znów był mocno wstawiony. W ciągu minionych dwudziestu pięciu lat zaobserwowałem, że zimą pije znacznie więcej niż latem. Zimowy pijak. Upija się w pierwsze chłodne dni i już całkiem nie trzeźwieje do końca zimy.

Pomyślałem, po raz pierwszy w życiu, że może pije z powodu jakiejś przygniatającej troski.

Siedziałem przy stole konferencyjnym i długo patrzyłem, jak niepewnymi rękami manipulował przy oknach. Jego twarz wydaje mi się czerwienią zeszłego roku; możliwe też, że w ubiegłym roku nie przyjrzałem się jej dość uważnie. Jest obrzmiała, przekrwiona, porowata i gąbczasta. O kilka lat starszy ode mnie. Stary, a nieporadny jak dziecko. Codziennie wnosi na górę razem ze swoim pomocnikiem ciężki kosz z drewnem na opał. Sprzątanie klas, palenie w piecach, baczenie, by w porę potrząsnąć dzwonkiem... wszystko to przysparza staremu człowiekowi niemało roboty. Drżą mu ręce. Zużyty człowiek. Ma trójkę dzieci, co prawda jedno z nich już zarabia. Pensja pedla jest znikoma, tyle że ma mieszkanie, taki to zarobek za dziesięciogodzinny dzień pracy. My, nauczyciele, dajemy mu, od czasu do czasu, napiwek. Dlaczego pije? Kiedy tak patrzyłem na jego drżące ręce, na tę nieporadną dłubaninę, mimo woli spytałem:

— Dlaczego pijecie, Kudlicsek?

I natychmiast pożałowałem tego pytania, ale już było za późno. Przerażony przerwał pracę, popatrzył

na mnie ze strachem, a w oczach miał tyle zakłopotania, unizoności, obłudnego zaskoczenia, że głęboko mu współczułem.

— Nie piję, wielmożny panie.

— Chodzi mi o to, od jak dawna pijecie? — spróbowałem go uspokoić.

— Nie piję, wielmożny panie. Wina nigdy.

— Wódkę?

— Tylko rano, wielmożny panie. Zaraz po przebudzeniu. Człowiek ma taki mus, przed robotą. O wiele taniej.

W coraz większym zakłopotaniu wyjaśniał mi, że wódka jest tańsza od wina. Zrozumiałem. Postarałem się również zrozumieć, dlaczego rano wypija kielich wódki. Dzięki temu trzyma się jakoś przez cały dzień. Zapewne, bo przez cały dzień jest przyjemnie podchmielony. I że w ten sposób łatwiej znosi robotę, całe te dnie, owszem, to także potrafię zrozumieć.

— Ile macie lat?

— Pięćdziesiąt osiem.

Dwadzieścia pięć lat żyję w pobliżu Kudlicska, ale dopiero dzisiaj dowiedziałem się o nim czegoś bliższego. Że ma pięćdziesiąt osiem lat. W rzeczy samej, kiedy tutaj przybyli, jakże okazałem młodym człowiekiem był Kudlicsek z tym swoim czerwonym obliczem i ostro zakończonym wąsem! Pamiętam, jak stał w bramie gimnazjum z wielkim dzwonkiem w ręce, pełen powagi i życzliwości, roztaczając wokół siebie aurę przyjaznego uznania i respektu. Wówczas żyła jeszcze jego żona, uprzejma, tęga kobieta, której nigdy nie widziałem nigdzie indziej, jak tylko w drzwiach pedlowskiego mieszka-

nia, za stołem, nad olbrzymią stertą pokrajanej szynki i maślanych bułek. Wtedy Kudlicsek prawdopodobnie pił jeszcze wino. Młody był, dobrze sytuowany i zdrowy. I oto tutaj, na moich oczach doprowadził się do ruiny, a ja nigdy nie zauważyłem tego upadku. Dzisiaj nie jest już niczym więcej, jak tylko wiecznie podpitym starcem. Dziadygą o przygarbionych plecach. A ja wciąż jeszcze pamiętam go, jak stoi w bramie, prosty jak trzcina, czarnowąsy, z wypiętą piersią.

...a ja? Właśnie, ja? Jakież to ja teraz jestem? I jaki byłem wtedy? Za stołem konferencyjnym, przy którym siedziałem, wisiły po kolei fotografie grupowe absolwentów naszego gimnazjum. Trzydzieści, jeśli nie więcej. Jestem na większości z nich. Na pierwszej jeszcze trzeba by mnie szukać, ot, tam, w rogu, stoję wyprostowany jak niegdyś Kudlicsek. Także mam czarny wąsik; zapuściłem ten wąsik i pielęgnowałem go, ponieważ byłem zdania, że wyglądam zbyt młodo. Ostatnia fotografia została zrobiona zeszłego roku. Stoję pośrodku, z tytułu wieku obok dyrektora.

Ciekawe, jak mnie widzi Kudlicsek? Nie śmiem go o to zapytać. Dałem mu koronę na wódkę. Wierzę, że nikt nie pije dla samego picia. Każdy musi mieć jakiś powód, żeby pić.

8 listopada

Bardzo mnie dzisiaj zdenerwował następujący incydent: nauczyciel historii wszedł do pokoju nauczycielskiego i wielce podniecony powiedział:

— Bardzo cię proszę, jeśli tylko możesz, interwenuj. To jest nie do zniesienia. Dopiero dzisiaj dowiedziałem się, że jesteśmy tutaj pod stałym nadzorem.

— Pod nadzorem? Jak to? — spytałem przestraszony.

— Z pewnością ty też. Wszyscy, jak tu stoimy. Każdy nauczyciel. Dyrektor dał polecenie Kudlicskowi, aby zapisywał, ile minut spóźnił się na lekcje. Rozumiesz? Kudlicsek to szpieg. W każde południe składa dyrektorowi raport. Ma listę z naszymi nazwiskami, z nazwiskami nauczycieli. I ze swojej pedlowskiej budki śledzi, ile minut się spóźniamy. W południe przekazuje listę dyrektorowi. Ja, proszę cię, dzisiaj trochę zasnęłam. Tylko parę minut, rozumiesz. Wczoraj trochę pohulaliśmy. Przyszedłem za kwadrans dziewiąta. No, świat się nie zawalił. Klasa była cicho. I, proszę cię, wczoraj...

— Tak?

— Zawezwał mnie dyrektor... Że się spóźniłem. I żeby to się więcej nie powtórzyło. No, to jest nie do zniesienia. To jest poniżające. Wstrętne. Tego my, nauczyciele, nie możemy tolerować! Żeby Kudlicsek nas szpiegował! Tego całego systemu! Zdażę mi się, że dyrektor jest do mnie uprzedzony. Rozumiesz, bo ja...

— Ale, mój drogi... — przerwałem mu z największym zakłopotaniem. — Czyżbyś tego nie wiedział?

— Czego? — spytał zaskoczony.

— No... Że Kudlicsek i dyrektor... Że donosi mu o wszystkim?... Nie wiedziałeś tego?... Kiedy przy-

chodzimy, a zwłaszcza dokąd mamy zwyczaj chodzić, wszystko... Ty nie wiedziałeś tego?...

— Nie — odrzekł poblady.

— Ale... przecież tak to wygląda, od kiedy ja tu jestem... — powiedziałem.

Popatrzył przed siebie:

— I ty... — spytał do głębi wstrząśnięty — ani ty, ani nikt inny... nigdy ani słowem... Nikt?

— Nikt nigdy — odpowiedziałem.

— To co innego — rzekł po chwili. — To co innego, oczywiście. Skoro jest tak...

Włożył kapelusz i wyszedł. — Chciałem pobiec za nim. Biedny chłopak... Ale cóż on sobie wyobrażał? Biedny chłopak. Co taki chłopak sobie wyobraża?

Ale ten incydent wzburzył mnie. Nic na to nie poradzę. Niepojęte, że tego nie wiedział? Przecież to naturalne, że dyrektor każe nas śledzić.

9 listopada

Poszedłem na chrzciny. Były takie jak większość chrzcin. Ciekawe, że obyczaj chrzcin w niczym nie różni się od obyczaju styp. Jemy takie same potrawy, pijemy wino i rozmawiamy. Żle się czułem. Nieprędko wybiorę się znów na chrzciny.

11 listopada

Chłód utrzymuje się. Jeśli nie ustąpi, to już na dniach spadnie śnieg. Dzisiaj około piątej po południu spacerowałem po korso i naraz widzę, że z naprzeciwka idzie prosto na mnie Madár, mój wycho-

wanek. Towarzyszy dwóm dziewczynom. Kiedy zbliżyli się do mnie, wszyscy troje pozdrowili mnie. Pośród drzewami było już ciemnawo, ale poznałem ich: a więc, mój wychowanek, Madár; jedna z dziewcząt, której towarzyszył, ta o szczupłej twarzy, czarnewłosa, jedna z owych sześciu w klasie, to Margit Cserey. Kiedy wróciłem do domu, sprawdziłem w notesie jej nazwisko. Margit Cserey. Tak się nazywa. Cicha dziewczyna, zauważyłem, że w czasie lekcji zachowuje się spokojnie. W zeszłym roku była całkiem dobra. I co na to kolega Mészáros? A to już są następstwa koedukacji: wychowankowie, chłopcy i dziewczęta, po lekcjach spacerują sobie ramię w ramię po głównej promenadzie. Prawda, że była to dobra pora na spacer, ta chłodna, późnojesienna, spacerowa pora. Możliwe, że szli prosto ze szkoły. Pamiętam, że w rękach nieśli zeszyty. Tak czy owak, nie lubię, gdy uczniowie spacerują z uczennicami.

Powiem to jutro w czasie lekcji.

12 listopada

Nie powiedziałem.

13 listopada

Dzisiaj też nie zająknąłem się ani słowem. Jakoś nie było sposobności. Zaczekam do najbliższej okazji, kiedy ponownie ich spotkam. Szwendają się. Dziwne, że natknąłem się na Madára właśnie z uczennicą Cserey. Bo ta akurat zachowuje się najci-

szej spośród całej szóstki. Jest między nimi taka jedna, blondynka, siedzi pośrodku ławki, Vilma Lángos. Prędzej uwierzyłbym, że to ona spaceruje z chłopakami. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w osądzaniu uczennic, ale w zachowaniu tej Lángos jest coś takiego, co upoważnia mnie do mniemania, że spaceruje z chłopakami. Nosi wydekoltowane bluzki i ma krótko przycięte blond włosy. To prawda, że panna Cserey też ma krótkie włosy, ale czarne. Dam na nich baczenie.

Nie wątpię, że niebawem spotkam ich ponownie.

14 listopada

Dzisiaj, o zwykłej spacerowej porze, ponownie wyruszyłem na moją codzienną trasę, na korso. Dość długo chodziłem tam i z powrotem, o kwadrans dłużej niż zazwyczaj. Moim zamiarem nie był spacer sam w sobie, albowiem odrobinę liczyłem na to, że przyłapię tych dwoje szwendających się. Nie przyszli. Jutro nie zamierzam wychodzić z domu. Pojutrze prawdopodobnie zaskoczę ich.

15 listopada

Przyzwyczajenie jest silniejsze od postanowienia. O zwykłej porze znowu wybrałem się na spacer w kierunku Baszty. Tym razem nie miałem szczęścia. Po piątej przeszły tamtędy dwie uczennice, panna Cserey i bodaj czy nie Teréz Neumann. Ale Madára nie było z nimi. Ukłoniłem się im pierwszy, ponieważ były same.

Nie widzę w tym nic nagannego, gdy dwie uczennice spacerują sobie w celach zdrowotnych.

17 listopada

Wielkie zdenerwowanie panuje w naszym nauczycielskim gronie, w całym mieście. Nauczyciel historii, nieszczęsny młody człowiek, złożył rezygnację.

Dowiedziałem się o tym o godzinie dziewiątej, po pierwszej lekcji. Dyrektor zwołał krótką konferencję i zakomunikował nam tę wiadomość. W stanie najwyższego wzburzenia. Był błydy i mówiąc, zaczął się. Pokazał nam list, w którym nauczyciel historii informuje go o swojej decyzji — list niemożliwy do zakwalifikowania, jak to ujął rozdrażniony dyrektor — w którym obrzuca obelgami jego, dyrektora, grono pedagogiczne i cały system. — Co za system?! — krzyczał zbiegającymi wargami. — Pytam panów, co za system?! Może ten system, który, przyznaję, przy panów przesadnej łagodności i zbiorowej akceptacji pozwalał sprawom rozwijać się tak dalece, by w tym gronie pedagogicznym, w tym wysokim kolegium, którego mam szczęście być dyrektorem, naczelnikiem — by w tym ciele mógł podnieść głowę duch buntu? Tak jest, duch buntu! Pomyślcie, panowie! Dokąd to prowadzi? Ja, który z najwyższej woli ministerstwa jestem pryncypałem panów...

Tutaj dyrektor zatrzymał się. Większość kiwała głowami. Wówczas spostrzegłem, że ja również, ostrożnie, dwa razy kiwnąłem głową. Dyrektor zo-

rientował się, że ton, w który uderzył, jest za wyso-ki. Nie sprostął gradacji. Jakby zapędził się, mówiąc: — Ja, z bożej łaski wasz apostołski pryncypał... — Nagle przyszło mi to na myśl i musiałem wziąć się w garść, żeby nie parsknąć. Patrzyłem przed siebie ze złością, z oburzeniem, ponieważ bałem się, że za-raz wybuchnę śmiechem.

— Nasz zbłąkany kolega — ciągnął dyrektor — pisze, że odcisnąłem piętno hańby na jego ludzkiej godności. Ja, moi panowie? Ja odcisnąłem piętno hańby na jego ludzkiej godności? A w jakim to spo-sób? — Kaszłał i chrząkał. — Bo z ojcowską życzli-wością zwracałem mu uwagę, kiedy po nocnej hu-lance spóźnił się na lekcję? Czy nie mam takiego prawa? Czy to nie mój obowiązek? Zechciejcie, pa-nowie, odpowiedzieć. Odpowiedzcie waszemu zbłą-kanemu koledze. Który powiada, w piśmie skiero-wanym równocześnie do ministerstwa w imieniu całego grona pedagogicznego, w którym donosi, że źle traktuję współpracowników, że się panoszę — tak jest, panowie, tak właśnie napisał: że się pa-no-szę! — i że zaprowadzam w naszym gimnazjum sys-tem szpicłowski. Czy to jest system szpicłowski? Że Kudlicsek mi referuje? Czy nie powinienem wie-dzieć o wszystkim, co dzieje się w murach naszej placówki? Kto tu jest odpowiedzialny? Żeby dono-sić do ministerstwa? Nauczyciel na dyrektora? Toż to, proszę panów...

Jeszcze go takim nie widziałem. Po kolei przy-rzałem się kolegom. Siedzieli w milczeniu. Z ocz-ami utkwionymi w oblicze dyrektora. Na twarzy Mę-szārosa malowała się odrobina obrzydzenia.

Lóránt, nauczyciel niemieckiego, który mówi sepleniąc, wstał i jako pierwszy zaproponował, aby grono pedagogiczne wystosowało pismo do ministerstwa, w którym utożsamiamy się z dyrektorem, czujemy się solidarni z nim i jednogłośnie odpieramy niegodny atak.

Natychmiast zredagowano takie pismo.

Wszyscy je podpisali. Ja też. Dyrektor podziękował za zaufanie.

Po konferencji podszedł do mnie Mészáros.

— Chodź ze mną dziś wieczorem — powiedział.

— Dokąd?

— Do tego dzieciaka, Szilassyego. Chcę się z nim pożegnać. Przyjdiesz? Ty też byłeś z nim w dobrych stosunkach.

— Przyjdę — obiecałem.

Teraz jest wpół do siódmej. O dziewiątej idziemy do Szilassyego. Nie wiem, czy dobrze robię, że tam idę.

18 listopada

Czy postąpiłem słusznie, czy niesłusznie, w każdym razie poszedłem. Nie sądzę, aby ta wizyta mogła mieć jakieś konsekwencje. Mészáros jest człowiekiem przewidującym. Na mój gust, odrobinę zbyt przewidującym i przezornym. To on zaproponował, abyśmy się wybrali do Szilassyego późnym wieczorem, o dziewiątej. W naszym mieście po godzinie dziewiątej mało kto chodzi po ulicy. Co wskazuje na pewną ostrożność. Myślę, że sam z siebie też mogłem pójść pożegnać się z Szilassym. Odnosił się do

mnie przyjaźnie. Spośród młodszych członków naszego grona pedagogicznego tylko on jeden okazywał mi sympatię. Mogę z całym spokojem napisać, że gdyby to zależało ode mnie, nie poszedłbym do Szilassygo po godzinie dziewiątej, ale za dnia, choćby o piątę po południu. Albo, powiedzmy, o siódmej, kiedy najwięcej ludzi chodzi po ulicach. Nie ma sensu, abym w tym dzienniku miał przed samym sobą udawać kogoś innego, niż jestem w rzeczywistości. Nie jestem bohaterem. Nie jestem zdolny do tego, by występować w obronie cudzych ideałów. Bez słowa podpisałem oświadczenie w sprawie zaufania dla dyrektora. Gwoli szczerości: nie przywiązuję do tego żadnej wagi. Człowiek przyzwyczajony do rozmaitych rzeczy. Zwłaszcza do hipokryzji. Wydaje się, że taki jest już świat. Trzeba się godzić na kompromisy. Kto się nie godzi, ten... zмага się, tłucze, miota. Jak ten Szilassy.

Na wszelki wypadek zaznaczam, że gdyby to zależało ode mnie, to również w biały dzień wybrałbym się do niego. A nie tak, gdy już bramy pozamykano, po ciemku. Jak to właśnie się nam przytrafiło. Ale tak zaproponował Mészáros, ja się tylko zgodziłem.

Kiedy przybyłem, Mészáros już tam był. Szilassy mieszka przy ulicy Floriana, jako sublokator. To dość zapuszczona boczna ulica, gdzie mieszka również dwoje moich wychowanków. Jeden to Puliszka, a druga — to uczennica, dopiero teraz dowiedziałem się, że mieszka tu Margit Cserey. Dziewczyna mieszka u rodziców. Jej ojciec wypieka miodniki, czy jak tutaj mówią: pierniki. Nawet nie

wiedziałem, że Cserey ma swój zakład właśnie tu, przy ulicy Floriana.

Mészáros zwrócił mi na to uwagę. Był wyraźnie zmieszany. Gdy wszedłem, uśmiechnął się z zakłopotaniem i rzekł do Szilassygo:

— Proszę cię, opuść żaluzję. Jesteśmy na parterze. Może tu zajrzeć panna Cserey i jutro gotowa plotka, że dwóch nauczycieli tutejszego gimnazjum spiskuje po nocy.

— Cserey? — zapytałem. — Ta z mojej klasy?

— Ta sama — powiedział Mészáros nerwowo. — Opuść żaluzję.

Szilassy nic nie odpowiedział. Wyciągnął rękę i opuszczył żaluzję. Był w fioletowej bonzurce. Ech, ci młodzi! Te wszystkie ich fatałaszki są tak różne od naszych. Moja bonzurka jest koloru tabaczkowego. Do tej pory sądziłem, że w fiolety stroją się jedynie damy. Pierwszy raz byłem u Szilassygo. Mieszkał w nisko sklepionym, wąskim i długim pokoju. Na nocnym stoliku stał mosiężny posążek Buddy. Na górze etażerki leżały skrzypce w futerałach. Na biurku, w dużym dzbanku z wodą tkwił bukiet kwiatów, chryzantemy i dalie. Miał dużo książek. Więcej niż ja. Czyta po angielsku, po francusku. W jego pokoju panował pedantyczny porządek, to lubię. Każda książka na swoim miejscu. Na blacie biurka zeszyty, piśma, papier listowy, wszystko ułożone jak należy. Porządny człowiek. Nic z tego nie pojmuję... Wiem, że pochodzi z lepszej rodziny. Jego ojciec jest lekarzem w Budapeszcie. Może i z tych lepiej sytuowanych. W każdym razie ma jakieś zaplecze. Tak, oczywiście, łatwo być drażliwym... nieporównanie łatwiej.

Napisałem to nie dlatego, abym w głębi serca miał za złe Szilassyemu, nie dlatego, że on ma więcej, niż ja. W głębi serca już dawno wybaczyłem wszystkim, którzy mają więcej niż ja. Tylko gwoli prawdy konstatuję, że tak jest łatwiej.

— A więc wyjeżdżasz? — rzekł Mészáros.

Szilassy rozlał orzechówkę i powiedział:

— Wyjeżdżam. Bardzo wam dziękuję, że odwiedziliście mnie. Prawdę powiedziawszy, nie liczyłem na to. Jak słyszę, dzisiaj w południe to smętne bydło, pan dyrektor, dał zacnemu gronu jakieś oświadczenie do podpisania. I wszyscy podpisali. Wy też.

Milczeliśmy. Nie ośmieliłem się spojrzeć na Mészárosa. Szilassy kontynuował:

— Nie szkodzi. Powiem od razu: nie mam tego nikomu za złe. Prawdopodobnie tak to być musi. Tylko niezmiernie żal mi was.

— Kogo? — zapytał Mészáros silnie podenerwowany. — Nas? Mnie?

— Ciebie też — odrzekł spokojnie Szilassy. — Ciebie też, drogi Mészáros.

— Mnie nie żałuj — nadał się Mészáros. — Nie po to przyszedłem do ciebie, żebyś mnie żałował. Ale...

— Ale? Po co przyszedłeś? Ty chcesz pożalować mnie? Spóźniłeś się. Wiesz co, zostawmy to. Ja ciebie rozumiem... i ciebie także — zwrócił się do mnie. — Nie gniewam się na nikogo. I wiesz co: na dyrektora też nie. Powiem więcej. Jego też mi żal. Biedny, biedny kret. Przecież nie odchodzę z jego powodu. I nie z powodu tego głupiego pretekstu. To dobry pretekst dla mnie. Zrozumiałem, że popełniłem błąd. Nie nadaję się na nauczyciela. Duszę się.

Nocą, w tym łóżku, gdy pozostaję sam ze swoimi myślami, ze wspomnieniami minionego dnia, z twarzami, które oglądam przez cały dzień... czy wiesz, jakie mam niekiedy uczucie? Że się duszę. Albo że zaraz się porzygam. Raz, a pamiętam to doskonale, omal się nie porzygałem. No więc przyznałem, że ja tego dłużej nie wytrzymam. Inaczej to sobie wyobrażałem. Jeżeli w ogóle ktoś serio sposobii się do zawodu nauczycielskiego... to tym kimś byłem ja! Chciałem uczyć. Lepić nowych ludzi... Przyjaciele! To fantastyczny zawód! Ale nie można. System jest silniejszy, o wiele silniejszy... a do tego, abym miał z błota lepić błoto...

— Jakich nowych ludzi? — zapytał Mészáros. — Mój drogi, człowiek to człowiek. Zbłąkane zwierzę, które wchodzi w szkodę, jeśli go nie tłuc. Do tego potrzebna jest szkoła.

— Do tego potrzebna jest szkoła — powtórzył Szilassy.

Zapytałem go:

— Co zamierzasz zrobić?

— Na razie skandal — odrzekł ze śmiechem. — Mały skandalik, którego już jestem bohaterem. Mam przyjaciół dziennikarzy. Nie tutaj. W stolicy. No wiesz, zawsze warto. Jakkolwiek małe jest okno, w które walisz pięściami, zawsze przedostanie się przez nie trochę świeżego powietrza. A potem zobaczę. Zacznę uczyć wedle własnej metody.

— Gdzie? — zapytał wyniośle Mészáros.

— Tutaj — powiedział i uderzył w stół. — To także jest katedra. Olbrzymia katedra. Ho, ho, przyjaciele... Spróbuję stąd nauczać historii.

Mészáros roześmiał się. Ja także, mimo woli. Pomyślałem o tym zeszycie, w którym teraz piszę. Na pierwszych stronach sprzed dwudziestu ośmiu lat piszę o pewnej konferencji, na której postanowiono nadać nowy kierunek badaniom filologicznym. To jedyny zapis, jaki w nim poczyniłem. Nigdy więcej ani jednej stroniczki, ani jednej linijki. Dopiero niedawno, zaledwie kilka tygodni temu, znów pomyślałem o tym zapisie... Jakież ten Szilassy jest młody!...

Mészáros powiedział:

— Jeszcze jesteś młody, przyjacielu. Ale gorzałka jest dobra.

Szilassy napełnił kieliszki:

— Gorzałka jest dobra. Pijcie. Jutro wieczorem wsiadam do pociągu. Rano będę w Budapeszcie. Wybiorę się do łaźni parowej. Skoro człowiek zaczyna nowe życie... A potem pójdę do redakcji. Myślę, że nie zjawię się tam nie w porę.

— Ale ten skandal — powiedział Mészáros. — Widzisz, Péter, to jest to, o co chcę cię poprosić. Machnij ręką na skandal, chłopcze. Popatrz, gdyby tu szło tylko o dyrektora! Ja też brzydzę się nim. Cierpi na manię wielkości. Z całą pewnością. Ale my także tu jesteśmy, chłopcze. Nie trzeba rozdmuchiwać tej sprawy. Jeśli zrobisz skandal, to odbije się to i na nas. Wystawimy się na pośmiewisko. Tu, w całym mieście... ale i gdzie indziej. Że dyrektor terroryzuje nas jak uczniaków... Cóż możemy na to poradzić, chłopcze. A gdyby był inny dyrektor, to myślisz, że co?... A właściwie, co takiego się stało? Uwierz, Péter, gdybyś siedział tutaj, pomiędzy na-

mi, tak długo jak my, dziesięć, dwadzieścia lat... i teraz ty byłbyś dyrektorem... Może i ty nie byłbyś inny...

— Myślisz? — spytał Szilassy.

— Tak — odrzekł natychmiast Mészáros.

— Masz rację. Dlatego odchodzę.

A gdy Mészáros znów zaczął:

— Krótko mówiąc, Péter... Daruj sobie ten skandal.

— Czy wiesz — powiedział powoli Szilassy — że ty także występujesz w notatkach dyrektora?

Mészáros nie odpowiedział.

— Czy, wybacz mi, utrzymujesz stosunek z pewną damą... na przedmieściu, którą zwykłeś odwiedzać w każdy wtorek i piątek, między czwartą i szóstą po południu? Od trzech miesięcy? Dyrektor wie o tym. Od Kudlicska, któremu kazał cię śledzić. Wiesz o tym?

Mészáros zwiesił głowę:

— Wiem — odrzekł pokornie.

— Wiesz o tym? — wykrzyknął Szilassy i podebrał się z miejsca. — Wiesz o tym i nie powiesz mi: wypraszam sobie!

— Posłuchaj — powiedział Mészáros, patrząc przed siebie. — Co niby mam zrobić? On wie o nas wszystko. To jego pasja. Powiedz, co mam zrobić? To taka dręcząca... dręcząca sprawa. Co ja mogę na to zaradzić?

Mészáros załamał się całkowicie. Nie wierzyłem własnym uszom. Mészáros utrzymuje stosunek? Na przedmieściu? Z pewną damą? Nieomal nie do wiary. Ale przyznał się.

— A ty skąd o tym wiesz? — zwróciłem się do Szilassyego.

— Otóż to, skąd ja o tym wiem — odrzekł ubawiony. — A niby skąd? Z samego źródła. Od Kudlicska. Był tu u mnie, po południu. Dowiedziałem się wszystkiego, przyjacielu... za dwadzieścia koron. Poznałem całą listę. Wiem wszystko o każdym z szanownego grona pedagogicznego. Że Loránt ma stolownika, studenta prawa, który płaci mu co miesiąc więcej, niż wynosi jego całomiesięczne wynagrodzenie i dlatego godzi się z faktem, że ów kawaler ma romans z jego żoną... Że dyrektor zaciągnął ostatnio pożyczkę na weksel w kasie oszczędnościowej, kiedy wydawał córkę za mąż, i teraz spłaca ów weksel w ten sposób, że udziela koreperykcji głupiemu jak but synalkowi dyrektora kasy oszczędnościowej... Że... Czegoż chcesz? Kudlicsek jest nieoceniony.

— Co wiesz o mnie? — spytałem.

— O tobie? — spojrzął na mnie. — Nic. A cóż mam wiedzieć, dzieciaku? Że jesteś kimś, kto prawdopodobnie nie ma zielonego pojęcia, czym jest życie?...

Zaczerwieniłem się, ponieważ przypomniałem sobie ową scenę z plakatem. Coś o mnie wiedział. Ale milczał... Muszę podziękować mu za to, że milczał. Chociaż to, że nazwał mnie dzieciakiem... on, który jest o tyle młodszy ode mnie! Dziwna jest ta młodzież.

— I to jest wszystko — zapytał wstrząśnięty Mészáros — to jest to wszystko, co chcesz ogłosić?

— Nie — odrzekł Szilassy i machnął ręką. — Skądże. To nic ciekawego. Tajemnice poliszynela.

Mészáros załamał się ostatecznie. Pożegnawszy

się z Szilassyem, w milczeniu wracaliśmy do domu. Odprowadził mnie i już przed bramą powiedział:

— Niebezpieczny człowiek. Dobrze, że odchodzi. Marnie skończy. To zepsuty człowiek. Uwierz mi, czeka go marny koniec.

Nic nie odpowiedziałem.

20 listopada

Wczoraj wieczorem przechodziłem przed domem Szilassyego. Okna jego mieszkania były ciemne. Zrozumiałem, że wyjechał. Szkoda. Wychodzi na to, że kto tylko może, odchodzi. Ja jedynie ze wstrętem mogę myśleć o tym, że powinienem stąd odejść.

I znowu jest mniej o jednego człowieka. Teraz nie mam tu już nikogo.

W drodze powrotnej minąłem warsztat mistrza sztuki piekarskiej Csereya. W piekarni, mimo późnej godziny, pracowano. To jest ten Cserey, którego córka lubi się szwendać z chłopakami.

Wieczorem opadła mgła. Wcześniej poszedłem do łóżka. Dyrektor telegrafował do inspektoratu szkolnego w sprawie następcy Szilassyego. Mówiono też o bankiecie na cześć dyrektora. Jednak później ten plan porzucono, poszło o pieniądze.

Szilassy powiedział, że nie mam zielonego pojęcia o życiu. Nie odpowiedziałem mu. Nie lubię się spierać. Cóż mam na to rzec? Dobrze, ja nie wiem, co to jest życie. Wobec tego, kto to wie? Mam pięćdziesiąt cztery lata. A właściwie już pięćdziesiąt pięć, w lutym będę miał pięćdziesiąt pięć. I ja nie wiem, co to jest życie? Dzieciak, to on jest dzieciakiem.

Mészáros nie chce wyjść mi z głowy. Ma romans na peryferiach miasta... Zonaty mężczyzna! Niemal mój rówieśnik. O to bym go nie podejrzewał. Kiedy słyszę coś takiego, wówczas myślę, że Szilassy miał rację — nie mam pojęcia, co to jest życie.

22 listopada

Przybył następca Szilassyego. Młody człowiek, ale bardzo pokorny. Dla każdego uprzejmy. Chłopskie dziecię. Każdemu złożył wizytę. Mnie też. Nie potrafiłem z nim rozmawiać. Dyrektor powiedział, że to dobry materiał. Poza tym cały ów incydent powoli odchodzi w niepamięć.

Mgła nie ustępuje, myślę, że jutro, pojutrze spadnie śnieg. Nie lubię spacerować we mgle. Człowiek nic nie widzi. Dzisiaj nie wybrałem się na korso.

23 listopada

Od kiedy szczygieł siedzi w klatce z kanarkiem, obaj milczą. Moja gosposia powiada, że nie pasują do siebie, dlatego milczą. Wczoraj kupiła klatkę specjalnie dla szczygła i od tej pory jest piekielny hałas. Będę zmuszony wyrzucić szczygła, ponieważ jego głos jest mi niemiły.

24 listopada

Boli mnie ząb.

25 listopada

Dzisiaj była klasówka. Bolał mnie ząb. Na początku lekcji rozdałem zeszyty, podałem temat, wróciłem na katedrę i siedziałem z chusteczką przyciśniętą do twarzy. Bardzo mocno boli mnie ząb.

To są najnudniejsze lekcje. Tę dzisiejszą wykozystałem, aby gruntownie przyjrzeć się moim wychowankom.

Wczoraj przepisałem na czysto do nowego notesu nazwiska uczni i uczennic, ponieważ w tych dniach muszę zacząć wystawiać oceny. Notes położyłem przed sobą i dopasowywałem twarze do poszczególnych nazwisk.

W końcu powinienem przyznać się do pewnego wzruszenia, jakie zrazu długo mnie nie opuszczało, kiedy przejąłem tę klasę. Było to raczej pewne skrzępowanie. Z początku, aby je zwalczyć, byłem nadmiernie surowy, zbyt pedantyczny. Silniej, niż zazwyczaj, domagałem się posłuchu; jakby mi to było potrzebne! Nie mogę narzekać, dyscyplina w klasie jest nieomal doskonała.

Czyżby rację miał Mészáros, że po części jest to zasługą dziewcząt?

Nie wiem. Z początku to uczucie skrzępowania, z jakim wchodzę do klasy, wiązałem z tym, że są to ośmioklasiści. Przez ostatnich sześć lat zajmowałem się wyłącznie dziećmi. Pierwszą, drugą, trzecią klasą. Powyżej czwartej prowadziłem jedynie trzy klasy. By tak rzec, specjalizowałem się w dzieciach. W czym, co mogę napisać bez odrobiny samochwalstwa, zdobyłem pewne doświadczenie. Wspomniat

o tym również naczelny dyrektor podczas konferencji, jaka odbyła się przed dwoma laty.

I raptem ta „zmiana pogody”. Ósma klasa. Krytyczna publiczność. Ma swoje opinie, lekko ironiczne, nieufna wobec nowego nauczyciela, dobrze to znam. Muszę bardziej uważać na siebie. Tutaj każdy mój ruch staje się ich łupem, każde moje powiedzenie jest analizowane. W miarę możliwości staram się być powściągliwy w słowie. Co wszakże nie zmienia faktu, iż jestem skrępowany.

Klasa, naturalnie, nie dostrzega tego... przynajmniej mam nadzieję, że nie dostrzega. Jednakże dla mnie jest to nieprzyjemne. Dlatego też postanowiłem sprawdzić, jaka jest przyczyna mojego skrępowania?

Dzisiaj, w trakcie klasówki, mogłem spokojnie przyrzeczyć się moim wychowankom. Temat był trudny, specjalnie poszukałem niełatwego zadania: przetłumaczyć dwadzieścia linijek z języka węgierskiego na łaciński. Dobrze na egzamin dojrzałości. Gryzmolili w głębokiej ciszy. Trzydzieści cztery głowy pochylone nad zeszytami. Dwadzieścia osiem chłopców, sześć dziewczęcych.

Przyglądałem się im uważnie, ławka za ławką. W ciągu dwudziestu ośmiu lat nabrałem pewnego doświadczenia w ocenie różnych typów uczeni. Człowiek często się myli. Ale w większości wypadków oko mnie nie zawodzi. Leniwy, obojętny, kujon, inteligentny, lekkoduch, pilny, jąkاتا, ociężały, wstydlivy, czupurny, arogancki, skromny erudyta — z grubsza znam ich wszystkich. Także bardzo koleżeńskich. I stroniących od kolegów. Pewność siebie

chłopców bogatych. I bojaźliwość biedaków. Skala jest rozległa. Twarze, te w połowie już uformowane twarze, rzekłbym, zdradzają mi to i owo.

Kiedy tak przyglądałem się im po kolei, na dzieś minut przed dzwonkiem dotarłem do uczennic. I dzisiaj po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że przyczyną mojego ustawicznego napięcia nie jest ósma klasa, nie dorośli uczniowie, lecz te oto panny.

Nie zwracając na siebie uwagi, zapisałem w notesie ich nazwiska, tak jak siedzą. Najpierw Vilma Barát. Brunetka. Włosy nosi zaplecione w dwa warkoczki. Wysoka, szczupła dziewczyna. Najczęściej widuję ją w niebieskiej sukni. Ubiera się biednie.

Druga to Teréz Neumann. Ta również jest brunetką, ale kolor jej włosów jest odrobinę jaśniejszy. Cóрка kupca (moda męska). Dobra z języków. Izraelitka.

Pomiędzy Teréz Neumann a Vilną Lángos (ta ostatnia jest blondynką) siedzi Margit Cserey. Od tamtej pory nie widziałem jej z uczniem Madárem. Specjalnie się nie waha. Człowiek ma skłonność do pochopnych opinii. Możliwe, że się nie szwenda. Widziałem ją tylko raz. Cicha, dobrze ułożona dziewczyna. Ma szczupłą twarz, krótko obcięte czarne włosy. Margit Cserey.

Piąta jest dosyć tęga, nosi okulary. Ta też jest blondynką, ale inną niż Vilma Lángos. Nazywa się Makkai. Márta Makkai. Zamierza zostać nauczycielką. Przeciętna. Typ kujona. I często chichocze.

Szósta jest najbardziej z nich rozwinięta. Nazywa się Klára Zakár, kasztanowata. Wysoka, chuda dziewczyna, mówi ostrym głosem.

Kiedy się im przyglądałem ławka za ławką, musiałem przyznać się przed samym sobą, że to one są przyczyną mojego napięcia i skrępowania. Nie rozumiem ich. Nie znam ich mentalności. Nigdy nie prowadziłem zajęć z dziewczętami. Powoli muszę się do tego przyzwyczaić. Muszę też zapisywać własne spostrzeżenia. Możliwe, że są inne niż chłopaki. Może inaczej pojmują różne sprawy. Dla mnie jest to całkowicie nowe terytorium.

W czasie przerwy przeważnie spacerują razem. Naturalnie, chętnie chichoczą. Na ogół jednak nie przeszkadzają klasie. Zauważyłem, że uśmiechają się do siebie z pobłażaniem, gdy któryś z uczni nie umie dokładnie odpowiedzieć na moje pytanie. Wydaje mi się, że to drażni chłopaków.

Ogólnie biorąc, nie jest to najgorsza klasa, jaką kiedykolwiek miałem pod swoją pieczę. Mészáros twierdzi, że w ostatnim roku zmieniła się na lepsze. Za sprawą dziewcząt.

W każdym razie muszę zwalczyć w sobie to rzucające się w oczy skrępowanie. Myślę, że mi się uda. W końcu, uczennice nie uczennice, jestem wychowawcą klasy.

Zacząłem się im przyglądać na dziesięć minut przed dzwonkiem. W tym momencie dwoje zamknęło swoje zeszyty. Naturalnie, pierwszy był Willinszky, uczeń celujący. Powinien być pierwszy. I równocześnie z nim ta mała Cserey.

Zamknęła zeszyt, sięgnęła po torebkę, wyjęła z niej szmatkę i wytarła stalówkę. Uczennice noszą pióra w torebkach. Zresztą starsi uczniowie też już nie noszą kałamarza.

Zauważyłem, że starannie położyła pióro między lusterko i chusteczkę. Dziwne, że Cserey skończyła jako pierwsza. Z pewnością działała pochopnie. Sprawdzę jutro. Oby mnie tylko ząb nie bolał.

27 listopada

Nie sposób wytrzymać, muszę coś zrobić. Najprościej byłoby pójść do dentysty, ale boję się, że już jest za późno. W ogóle dziwna sprawa z tym zębem. Zaczął mnie boleć trzy lata temu. Góra, lewa strona, ząb trzonowy. Wówczas poszedłem do dentysty. Doktor Jeges. Powiedział mi, że to już koniec tego zęba. Natychmiast trzeba go wyrwać, bez dnia zwłoki, ponieważ zaczyna się stan zapalny dziąsła. Zresztą cały ten ząb to jedna ruina, dziupla, wielka dziura. Bez wątpienia przetoka.

Zdaje się, że to jest to.

Twarz mi opuchła. Tylko ja to widzę, bo zarost dostatecznie osłania opuchliznę. Cała lewa strona twarzy jest rozpalona i silnie piecze. To jest przetoka. Bez wątpienia.

Potrąfię rozpoznać przetokę. Ropa przedostaje się do dziąsła. Przebija się przez twarz. Słyszałem o wypadkach, gdy ludzie umarli na coś takiego.

28 listopada

Obrzęk nie ustaje. Ledwie mogę jeść. Smutny stan. Ból jest coraz ostrzejszy, coraz bardziej się rozszerza. Czasami słabnie na kilka godzin, wówczas mam takie uczucie, że ropa zaatakowała z sukce-

sem, zajęła pewien obszar i teraz odpoczywa, zbiera siły, zanim ponownie uderzy. Ale obrzęk się rozprzestrzenia. Myślę, że rano będzie już widoczny gołym okiem. Udam się do Jegesa. Będzie miał wielką *Schadenfreude*, ale pójdę do niego.

Dzisiaj spadł pierwszy śnieg.

Leży przez cały dzień. Z okna widzę, jak rozjaśnia ulicę. Jest pogodnie, dobrze i czysto. Ale nie mogę pójść na spacer. Nigdzie nie mogę się wybrać z takim zębem.

Zaparzyłem rumianku, płukałem usta i poprawiałem zadania.

Klasa jest przeciętna. Na dobrą trójkę. Ta Cserey postąpiła nieroztropnie, zamykając zeszyt tak wcześnie. Popeniła dość poważne błędy gramatyczne. Ujęcie tematu nie jest złe, ale błędy gramatyczne dość poważne. Dwa razy proste *futurum*¹ wzięła za tryb warunkowy. Niepotrzebnie się spieszyła. Nie mogę dać jej więcej niż dwójkę. Niepotrzebnie się spieszyła.

Neumann jest dobra. Styl słaby, ale gramatyka bez zarzutu. Cztery pozostałe uczennice — średnie.

Sądzę, że gdyby Cserey się nie spieszyła, napisałyby lepiej. W gruncie rzeczy, gdy o tym dłużej myślę, to te błędy nie wydają mi się takie ciężkie. Struktura jednego ze zdań była na tyle mglista, że mogła wziąć *futurum* za tryb warunkowy. Przy odrobinie dobrej woli mógłbym dać jej trójkę. Odszukałem jej zeszyt. Poprawiłem dwójkę na trójkę. Myślę, że tak jest sprawiedliwie. Nie chcę jej zniechęcać.

¹ *Futurum* (łac.) — czas przyszły.

Czy mam dzisiaj wyjść na korso? Pierwszy śnieg, może być bardzo przyjemnie.

Można oszaleć z tym zębem. Znowu się zaczęło. Teraz wyraźnie atakuje policzek.

3 grudnia

Bezlitosne dni. Dzisiaj jest pierwszy dzień względnej ulgi. Bezlitosne dni. Równoległe z bólem cieleśnym przyszła duchowa depresja. Ząb poddał się. Po wyrazie twarzy Jegesa widziałem, że sprawa jest poważna. Litość wzięła w nim górę nad *Schadenfreude*. Nie dotknął zęba. Powiedział, że nie wolno. Trzeba odczekać, aż obrzęk skłębnie. Wcześniej nie można zęba usunąć. Nic nie może zrobić. Opuchlizna stęchnie sama i ropa rozejdzie się albo przedrze się przez policzek. W takim przypadku należy operować. Słowem, trzeba poczekać.

Wygląda na to, że ząb się poddał. Twarz mam jeszcze napuchniętą, ale dzisiaj już nie odczuwam bólu. Ropa się rozchodzi. Jeges życzy mi szczęścia i ma nadzieję, że za kilka dni będzie mógł wyrwać ząb.

Na razie wyglądam ohydnie. Bo to nie jest moja twarz. Jest to jakaś komicznie obca twarz. Nawet ktoś, kto ma dla mnie współczucie, skoro na mnie spojrzy, musi się roześmiać. Sam widzę, gdy spojrzę w lustro, że jestem nadzwyczaj pocieszny.

Myślałem o tym, żeby przez kilka dni nie prowadzić lekcji, ale teraz przed konferencją nie chcę, aby mnie ktoś zastąpił. Obawiałem się, że uczniowie wybuchną śmiechem na mój widok. Obawy były uza-

sadnione. Wybuchnęli śmiechem, gdy tylko stanąłem w drzwiach.

Tutaj muszę powiedzieć coś na korzyść dziewcząt. Wydaje mi się, że uczennice w pewnych sprawach wykazują więcej taktu niż uczniowie. Ci ostatni, bez wyjątku, roześmiali się na mój widok. Spośród dziewcząt tylko dwie zachichotały: Lángos i Zakár. Pozostałe cztery patrzyły na mnie raczej ze współczuciem. Cserey też mi współczuła.

Uczennice Lángos i Zakár chichotały głośno. Nie mam im tego za złe, po prostu odnotowuję. Zarazem odnotowuję, że te dwie są blondynkami, natomiast cztery pozostałe szatynkami i brunetkami. Czy to coś znaczy? Czy blondynki są bardziej nieczułe? Nie wiem.

4 grudnia

Obrzęk mojej twarzy wyraźnie stęchł. Wciąż jeszcze wyglądam pociesznie, ale zdążyłem się już przyzwyczaić. Klasa także przywykła. Dzisiaj uważnie przyjrzałem się sobie w lustrze i stwierdziłem, że nie mogę mieć klasie za złe tego wybuchu śmiechu. Bo rzeczywiście moja pokryta zarostem, opuchnięta twarz jest komiczna.

Ząb już mi nie dokucza.

Jeges ma nadzieję, że za trzy dni go usunie. Powiada, że miałem szczęście.

Dzisiaj dłużej niż zwykle rozmawiałem z Kudliczkiem. Dowiedziałem się od niego, że klasa przeżywa mnie „Morsem”. Oto i moje przezwisko. Wiem, naturalnie, że każdy nauczyciel ma jakieś przezwi-

sko. Mnie tak nazwano zapewne z powodu moich wąsów. Istotnie, jest w mojej twarzy coś z morsa.

5 grudnia

Obrzęk ustąpił z twarzy. Jeszcze mnie odrobinę rwie, gdy nacisnę. Dzisiaj kazałem Puliszce przeczytać ody XXIV. Z Księgi III. Gdy Puliszka przeczytał ten oto fragment:

*Exegi monumentum aere perennius...
...Quod non imber edax, non Aquilo impotens
Possit diruere, aut innumerabilis
Annorum series, et fuga temporum.
Non omnis moriar...¹*

naraz ogarnął mnie ów dawny smutek. Nie, nie zrobiłem nic monumentalnego. Za kilka dni będzie koniec roku. Jeszcze jeden rok więcej.

Teraz już śnieg nie topnieje. Jutro usuwam ząb.

7 grudnia

Nie usuwam zęba. Twarz mam zdrową, poczekam z wyrwaniem.

8 grudnia

Może przyczyną jest śnieg, może coś innego, ale na tej ulicy jest tak cicho pod moim oknem, jakbym

¹ Horacy, *Pieśni*, księga III, oda XXX (nie XXIV), w tłumaczeniu Stefana Gołębiowskiego: „Wzniosłem pomnik trwalszy od spizu, / wyższy od królewskich piramid, / wichrom ani deszczom żarłocznym nie podległy, / ponad wiekami umknę Libytynie. / Nie wszystek umrę”.

był sam w mieście. Kiedy szczygiel jęknie, jest mi niemal przyjemnie.

Nie słyszałem nic o tym, żeby Szilassy wywołał skandal. Być może wywołał, ale my nic nie wiemy. W każdym razie do nas tutaj nic takiego nie dotarło.

Śnieg na ulicy jest już po kolana. Wczorajszego wieczora miałem takie uczucie, że już od dłuższego czasu nie żyję. Dobrych kilka lat. Może pięć. Może sześć. Może rok.

Nic mnie nie trapi. Ząb jest już w porządku. Nie mam zwyczaju rozmyślać o śmierci. Dlatego zdziwiło mnie to spokojne, silne uczucie, jakie towarzyszyło naglej myśli o śmierci. Powinienem się do niej przygotować. A może już jestem gotowy?

Tylko ten umiera, kto się na śmierć godzi, powiadają. Ja czasami jeszcze czegoś oczekuję. Jeszcze nie wyraziłem zgody.

Wczoraj pomyślałem, żeby pozbyć się zarostu.

Już od pięciu lat noszę tę brodę. Właściwie nie pamiętam mojej dawnej twarzy. Chyba niczego już nie pamiętam.

Teraz mam niekiedy w nocy takie uczucie, jakbym słyszał ten cichy śnieg, który pada przed moim oknem.

Zaczynam wszystko zapominać. Jakże jest dalekie to dziwne ostatnie lato. Jakby to było lato sprzed wielu, wielu lat.

24 grudnia

Dzisiaj jest Wigilia. Kolację zjadłem w domu. Już od lat sam spędzam wieczory wigilijne. Mógłbym

prójść do kasyna, gdzie przesiaduje paru takich samych samotników jak ja. Ale o czym miałbym z nimi rozmawiać. Czyżbyśmy mieli uzalać się nad sobą?

Gospościa przygotowała na kolację rybę i kurę. Upiekła makowiec przyprawiony miodem. Ciężkie jedzenie. Zaległo mi na żołądku. Źle będzie się spało. Zawsze źle sypiam po świątecznych przysmakach.

Wypiłem do kolacji butelkę czerwonego wina. A teraz, po kolacji, otworzyłem drugą butelkę. Siedzę przy piecu, lampa świeci na stole, a ja wyjmuję z szuflady ten zeszyt. Odpowiada mi taki wieczór wigilijny. I wcale nie pragnę innego. Gdybym przyjął zaproszenie od jakiejś rodziny, teraz musiałbym bawić się z dziećmi, nakręcać kolejkę i na czworakach, udając konika, wozić na plecach najmniejszą z pociech. To nie dla mnie.

Mojej gospoście kupiłem szydełkową chustkę i książeczkę do nabożeństwa. Myślę, że była bardzo szczęśliwa dzięki obu prezentom. Nic o niej nie wiem. Żyje tu obok mnie, a ja nic o niej nie wiem. Wiem, że przez dziesiątki lat była gospościami u pewnego protokolanta, na wsi, ale kiedy się zestarzał, przybyło jej wiele pracy. U mnie nie ma wiele pracy. Ot, cicha, stara kobieta. Teraz siedzi w kuchni z nową chustką na ramionach i czyta modlitewnik. Zastanawiałem się, czyby jej może nie zaprosić. Książeczka do nabożeństwa była dosyć droga; oprawiona w czarną skórę, z grawiurami, ze złotymi inicjałami, z napisem na okładce inkrustowanym kością. Bardzo cenny modlitewnik. Była nim nadzwyczaj przejęta. Powiedziała, że zabierze go na pasterkę.

Ja też mógłbym pójść na pasterkę. Bo i tak nie mogę spać. Z dziesięć lat nie byłem na pasterce. Ale jakoś nie zapraszam gosposi do mojego pokoju. A niech tam sobie czyta w kuchni. Takie wspólne siedzenie byłoby męczące i nieszczerze.

Oto żyje tu obok mnie stary człowiek, właśnie ta kobieta, a ja nic o niej nie wiem. Jakie ma wspomnienia? Czy jest szczęśliwa? Zadowolona? Czy jeszcze czegoś oczekuje od życia? Nic o niej nie wiem. Słyszę, jak porusza się w sąsiedniej izbie. Gdybym ją zapytał, wprowadziłbym ją w zakłopotanie. Dałaby mi wymijającą odpowiedź albo coś by tam plotła. Ludziom nad wyraz ciężko jest dowiedzieć się czegoś o sobie.

Mijały tygodnie, a ja nie zaglądałem do dziennika. Bo w ciągu tych kilku tygodni nic się nie zdarzyło. Jestem apatyczny. Przeczytałem ostatni zapis. Od tamtego czasu nie zdarzyło się zupełnie nic. Czasami powraca uczucie oczekiwania na coś. Możliwe, że czekam na śmierć?

Za oknem przechodzą kołędnicy z dzwonkiem i śpiewem. Muszę wyjąć z szafy kozuch, włożyć kalosze, zabrać latarkę. Pora wybrać się na pasterkę. Już północ.

25 grudnia

Dawno nie mieliśmy takiej pięknej zimy. Może z piętnaście lat nie było takiej pięknej, mroźnej, śnieżnej zimy. Świeci słońce, a mimo to śnieg nie topnieje. Cieszy człowieka ten jeden tydzień ferii. Chodzić trzeba w kaloszach, ale i tak dużo spaceruję. To, co

tak się skrzy i skrzypi, kiedy się na to nastąpi, to właśnie jest śnieg!

Rad jestem, że poszedłem na pasterkę. Kościół był wypełniony po brzegi. Zauważyłem wielu znajomych. Mnóstwo chłopstwa przybyło z okolicznych wiosek. Czuć było silny zapach kozuszków i filcowych butów. Z ciał dobywało się ciepło i rzędząca mgła. Chór dziecięcy śpiewał. Były to kolędy.

W czasach dzieciństwa także je śpiewałem. Teraz przyłączyłem się; pieśń podjął cały kościół. Zdziwiło mnie, że wciąż jeszcze mam mocny i czysty głos. Kiedyś cieszył się pewną sławą. Oczywiście, nic mnie to nie obchodzi.

Pozdrowiało mnie wielu ludzi. Pod jednym z filarów, za ławkami dostrzegłem Gábora Csereya z całą rodziną. Szczupły, bladej mężczyzna. Po jego prawej ręce stała małżonka, po lewej — córka, Margit Cserey, moja uczennica. Obok dziewczyny — także mój wychowanek, Pál Madár. To mnie trochę zdziwiło, ale spodobało mi się, że Madár ostatnio zrobił się taki pobożny i że przyszedł na pasterkę. Po tym wszystkim, co słyszałem o nim od katechety, zaskoczyła mnie ta jego gorliwość w wierze. Ale nie mogę powiedzieć nic innego, niż wyrazić słowa pochwały. Może to jedna z zalet koedukacji, ta zmiana u Madára w kwestiach religijnych. Zresztą, dziewczyna była z rodzicami. W kościele zauważyłem również Mészárosa. Hipokryta.

W czasie podniesienia zwróciło moją uwagę, że Madár nie patrzy w kierunku ołtarza, lecz na twarz swojej koleżanki z klasy, Margit Cserey. Co się tak gapi? Ja widziałem twarz tej dziewczyny z profilu i

nie dostrzegłem w niej nic szczególnego. Twarz o-
walna, śniada cera. Włosy czarne jak sadza. Nosek
mały, odrobinę garbaty. Usta normalne. Wzrost
średni. Oczy niebieskie. Szaroniebieskie. Nosi wy-
sokie sznurowane buty i wilczy kożuszek. Na głó-
wie ma futrzaną czapkę.

Madár poczuł, że patrzę na niego, i ostrożnie od-
wrócił głowę. Gdy mnie spostrzegł, spłoszony ukłó-
nił się. Po jakimś czasie trącił łokciem Cserey i coś
jej powiedział. Nie słyszałem, co, ale prawdopodobnie
jedno krótkie słowo: „Mors”. Jestem pewien, że
powiedział właśnie to.

Ten Madár ma paltocik wiatrem podszyty. Raczej
to jesionka niż palto na zimę. Pewnie jest bardzo
biedny. Teraz, kiedy w jego żarliwym spojrzeniu do-
strzegam coś bardziej uspokajającego, być może za
pół roku dam mu jakieś skromne stypendium. Zo-
baczę.

Po południu czytałem Horacego. Drugiego stycz-
nia muszę zacząć wielkie odpytywanie. Czytałem
Pieśń XIV: *Eheu fugaces, Postume, Postume, labuntur
anni...*¹. Przeznaczyłem ją dla Madára. Lubię tę odę
rzymskiego poety. *Labuntur anni*. Ten rok też już mija.

26 grudnia

Timár nie pisze. To bardzo dziwne. To wykluczo-
ne, aby nie pisał dlatego, że nie może mi zwrócić

¹ Horacy, *Pieśni*, księga II, oda XIV, w tłumaczeniu Stefana
Gołębiowskiego: „Ehej, Postumie, o mój Postumie, lata wciąż
biegną”.

pieniędzy. Prawdę mówiąc, nie spodziewam się, że mi odeśle pieniądze. Co zresztą mam z nimi robić, z tymi pieniędzmi? Ale mógłby napisać list.

Zresztą możliwe, że już, biedak, nie żyje.

Dzisiaj przyszło mi na myśl, że ten Madár... chociaż nie, nie mam żadnego powodu do podejrzeń. To może być równie dobrze przypadek. Może się przyjaźnią. Tak, to możliwe, że są dobrymi przyjaciółmi. Ale kiedy pomyślę o tym jego spojrzeniu, jakie w kościele utkwiał w twarzy panny Cseresy, nie umiem odsunąć od siebie podejrzania, że ten Madár jest zainteresowany koleżanką z klasy.

Nadzwyczaj smutnie patrzył w twarz koleżanki z klasy.

Zresztą oblicze Madára wcale nie jest wesołe. Właściwie nigdy nie przyjrzałem się uważnie jego twarzy, ale wydaje mi się, że nie jest to ładny chłopak. Raczej brzydki i smutny. Ma wydatny nos, niskie czoło, rozciągnięte usta i całą twarz w pryszczach. Zaobserwowałem, że co rozumniejsi chłopcy w jego wieku często są smutni.

A jeśli naprawdę interesuje się nią? Co z tego, że jestem wychowawcą klasy, nic mi do tego.

27 grudnia

Tego, naturalnie, że razem się wałęsają, szwendają, jak to zwykł nazywać Mészáros, nie mogę tolerować. To już coś dla mnie. Wałęsanie się, szwendanie — to już jest sprawa publiczna. Zresztą regulamin zabrania wychowankom naszego gimnazjum przebywania na korso po godzinie siódmej wieczorem.

Zadbam, aby temu zapobiec.

Dzisiaj o godzinie siódmej minut dziesięć szedłem ulicą Główną w kierunku kasyna. Przed wystawą księgarni stali Madár, Neumann, Zakár, Cserey i Frideczky, ten syn kapelusznika, cieszący się zasłużoną sławą złego ucznia. Przywódca bandy. W tym roku jakby mniej rzuca się w oczy, ale ja wiem, że stoi na ich czele. Przyglądali się nowym książkom. Niezauważony przeszedłem za ich plecami. Minęła siódma. To prawda, że teraz są ferie. Na wszelki wypadek postawiłem w moim notesie krzyżyk przy nazwisku Madár.

Dzisiaj długo zabawiłem w kasynie. Do domu wróciłem po dziesiątej. Miejski lekarz, Sellyei, w tych dniach był w Budapeszcie. Zrobił mi wyczerpujący wykład o stołecznych ciekawostkach.

Kiedy wróciłem z kasyna, przystanąłem w bramie i obserwowałem, jak pada śnieg. Od kilku lat w naszym mieście palą się na ulicach lampy łukowe. Śnieg wirował wokół nich w przejrzystych promieniach. Na ulicy panowała taka cisza, jakbym patrzył na to z daleka przez szklaną szybę. Padał śnieg i domy, także domy piętrowe, były bardzo małe. W żadnym oknie nie jarzyło się światło. Gdy wróciłem do swego mieszkania, uświadomiłem sobie, że o każdym domu wiem, kto w nim mieszka. A o większości domów mogę powiedzieć, ile osób tam mieszka i co je trapi. Człowiek dowiadyuje się wszystkiego. Śnieg pokrył całe miasto. Gruba warstwa zalega dachy i okapy. Kiedy położyłem się do łóżka, poczułem się tak, jakbym leżał pod śniegiem i do rana

całkiem mnie zasypie. Nie mogę zasnąć i czuwając, tutaj, w łóżku zapisuję tych kilka linijek.

Jest tak cicho, że z trzeciego pokoju dochodzi mnie kaszel gosposi. Kaszle od pewnego czasu. Milczą zgodnie szczygieł i kanarek. W nocy nigdy się nie odzywają.

28 grudnia

Dzisiaj około czwartej po południu siedziałem przy oknie i patrzyłem na ulicę. Niewielu nią chodzi, a o czwartej już zapadł zmrok. Nieoczekiwanie, z daleka zobaczyłem na rogu Mészárosa. Raptem pomyślałem, że przybywa z przedmieścia, gdzie kogoś ma i tą słabo uczęszczaną boczną ulicą próbuje dotrzeć do domu.

Zbliżał się powoli, ciężko szło mu się w śniegu. Chód ma już starczy. Na głowie miał zielony welwetowy kapelusz z doczepionym doń pędzelkiem z sierści dzika. Przeszedł przez zaśnieżoną jezdnię, ku memu największemu zdumieniu minął moje okna, za to zatrzymał się przy naszej bramie. Po chwili usłyszałem dźwięk dzwonka. A więc przyszedł do mnie.

Z przedpokoju doszło mnie jego dowcipkowanie i odgłos ściągania kaloszy. Nie wyszedłem mu na przeciw. Czego chce ode mnie? Dlaczego przyszedł właśnie do mnie? Nie zdarzyło się nigdy, aby mnie odwiedził.

— Siedzisz po ciemku? — zapytał, usiadłszy pod oknem naprzeciwko mnie.

Gospościa przyniosła lampę. Mészáros wyciągnął rękę w stronę pieca, nachylił korpus ku przodowi i ogrzewał się. Wąsy i brwi miał zupełnie oszronione. Mnóstwo zmarszczek wokół oczu, już łysiał. Wąsy nosił junacko podkręcone. Dopiero teraz zauważyłem, że już jest stary. Wąsy na pół posiwiiałe, skronie całkiem siwe. Ale w postawie, w sposobie bycia wiele jeszcze było z dawnego Mészárosa. Bez wątpienia, zawsze był z niego wielki kozak. Przyjaźnił się z panami z województwa. Starał się wystawiać jak tamci, podobnie się ubierał. Miał dojścia do nadżupana¹.

— Otóż i jestem — rzekł zacierając ręce. — Pomyślałem sobie, a, odwiedzę cię. Zobaczę, co robisz. Jak żyjesz?

Powinienem był pomyśleć, że od dziesięciu lat tyle razy tędy przechodził, a nigdy do mnie nie zajrzał, czyli musi mieć jakiś powód, skoro zajrzał dzisiaj. Czekałem, aż zacznie. Poprosiłem gospość, by przyniosła nalewkę winogronową.

— Zostaw — powiedział. — Nie piję. Zwłaszcza po południu. Wątroba.

Westchnął.

— Starzejemy się, kamracie.

Używa takich słów, jak „kamrat”. Przejął je od panów z województwa. On także jest szlachcicem. Szaraczkowym. Na palcu prawej ręki nosi rodowy sygnet, z rubinem. Jego żona również jest szlachcianką. De domo Bereczky. Nigdy mnie do siebie

¹ Nadżupan (węg.: *főispán*) — odpowiednik polskiego wojewody.

nie zaprosili. Ani razu w ciągu dwudziestu ośmiu lat. Mnie to nie boli. Wiem, że jestem tylko chłopskiego pochodzenia. Właściwie to mój ojciec był półchłopem. Nie potrafię rozmawiać z nimi. Ja nie posługuję się takimi słowami jak „kamrat”. Każde zdanie zaczynam od „Proszę ja ciebie”... On: „Mój łaskawco”. To dwa. Czasami zmuszam się, żeby również zacząć jak on: „Mój łaskawco...” Nie wychodzi. Czegoś mi nie dostaje. Intonacji.

A on ją ma, tę intonację.

Rozparł się w fotelu.

— Mój łaskawco — zaczął — przechodziłem tędy, to i zajrzałem do ciebie. Rzadko cię widuję ostatnimi czasy. Całkowicie oddalasz się od ludzi, Gáspárze. Co jest z tobą? Czym ty się stale zajmujesz? Pamiętam pewną majówkę, upiłeś się wtedy na amen. W Cserhegy. Nie pamiętasz? Przecież kiedyś potrafiłeś się zabawić. Prawda, że było to dawno. Zaraz, dwanaście lat temu. W tysiąc dziewięćsetnym. Pamiętasz? Ech, kamracie...

Dziwne, że to pamięta. Swoją drogą, tutaj akurat ma rację. Dwanaście lat temu, w Cserhegy. Nie tyle się zabawiłem, ile po prostu urzynałem się. Było lato. Dotknęło mnie do żywego, że wypowiedział moje imię. Gáspár. Nienawidzę mojego imienia. Ale gdyby na chrzcie dano mi imię Béla albo Kristóf, tak samo bym ich nie cierpiał. Błąd nie tkwi w imieniu. Błąd tkwi we mnie. Nie lubię, gdy ktoś się ze mną spoufala. Nikt nie zwraca się do mnie per „Gáspárze”. To też jest taki wojewódzki zwyczaj.

Nieoczekiwanie wyciągnął przed siebie obie ręce i złapał mnie za ramiona, nachylił się do przodu i z

bliska spojrzął mi w oczy. Ponuro, nieomal groźnie. Zanim zdołałem przyjść do siebie, powiedział:

— Gáspárze — i jeszcze bardziej się nachylił. — Stary kamracie. Tylko ty możesz mi pomóc.

— Słucham cię — odrzekłem wystraszony.

Nie potrafiłem inaczej. Wiem, że powinienem był powiedzieć: — Ależ, stary druhu, jestem do twojej dyspozycji. — W tym stylu. Wiem przecież. Ale nie potrafię tego powiedzieć. Wiem, że on z tego powodu patrzy na mnie z góry i trochę mną pogardza, ponieważ mówię innym językiem. — Chłop — myśli sobie — Mors.

Był bardzo teatralny, kiedy tak trzymał mnie za ramiona. Ostrożnie wyswobodziłem się z jego uścisku.

— Przyszedłem do ciebie — mówił coraz bardziej zakłopotany — bo może potrafisz mi pomóc. Jeśli zechcesz, Gáspárze, stary kamracie. Mój przyjacielu, ja wiem, że twój sposób bycia to jedynie pozory. Jest w tobie wiele uczuć. Nie zaprzeczaj, Gáspárze! Znam cię dobrze. Od dawna cię obserwuję. Żyjesz tu sobie, w swojej samotni, niczym eremita. Nigdzie nie bywasz. Nie przyjaźnisz się z nikim. W mieście obmawiają cię z tego powodu. Wiesz sam, co to za jedni. Ale ja, który znam cię wiek cały... Razem przeżyliśmy nasze męskie lata... Tyle wspólnych wspomnień! I oto teraz, w chwili niebezpiecznej, pomyślałem o tobie.

— Wiesz, ten Szilassy — powiedział później. — Przecież pamiętasz go. Mówił prawdę. Nie pytaj o nic, przyjacielu. Nie umiałbym ci odpowiedzieć. Jest pewna granica, za którą jedyną powinnością mężczyzny jest milczenie.

Nie zapytałem o nic. A jednak nie wybrał milczenia:

— Zaczęło się to, mój przyjacielu, półtora roku temu. Jak mam ci to rzec? Grom z jasnego nieba! Wdowa. Nie, nie pytaj o nic. Młoda wdowa. Jej syn jest moim uczniem, w pierwszej klasie. Widzisz, tobie wszystko opowiem. Mam do ciebie zaufanie. Znam cię, Gáspárze, znam jak nikt. Wiem, że będziesz milczał. Wiem również, że mi pomożesz.

— Widzisz, ta biedna wdowa została tutaj z dzieckiem. Młoda. Z bardzo skromną rentą. Pewnego razu przysłała do naszego gimnazjum, ponieważ chłopak otrzymał monit. Przyjacielu! Jakby raził mnie piorun! Spójrz na mnie, popatrz na moją szpakowatą głowę! Rozmawia ze sobą dwóch starych kamratów, dwóch starych przyjaciół. To się stało poza moją wolą, przyjacielu... To było silniejsze od mojej woli. Wiesz, jak nieszczęsny żywot wiodę we własnym domu. Od śmierci naszego jedynego syna moja zagna, biedna małżonka coraz bardziej pogrąża się w melancholii. W smutku. Nędzna gaża, domowe troski, stąd też i długi. Wówczas, po wielkim nieszczęściu, szukałem zapomnienia w życiu towarzyskim. Co pochłonęło mnóstwo pieniędzy. Wszystkie. Pozostał jeszcze niewielki dług... ale po co ci o tym mówię? Sam przecież wiesz. Nie po to, aby się usprawiedliwiać. Chodzi o tę kobietę. Ma trzydzieści lat. Gdybym mógł ci coś powiedzieć, przyjacielu! Poprosiła, abym ją odwiedził. Abym był pobłażliwy dla jej synka, dla sieroty. W istocie, jest to biedna sierotka, przyjacielu. Złożyłem jej wizytę. Gdybyś zobaczył jej mieszkanie, takie ubogie mieszka-

nie, przyjacielu, które promieniowanie duszy tej subtelnej kobiety nasycy niespotykanym ciepłem. Co za kolor, co za intymność... dwa pokoiki. No więc tak to się zaczęło...

— Co? — zapytałem mimo woli. — Romans?

Stłumiłem głos. Muszę przyznać, że wyznanie Mészárosa bardzo mnie zaintrygowało. To tak zaczyna się romans? Tak po prostu? Wystarczy złożyć wizytę jakiejś wdowie? Mészáros spojrział na mnie:

— Ależ oczywiście — rzekł z wielką naturalnością. — Zrozum, przyjacielu, kocham ją.

— Kochasz? — zapytałem zdumiony.

Przed oczyma stanęła mi twarz jego żony, szczupła i smutna twarz z głęboko osadzonymi oczami. Zamilkłem.

— Gdy człowiek raz naprawdę pokocha, przyjacielu... Wiesz, co to jest trzęsienie ziemi? To właśnie tak przyszło. Możesz to sobie wyobrazić!... Co za sytuacja, przyjacielu! Jakaż odpowiedzialność! Co za udręki. To nędzne miasto, gdzie ściany są ze szkła. Po dwóch miesiącach dyrektor wiedział o wszystkim. Nic nie powiedział, ani razu nie ośmielił się napomknąć jednym słowem. Wiedział, że jeśli się odezwie, to ja, przyjacielu, no, sam nie wiem. Albo zabiję jego. Albo siebie. On mnie zna. Jeśli ogarnie mnie gniew... Wiem, że nie ośmieli się napomknąć jednym słowem. Ale teraz, przyjacielu, teraz...

— Co teraz? — zapytałem, wstrzymując oddech.

— Gáspárze — powiedział i zasłonił oczy dłonią. — Jestem w rozpaczliwej sytuacji. Ta kobieta jest w odmiennym stanie. Rozumiesz? No więc wyobraź sobie, chłopiec mieszka tam z nią. Co za komplikacja

cje, przyjacielu! To już duży chłopak, drugoklasista... nie, nie pytaj! Jeśli chcesz, możesz się dowiedzieć wszystkiego. A teraz wyobraź sobie moją sytuację. W klasie. Chłopiec, gdy się o tym dowie, w każdej chwili może coś wypaplać. Jeśli to się wyda, jestem zgubiony. Zawieszają mnie. Kij żebraczy, Gáspárze, żebraczy kij! Nie tylko dla mnie, także dla mojej biednej żony. No i ten skandal! Będziemy musieli opuścić to miasto. A dokąd mam pójść? Z czego mam żyć? Tylko ty jeden możesz mi pomóc, Gáspárze. Tylko ty!

— Ja? — spytałem przerażony. Moja pierwsza myśl była taka, że to jakiś wielki absurd: może Mészáros życzy sobie, abym ożenił się z jego kochanką? Przeszedł mnie dreszcz... — Cóż ja mogę zrobić? Co tu jest konieczne?

— Pieniądze — rzekł niemal bezdźwięcznie.

Odetchnąłem. Cóż za nedorzeczna myśl! Ale jeśli potrzebuje tylko pieniędzy... com pomyślał, tom i wyrzekł:

— Jeśli potrzebujesz tylko pieniędzy...

— Wiedziałem — powiedział raptem bardzo lekliwie i ponownie złapał mnie za rękę. — Wiedziałem, mój ty stary kamracie! Czuję, że przybywam na właściwe miejsce. Gáspárze, posłuchaj mnie! Ty jeden mnie uratujesz! Plan jest gotowy w najdrobniejszych szczegółach. Jeśli będą pieniądze, ta kobieta natychmiast opuści miasto. Wyjedzie daleko stąd, do domu, do swojej matki. Chłopiec razem z nią. Rentę może równie dobrze odbierać tam. Chłopca przepiszemy do innego gimnazjum... ja to załatwię. I tam, u matki, będzie przebywać do narodzin

mojego dziecka. Które jest już w drodze. Moje biedne. Biedne dziecko, Gáspárze. Na to potrzebne są pieniądze. Skąd mam je wziąć? Mój kredyt się wyczerpał. Na to wszystko potrzeba naprawdę nędznej sumki, na przewodzkę, jakiegoś małego kapitaliku, na pierwsze miesiące... A potem, kiedy dziecko będzie już tutaj, o, wiem, co to obowiązek! A tobie, wszystko ci zwrócę, przyjacielu! Do ostatniego fillera. Każdego pierwszego, kiedy pobieramy gażę... ty będziesz pierwszy, któremu oddam...

— Dajże spokój — przerwał mu. — Nie o to chodzi. Obawiam się, że nie mam dostatecznie dużo...

Na to wyraźnie osłupiał:

— To niemożliwe — powiedział. — Ty... ty powinienes mieć pieniądze.

A powiedział to innym tonem, z naciskiem, niemal groźnie. Przestraszyłem się. Nie miałem pojęcia, ile chce pieniędzy? Ile coś takiego kosztuje? Posiadam dwanaście tysięcy koron. Coś przecież muszę zachować. Czy to wystarczy? Czy jemu mam je oddać? I czy oddaję pieniądze w dobre ręce? W przeszłości myślałem o tym, że oddam je komuś. Ale żeby akurat Mészárosowi? Nie miałem pojęcia, ile potrzeba na coś takiego? Osiemdziesiąt koron? Dziesięć tysięcy? Nigdy nie zrobiłem niczego podobnego.

— Tysiąc... — powiedział Mészáros. — Albo, powiedzmy, tysiąc dwieście... A ja w ciągu dwóch lat, przyjacielu... Każdego pierwszego pięćdziesiąt koron...

Załam mu się głos. Pożałowałem go.

— Dobrze — zdecydowałem. — Przyjdź jutro przed południem do pokoju nauczycielskiego. Przyńsię pieniądze.

W oczach załśniły mu łzy.

...Niebawem wyszedł. Nic na to nie poradzę, ale coś mi mówi, że liczył tylko na tysiąc koron. Nie mogę uwolnić się od myśli, że tej kobiecie da jedynie tysiąc koron, a dwieście zatrzyma dla siebie. Podła myśl, ale nie umiem się od niej uwolnić. Wszystko jedno, dam mu te pieniądze. Może to dobry uczynek. Jego żona zazwyczaj patrzy wzrokiem pełnym rozpacz... Dziwny człowiek. Prawie mój rówieśnik. Jak on może znieść coś takiego? Ja zwariowałbym. Ze wstydu, z pomieszania z poplątaniem. Już samo to, że musiałbym kogoś prosić o pieniądze!

A jednak coś mi się przydarzyło w tym roku. Jeden człowiek pocałował mnie, a dwóch poprosiło o pożyczkę.

29 grudnia

Piszę późną nocą, przed położeniem się do łóżka. Przed chwilą wróciłem z kasyna. Przed południem poszedłem do banku i podjąłem tysiąc dwieście koron. Jeden tysiąc i dwie setki. Dawno nie miałem tyle pieniędzy w ręce. Nieprzyjemne uczucie. To podjęcie pieniędzy szczególnie zdziwiło bank. Urzędnik dwa razy spytał mnie: „Tysiąc dwieście?” Zawsze zwykłem jedynie wpłacać. Zjawił się sam wicedyrektor. Wywiązała się między nami taka rozmowa: — Pan profesor wybiera się w podróż? —

Zmieszałem się. — Nie — odrzekłem krótko. Nie wdawałem się w wyjaśnienia. A co ich to obchodzi? Było to niemiłe doświadczenie.

Kiedy opuszczałem bank, czułem, że wszyscy odprowadzają mnie wzrokiem. Jeszcze dostanę się na języki!

Pospieszyłem do szkoły. Mészáros już czekał w pokoju nauczycielskim. Prócz nas było tam jeszcze dwóch kolegów, dlatego prawie bez słów wsunąłem mu pieniądze do ręki. Błyskawicznie chwycił mnie za rękę. — Dzięki — szepnął. — Tysiąc razy dziękuję... — Wyswobodziłem rękę.

Dzisiejszego wieczora nieco później wybrałem się do kasyna. To, co teraz pragnę zanotować, nie obraża mnie. Raczej zasmuca. Żal mi Mészárosa. Gdy wszedłem do czytelnicy, dostrzegłem go w drugiej sali siedzącego za stołem do gry w karty w otoczeniu sporej grupy kolegów. Uwaga wszystkich była zwrócona na Mészárosa. Grał z podsekretarzem, który cieszy się sławą wielkiego karciarza. Mészáros trzymał w jednej ręce dwie karty, w drugiej chustkę do nosa, którą co kilka chwil wycierał czoło. Oko nieruchome, szklane. Słyszałem jego głos, kiedy skrzekliwie wykrzyknął: „Kupuj!” Po czym wziął jedną kartę. Ci, którzy go otaczali, popatrzyli na siebie porozumiewawczo, coś tam poszeptując. Mészáros odłożył karty. Wyjął portfel. Rzucił na stół banknot tysiackoronowy. Wszyscy milczeli. W naszym kasynie rzadko gra się tak wysoko. Podsekretarz oddał mu siedemset koron. Liczyłem banknoty. Siedem setek.

To, co widziałem, bardzo mnie wzburzyło. Szyb-

ko wyszedłem z kasyna, niemal uciekłem, zanim dostrzegł mnie Mészáros. Naprawdę, żał mi Mészárosa. Wstyd mi, żeby coś takiego... Boję się chwili, kiedy niebawem znowu się z nim zobaczę.

30 grudnia

Dzisiaj słyszałem w kasynie, że Mészáros wczorajszego wieczora przegrał siedemset koron.

1 stycznia

Po południu, w mieszkaniu naszego dyrektora spotkałem Mészárosa przy okazji obowiązkowej wizyty noworocznej. Podeszedł do mnie pogodnie usposobiony i po przyjacielsku uścisnął mi rękę. Nic nie powiedział. Dziwny człowiek. Dyrektor zakomunikował, że minister przyjął rezygnację Szilassyego — Stracony człowiek — powiedział dyrektor.

Wszyscy potwierdzili tę opinię. Najgłośniej Mészáros.

2 stycznia

Zajęcia już się zaczęły, a ja nadal pozostaję pod wrażeniem zachowania Mészárosa. Chciałbym wiedzieć, co się stało? Czy ta kobieta wyjechała? Nic nie wiem o tym, aby jakiś uczeń drugiej klasy przestał przychodzić do szkoły. Nie chcę się tym nadmiernie interesować, ponieważ moja ciekawość mogłaby się wydać podejrzana. Spotkałem Mészárosa, lecz ów nie odezwał się słowem. Zachowuje się tak,

jakby nic się nie wydarzyło. Widziałem go w nowym skórzanym płaszczu, jakie noszą właściciele ziemscy. Dzisiaj, kiedy pobieraliśmy gazę, stał obok mnie, ale nie oddał mi pięćdziesięciu koron. Możliwe, że dopiero w przyszłym miesiącu zamierza zacząć spłatę długu.

Na wszelki wypadek wpłaciłem dzisiaj do banku sto koron, dwukrotność kwoty, jaką zwykle wpłacałem. Nie wiem, co tam sobie o mnie pomyślą. Jednego dnia podejmuję tysiąc dwieście, drugiego wpłacam sto. Nie mogę im tego wytłumaczyć.

Jutro wywołam do odpowiedzi Madára.

4 stycznia

Wczoraj w czasie przerwy Mészáros minął mnie na korytarzu. Na moment obaj mimo woli przystanęliśmy.

— No i? — spytałem szeptem, zmieszany, byleby coś powiedzieć.

Mészáros wyjrzał przez okno:

— Znaleźliśmy inne rozwiązanie — odparł głośno, jakby wypowiadał się w jakiejś neutralnej sprawie. — Znaleźliśmy nieporównanie wygodniejsze rozwiązanie. No, bywaj.

Znów podał mi dwa palce, jak zwykł to dotychczas czynić, grając kogoś z gentry, i szybko odszedł. Długo patrzyłem w ślad za nim. Dziwny człowiek. Pewnie ma jakiś kłopot. Jakież to inne rozwiązanie znaleźli? Niepojęte. I żadnego tam „Gáspárze”, żadnego „stary kamracie”, żadnego uścisku ręki. Dziwny człowiek.

Dzisiaj rozpocząłem wielkie odpytywanie. Znam tę ciszę, z jaką w takie dni przyjmuje mnie klasa. Położyłem przed sobą notes i wolno przerzucałem kartki. W takich razach nigdy nie patrzę na klasę.

— Madár — powiedziałem w wielkiej ciszy, ponieważ obok jego nazwiska spostrzegłem krzyżyk.

Lecz odpowiedział obcy głos, był to głos Frideczkyego:

— Nieobecny.

— Przeziębł się — dopowiedział inny głos. To był głos Teréz Neumann. Przyjrzałem się im uważnie:

— Zapewne dużo się szwendał.

Nie spojrziałem na Cserey, ale mogła zrozumieć, że powiedziałem to do niej. Mam nadzieję, że tymczasem było tego w sam raz. Coś z tego musiało do niej dotrzeć. Nie chciałem wypowiedzieć się dobitniej. W napominaniu uczennic nie czuję się dość pewny. Odpytywałem przez całą godzinę. Po Hala-sim ich nieznamość gramatyki woła o pomstę do nieba. Przecież z ośmioklasistami nie mogę ponownie zacząć od *coniugatio*. Trzeba o tym wspomnieć na konferencji.

Ta klasa nie przysparza mi wiele radości.

7 stycznia

Dzisiaj nieobecnych pięciu. Naturalnie, nic innego tylko przeziębienia. Znam ja tych przeziębionych... przed konferencją. Dwóch, trzech zawsze symuluje. Dziewczęta są obecne. Przychodzą w komplecie, całą szóstką. Dzisiaj wywołałem Zakár i Lángos. To są te dwie, które chichotały, kiedy miałem

spuchniętą twarz. Właśnie dlatego byłem dla nich dość pobłażliwy. Nie noszę w sobie złości. Nie jestem stronniczy. Myślę zresztą, że z dziewczętami trzeba się obchodzić z większą pobłażliwością. To jedyna rzecz, jaką mogę dla nich uczynić. Madár wciąż jeszcze jest nieobecny. To już czwarty dzień. Nie przypuszczam, aby symulował. Uważam, że byłby przygotowany do odpowiedzi. Z nagle przyszło mi do głowy, że powinienem go odwiedzić. Poniekąd jest to także moim obowiązkiem... ot, taka wizyta wychowawcy klasy. Jeszcze zobaczę. Jeżeli jutro też będzie nieobecny, zainteresuję się tym przypadkiem. Wiem, że to biedny chłopak. Uderzyło mnie, że ma taki cienki płaszcz. Zdolny i biedny.

Jeszcze nie wywołałem Cserey. Dzisiaj, pod koniec lekcji, pomyślałem sobie, że ją wywołam. Już miałem jej nazwisko na końcu języka. Szukałem ołówkiem między B. i D. Nie wypadło na nikogo innego, tylko na Cserey. Kiedy podniosłem na nią wzrok, aby jednocześnie wypowiedzieć jej nazwisko, spostrzegłem, że patrzy na mnie przestraszonym wzrokiem, książkę już zamknęła, gotowa poderwać się z miejsca i zacząć odpowiadać. Patrząc na mnie przestraszonym wzrokiem, ma wielkie szare oczy. Wydaje mi się, że była również blada, możliwe, że ze zdenerwowania. Wpadłem w popłoch. To mnie teraz dodatkowo złości, że wpadłem w popłoch. Nie lubię, gdy uczniowie odgadują moje zamiary. Nie mam żadnego systemu odpytywania. Jestem nie do rozszyfrowania. Dlatego, wbrew mojej woli, nie wywołałem Cserey. Powiedziałem: „Babuják”.

To słowackie pacholę. Tyczkowane i tępawe. Przed

trzema dniami odpowiadał w strasznej męce. Nie chciał uwierzyć własnym uszom. Wstał, jak lunatyk, nie kryjąc rozpacz. Bezradnie rozglądał się dookoła. Jego przerażenie było tak widoczne, że wielu zaczęło się śmiać. Cserey także się śmiała. Wtedy to już miałem sobie za złe, że nie wywołałem jej. Babuják długo nie otwierał ust. Wreszcie z wielkim trudem odczytał tekst — *Satyra VI. Otii laudes et vitae rusticae*¹ — pierwszych osiem wersów. Wiele razy już się przez to przegryzali. Potknął się na drugim wersie.

— Czego pan nie rozumie? — spytałem, bo zrobiło mi się go żal.

— *Ubi*² — odrzekł zrozpaczony.

Coś takiego nie zdarzyło mi się w całej mojej praktyce. Wszystko to zbrodnia Halasiego. Ósmoklasista, który nie wie, co to jest *ubi*. Cóż to będzie za matura! Już naprzód się cieszę.

Kazałem mu usiąść. Żal mi było biedaka. Widać było po nim, że jest bliski płaczu. Chłopię o lnianych włosach, włosy smaruje pomadą, oczy ma niebieskie. Nic mu nie wpisałem. Uwierało mnie takie maleńkie podejrzenie, że popełniam błąd. Przecież nie jego zamierzałem odpytać, lecz Cserey. Powiedziałem mu, że ta satyra zachwala przyjemności wiejskiego życia. Chyba powinien je znać. Oczywiście, jeśli nie wie, co znaczy *ubi*... Klasa parsknęła śmiechem. Powiedziałem, że wypraszam sobie takie

¹ Horacy, *Satyry*, księga II, satyra VI, Pochwała próżnowania i sielskiego życia.

² *Ubi* (łac.) — gdzie.

zachowanie. Niech nikt nie poczytuje sobie za obowiązek śmiać się, kiedy ja żartuję. Nie roszczę sobie do tego żadnych pretensji.

W tym roku szkolnym po raz pierwszy czuję, że nudzi mnie mój zawód. Jestem bardzo zmęczony. Bez ochoty chodzę na zajęcia. Cieszę się, kiedy rozlega się dzwonek. Cieszę się, kiedy w południe mogę wrócić do domu. Cieszę się, kiedy mogę sobie siedzieć w moim pokoju. Przy oknie. Tylko wtedy jestem spokojny, kiedy zamknę się na klucz i nabiję fajkę. Kasyno też mnie nudzi. Nie byłem tam od czasu, gdy zobaczyłem Mészárosa grającego w karty. Ten mój dziennik też piszę tylko z przyzwyczajenia. Gdy zaczyna się ściemniać, przerywam. Lubię tak przesiedzieć całe późne popołudnie, do kolacji. Niepiesznie myślę o wszystkim bez ładu i składu, w półmroku, w stanie półdrzemki, półodrętwienia. Wszystko inne nudzi mnie. Dzisiaj pomyślałem, że pora pójść na emeryturę. Dość tego było. Dość było tego wszystkiego.

Nic mi nie smakuje. Jestem zły i opryskliwy. Nic na to nie poradzę. Każdego popołudnia wypijam butelkę czerwonego wina. Sam na sam. To nowy obyczaj, zaczynam się do niego przyzwyczajać. Lubię to, niemal pożadam. Gazety też mnie nie interesują.

Nie chce mi się spacerować. W tym tygodniu niewiele chodziłem. Całe dzisiejsze popołudnie przesiedziałem w jadalni, słuchając kanarka i szczygła. Tę klasę jeszcze doprowadzę do końca. W przyszłym roku pójść na emeryturę.

Czuję, że idę w dół. Może to lato miało być tą ostatnią próbą. Tak pewnie będzie. Człowiek docho-

dzi do punktu, kiedy musi usunąć się z drogi. Nie myśli o tym zawczasu, ani się do tego nie przygotowuje. Pewnego dnia wszystko: ciało, dusza, okoliczności — osiągają pewien punkt, kiedy człowiek musi zejść na bok. Dzisiaj zastanawiałem się nad tym, czy nie jest to aby początek śmierci. Człowiek nie umiera przecież z jednej godziny na drugą, jest to powolny proces, który trwa długo, może nawet latami. Dopóki człowiek się z nim nie pogodzi. Nie mam w ustach żadnego poczucia smaku. Żadnego pragnienia. Podejrzewam, że to już jest pewną formą śmierci. Może to się jeszcze rozciągnąć w czasie. Czasami jest tak, jakby na chwilę wszystko zapłonęło, po czym następuje jeszcze silniejszy powrót na ziemię. Nigdy nie sądziłem, że śmierć jest czymś tak łagodnym. I że może tak rozciągać się w czasie.

Nie czekam na nic. Mój niepokój minął. Jakby minęło wszystko. Niekiedy śnię, ale niczego nie zapamiętuję. Niekiedy, tuż po przebudzeniu, roją mi się senne obrazy, twarze ludzi z minionego czasu, ale gdy ocknę się na dobre, wszystko się gmatwa.

9 stycznia

Dzisiaj przed południem, podczas sprawdzania obecności, zakomunikowano, że Madár nadal jest chory.

— Zapalenie płuc — powiedział czyjś cienki głos. Podniosłem wzrok. Była to panna Csereny.

Po raz pierwszy usłyszałem ją. Ma cienki i słaby głos. Jakoś teraz odezwała się pierwszy raz.

— Czy był u niego lekarz? — spytałem.

— Był — potwierdziła.

— Dobrze — powiedziałem.

Postanowiłem, że go odwiedzę. W czasie lekcji głowiłem się, skąd ta panna Cserey tak dobrze orientuje się w chorobie Madára? Teraz już wiem, skąd wie: chodzi do niego. Nie sama, naturalnie, z Neumann. Muszę rozstrzygnąć, jakie mam zająć stanowisko w związku z tymi wizytami.

Po południu, około piątej wybrałem się do Madára. Już było zupełnie ciemno. Mieszka na przedmieściu, u rzeźnika. Ledwie go tam znalazłem. Psy chciały mnie dopaść. Ulica ciemna i błotnista. Nadzwyczaj zaniedbane jest to nasze miasto. Nad podwórzem unosi się ciężka woń chlewu, rzeźnik trzyma u siebie żywą trzodę. Przyjął mnie osobiście. Nader zacny, starszy człowiek.

— Gimnazjalista? — powiedział. — Żle się czuje, biedak. Ale lekarz mówi, że wyjdzie z tego.

— Kto sprowadził lekarza? — spytałem.

— Dwie panienki, te, które tu przychodzą.

W lot odgadłem, kim są te dwie panienki. Nie uczyniłem żadnej uwagi, wolałem zatrzymać to odkrycie dla siebie. Rzeźnik od siebie wyjawiał, że owe panienki to szkolne koleżanki owego gimnazjalisty.

— Jedna z nich to córka Gábora Csereya.

— Wiem — powiedziałem.

— Ta druga to żydowska dziewczyna, proszę pana.

— Wyznania mojżeszowego — rzekłem. — Teréz Neumann?

— Właśnie.

— Od dawna tu przychodzą? — rzuciłem jeszcze jedno pytanie, nim wszedłem do pokoju.

Do tej pory rozmawialiśmy w przedpokoju, który przypominał warsztat masarski. W kociołku na stole leżała ogromna, surowa, nasycona czosnkiem krwawa kiszka. Cały pokój wypełniał zapach czosnku. I ten zapach przypominał mi moje uczniowskie i studenckie stancje. Pomieszkowałem u pewnej wdowy, obok kuchni i moją klitkę też zawsze wypełniała woń czosnku. Rzeźnik zauważył, że patrzę na kiszkę.

— Od niedawna — powiedział — od kiedy jest chory. Proszę pana, to opuszczony chłopak, ja sam jestem bez zony. Moja córka sprząta u niego. Pilny chłopak, do północy potrafi siedzieć. Ale chorowity biedaczek. Trzymam go na garnuszku, bo jesteśmy krewniacy. Najęść się może u mnie do syta, ale nie je.

Powiedział to niemal z pretensją, ale uwierzyłem mu, że dobrze traktuje mojego ucznia. Poczciwa twarz, po wymowie znać, że przybył tu z Wielkiej Niziny Węgierskiej. Ja na żadnej z moich stancji nie miałem tak zacnego gospodarza. Pomyślałem też, że nikt mnie nigdy nie odwiedzał, kiedy byłem chory.

Madár leżał w wielkim łóżku, wciąż jeszcze z dość wysoką gorączką. Pokój był niski i niewietrzony. Obok łóżka, w miednicy z wodą zauważyłem wyżęte chusty. Na brzegu łóżka mnóstwo zeszytów i książek. Mebli nie było tam wiele. Na krześle przy łóżku stała kopcząca naftowa lampa.

— Co panu dolega, Madár? — spytałem. — Co się z panem dzieje?

Chciał usiąść w łóżku, ale go powstrzymałem. Oczy jarzyły mu się gorączkowym blaskiem. Ująłem go za nadgarstek, puls był trochę przyspieszony.

— Już nic, panie profesorze — powiedział szyb-

ko osłabionym przez gorączkę głosem. — Teraz jest już dobrze. Lekarz mówi, że jeszcze tylko tydzień. To nie było zapalenie płuc, jedynie *affectio*¹. Proszę spocząć, panie profesorze... — Mówił nerwowo. Widziałem po nim, że rozdrażnia go ta wizyta. Głos miał zupełnie słaby, był to niemal głos dziecka. Pościel dość brudna, przepocona. Na stole stały dwa słoiki z konfiturami. Obok leżała książka, czasopismo w formie książki. „Nyugat”². Nie znam. Pewnie przystali je ci sami, od których dostał konfitury. Poszukuję oczami jego płaszcz, ale nigdzie go nie widzę.

— Madár — powiedziałem — cieszę się, że jest lepiej. Na przyszłość niech pan uważa na siebie. Wiem, wiem. Niech pan za wiele nie spaceruje, mój kawalerze. Zwłaszcza pod wieczór. Na razie, jako wychowawca klasy... wyasygnuję panu z funduszu uczniowskiego niewielką zapomogę. Trzydzieści koron. Życzy pan sobie, aby go zbadał lekarz w naszym gimnazjum?...

Zauważyłem, że drżą mu usta.

— Panie profesorze... — ale nie zdołał wyrzec nic więcej.

Był naprawdę wielce zakłopotany. Bardzo mu współczułem. Dotknąłem jego czoła:

— Jaką ma pan temperaturę?

Nie była specjalnie wysoka, trzydzieści osiem.

¹ *Affectio* (łac.) — stan chorobowy.

² „Nyugat” (węg.) — „Zachód”. Miesięcznik literacki, wychodził w latach 1908–1941. Jego wpływ na życie umysłowe Węgier był olbrzymi. Było to pismo rangi „Chimery”, „Skamandra”, „Wiadomości Literackich”.

Wrażliwy chłopak. Czuję, że wprawiam go w zakłopotanie, rozdrażniam. Pieniądze położyłem obok słózków z konfiturami.

— Niech pan się nie spieszy ze wstawaniem, kawalerze — powiedziałem. — Pan nadrobi zaległości. Bez trudu dogoni pan klasę. Gdy poczuje się pan lepiej i przyjdzie panu ochota poczytać... przerabiamy teraz szóstą satyrę. *Otii laudes...* wie pan. Ale to nieważne. Ważne, aby był pan zdrowy. Jest pan inteligentny, uzupełni pan... Jeżeli czego pan potrzebuje... Czy koledzy z klasy odwiedzają pana? — zapytałem wbrew własnej woli.

— Cseresy i Neumann — odparł spokojnie. Nie był zmieszany. — Ja, panie profesorze, udzielam im korepetycji z algebry. Pięć godzin tygodniowo.

— To dobrze — powiedziałem. — Zatem od nich może się pan dowiedzieć, co akurat przerabiamy. A najważniejsze, niech się pan nie spieszy ze wstaniem z łóżka... Z Bogiem. Jeżeli czegoś będzie panu potrzeba, wystarczy tylko spokojnie...

Byłem zakłopotany. Coś należy zrobić z tym chłopakiem. Tak nie może wychodzić z domu. Jeszcze może nastąpić recydywa. Co ja mam z nim zrobić? Nie mogę go urazić. Złościło mnie, że czuję się zakłopotany.

— Kudlicsek przyniesie panu ciepły płaszcz — powiedziałem. — Ani słowa, mój kawalerze. Mamy na to, istnieje pewien fundusz dla profesorów naszego gimnazjum. Z ministerstwa — dodałem, aby go uspokoić. — Rozumie pan? A więc tylko spokój i przeczność, mój kawalerze. I jeśli czegoś będzie pan potrzebował, wystarczy dać mi znać. Upoważ-

niam pana do tego, aby dał mi pan znać. Za pośrednictwem Neumann. Albo Cserey.

— Bardzo dziękuję — rzekł stłumionym głosem.

Balem się, że wybuchnie płaczem. Jeszcze gorąkuje, biedaczyna. Uścisnąłem mu rękę, poczułem, że jest gorąca i wilgotna, i wyszedłem. W bramie znowu chciały mnie dopaść psy. Rzeźnik wybiegł za mną. Poprosił, abym zamówił u niego wędliny. Z dostawą do domu. Mogłem pójść mu na rękę. Poprosiłem, aby nadal troszczył się o mojego ucznia, i zamówiłem kilogram wątrobianki. Być może należało zamówić krwawą kiszkę? Bo przecież nie lubię wątrobianki.

Jutro kupię temu Madárowi jakiś nowy płaszcz. Niestety, nie ma funduszy na takie rzeczy. Jednakowoż nie mogę pozwolić, aby, gdy już wstanie, wyszedł z domu bez płaszcza. Zastanawiałem się, czy nie dać mu jakiegoś mojego starego palta, po przeróbce. Bo zmieściłoby się w nim trzech takich jak on. Lecz raptem przypomniało mi się, że ja też w latach gimnazjalnych dostałem taki znoszony płaszcz. Mnie również dał go wychowawca klasy, na Boże Narodzenie, z jakiejś zbiórki. Tamten płaszcz był długi, sięgał mi do pięt, a rękawy trzeba było podwijać. Kiedy w nim chodziłem, zawsze miałem wrażenie, że każdy widzi, każdy wie, że to znoszony płaszcz. Wiele przezeń wycierpiałem. Jeszcze dziś, kiedy o tym myślę, nie mogę otrząsnąć się z tamtego wrażenia. Skoro postanowiłem coś mu dać, to już raczej kupię nowy płaszcz. Nie chcę, aby w pięćdziesiątym roku życia przypomniał sobie pewien znoszony płaszcz.

To, że Madár udziela korepetycji Cserey i Neumann, wiele wyjaśnia. Bez mała raduje mnie to wyjaśnienie. A cóż w tym dziwnego, że te dziewczyny przychodzą do niego, póki choruje. Nie mam tu nic do powiedzenia. Ta informacja mnie uspokoiła. Nieomal cieszę się z tego wytłumaczenia. Nawet godne pochwały, że te dziewczyny przychodzą do niego.

11 stycznia

Wysłałem Madárowi płaszcz za pośrednictwem Kudlicska. Szary płaszcz z grubego sukna. Kosztował czterdzieści pięć koron. Niedrogo. Ma też kieszonkę na cygaro, w której można nosić chusteczkę. Sukno nie najgorsze. Może się w nim szwendać, nie przeziębą się.

12 stycznia

Dzisiaj, w czasie przerwy, przemierzałem korytarz, gdy podeszła do mnie panna Cserey. Była skonsternowana i mówiąc, przez cały czas odgarniała ręką włosy z policzka.

— Panie profesorze — powiedziała — Madár bardzo dziękuje za płaszcz.

— Za płaszcz? — zdziwiłem się. — Ach tak. Cóż, ciało pedagogiczne... No dobrze, panienko.

Chciałem jej powiedzieć, że to ciało pedagogiczne przekazało mu ten płaszcz. Nie chcę, aby Madár był mi wdzięczny. Wiem dobrze, jak wątpliwa jest taka wdzięczność. Taki płaszcz, jeśli człowiek wie,

od kogo go otrzymał, bardziej boli, niż otwarta rana. Chciałbym tego uniknąć.

— Czy lepiej się czuje? — spytałem.

— Lepiej — odrzekła Cserey. — W przyszłym tygodniu przyjdzie do szkoły.

Powiedziałem, żeby się nie spieszył. Więcej nie rozmawialiśmy. Mam nadzieję, że nie będę musiał więcej zajmować się ani Madárem, ani Cserey.

Nie mam ochoty zaprzętać sobie głowy prywatnymi sprawami moich wychowanków.

13 stycznia

Dzisiaj szukał mnie listonosz. Przyniósł mi pieniądze. Sto koron od Timára. Wystał je z Wiednia. Napisał tylko tyle: „A conto. Ágoston Timár” Timár! I czemu mi to przysłał? Przecież nie ma pieniędzy, w przeciwnym razie przysłałby mi całą kwotę. Czemu mi to przysłał?

A jednak sprawił mi ogromną radość tymi pieniędzmi. Jeśli człowiek zna się na ludziach, nigdy się nie zawiedzie. Możliwe, że Mészáros także odda mi dług. Nie mam prawa podejrzewać go o złe zamiary. Może od pierwszego przyszłego miesiąca zacznie spłacać pożyczkę. Ludzie są lepsi, niż człowiek jest skłonny sądzić.

Niezmiernie mnie uradowało, że Timár dał znak życia. Uradowało i napełniło ufnością. Od wielu miesięcy jest to mój pierwszy dobry dzień.

Tkwimy w zimie po uszy. Dokoła całe miasto zasypane śniegiem. Chciałbym napisać do Timára, ale nie podał swojego adresu.

20 stycznia

Dzisiaj widziałem Madára, który już od kilku dni przychodzi do gimnazjum, na spacerze z Cserey. Bardzo dobrze leży na nim nowy płaszcz. Chłopak wygląda teraz zupełnie inaczej. Musiałem się uśmiechnąć, ponieważ w kieszonce na cygaro rzeczywiście miał chusteczkę. Za płaszcz podziękował mi już wcześniej. Wygląda inaczej, ale nadal źle, możliwe, że teraz, gdy ma nowy płaszcz, przyjdzie do siebie.

Swoją drogą, nauczyciel węgierskiego poskarżył się dziś na Madára, że w kółku samokształceniowym czytał jakieś dzikie poematy. Nierymowane, tak zwane białe wiersze. Poprosiłem go o jeden z tych poematów, nic z niego nie rozumiałem. Tytuł: *Pogrzeb myśli*. Dlaczego taki młody chłopak składa do grobu swoje myśli? Banialuki.

Kiedy ja byłem studentem, poeci pisali przeważnie wiersze patriotyczne i miłosne.

25 lutego

Przez cały miesiąc nie zanotowałem ani jednego słowa. Zaczyna się odwilż, zimę mamy już za sobą. Dzisiaj odczytałem IV odę: *Solvitur acris hiems grata vice veris et Favoni...*¹, i kazałem uczniom zwrócić uwagę, że i u nas nastał czas roztopów.

Nie mam nic do zanotowania. Minęło półrocze. Już wspominałem, że Mészáros przy okazji ostatniej wypłaty nawet nie zająknął się na temat długu.

¹ Horacy: *Pieśni*, księga I, w tłumaczeniu Stefana Gołębiowskiego: „Przykra zima wreszcie przeszła, wiatr wiezie wiosnę”.

W miarę możliwości unika mnie. Z pewnością ma ku temu jakąś przyczynę.

Szczygieł zdechł. Prawdopodobnie przeziębził się. Kanarek śpiewa teraz o wiele rzadziej. Żadnych nowin, ani wokół mnie, ani we mnie.

Dyrektor żartem zwrócił mi uwagę, że w ostatnim czasie zupełnie zaniedbałem zarost. Ma w tym trochę racji. Ostatnio również ubieranie się ciąży mi nadzwyczaj. Już i postronni ludzie zwracają mi uwagę, że coraz mniej troski poświęcam samemu sobie.

W zeszłym tygodniu szedłem ulicą i nagle poczułem, że żyję; nie potrafię tego inaczej opisać; jakbym sobie przypominał, że żyję, że chodzę tędy, witam się, rozmawiam. Nie umiem tego wyjaśnić — było to takie mocne uczucie, niczym zawrót głowy.

10 marca

Dzisiaj wpadł mi w ręce ten zeszyt i postanowiłem coś napisać. Długo zastanawiałem się, ale doszedłem do wniosku, że mimo wszystko mądrzej będzie, jeśli napiszę.

W skrócie ma się to tak:

W ciągu ostatnich dwóch tygodni trzykrotnie śniłem ten sam sen. Najdziwniejsze, że po przebudzeniu nie zapomniałem owego snu, trwał przede mną ze wszystkimi detalami, ostry, wyraźny jak film. A oto i sam sen: mam piętnaście lat. Długie ręce i nogi. Noszę krótkie spodnie, idę jakąś ulicą w mieście, którego nie znam. Naraz z naprzeciwka nadchodzi Madár, mój wychowanek. Nie pozdrawia mnie, lecz przystaje i ironicznie uśmiecha się do mnie. Ja rap-

tem przypominam sobie, że jestem nauczycielem tego Madára, co więcej, wychowawcą klasy, i oburza mnie ten jego ironiczny, pozbawiony szacunku uśmiech. Równocześnie spostrzegam siebie w oknie wystawowym i widzę, że Madár ma prawo się tak uśmiechać, ponieważ jestem młodszy od niego, mam piętnaście lat i chodzę w krótkich spodniach. Krew mnie zalewa, za wszelką cenę chcę udowodnić Madárowi, że jestem starszy od niego, mam pięćdziesiąt pięć lat, zarost i futro, jestem nauczycielem i on ma obowiązek zawnoczu mi się uklonąć. Z potwornym wysiłkiem wyciągam się i naciągam, wywracam oczami, ze wszystkich sił napinam muskuły, wszystko po to, aby natychmiast, w tej chwili udowodnić Madárowi, że jestem dorosłym człowiekiem, mam zarost itd. Przymuszam kości jarzmowe, policzki, aby wysypał się gęsty zarost, szarpnię, naciągam na kolanach krótkie spodnie, aby zrobiły się dłuższe i zakryły moje golenie. Ale Madár tylko stoi i z szyderczym uśmiechem wkłada ręce do kieszeni szarego płaszcza, z którego kieszonki na cygaro wygłąda chusteczka, i mówi tak: „Wszystko to na nic, mój panie, pan już nigdy nie będzie starszy”. Mówi to i śmieje się głośno, kiwa mi ręką na pożegnanie i z szyderczym grymasem, rzucając mi spojrzenie przez ramię, odchodzi. A ja zostaję tutaj, bezradny, tupię ze złości, patrząc w ślad za nim i jestem gotów uczynić wszystko, aby odzyskać mój prawdziwy wygląd, aby móc pobiec za Madárem i udowodnić mu, że się myli. Ale nic nie pomaga, patrzę w szybę wystawową i widzę, że mam piętnaście lat. Równocześnie mijają mnie ludzie, niby znajomi, jest wśród

nich Kudlicsek, którzy uchylając kapelusza, witają mnie z respektem: „Uszanowanie panu profesorowi”. Czuję, że zemdleję, wszystko we mnie wiruje.

Taki to sen. Trzykrotnie śnił mi się w ciągu dwóch tygodni. Inne spostrzeżenie, które chcę zapisać, to że w ciągu tych dwóch tygodni, od kiedy utrzymuje się sen, odczuwam w czasie lekcji jakąś dziwną, gwałtowną, silną antypatię do Madára. Przy czym muszę zaznaczyć, że sam Madár nie dał mi żadnego powodu do owej niechęci. Prawda jest bowiem taka, że uczy się dobrze, zewsząd słyszę jedynie pochwały, z łaciny też jest jednym z najlepszych. Jego zachowanie nie budzi żadnych zastrzeżeń. W ostatnim czasie zaprzestał popisów w kółku samokształceniowym, łącznie z odczytywaniem dzikich poematów. Na konferencji wszyscy byli zgodni, że Madár bardzo się zmienił i jest jednym z rokujących jak najlepsze nadzieje wychowanków naszego gimnazjum. I chyba zdecydowanie mniej się szwenda. Wiem o nim, że wybrał dwie uczennice z szóstej klasy, którym, obok Cserey i Neumann, udziela korepetycji, codziennie po dwie godziny. Jego zachowanie względem mojej osoby jest uderzająco grzeczne i pełne respektu, widać od razu, że jest mi prawdziwie wdzięczny. Wszystko to byłoby wystarczającym powodem, abym zajmował się Madárem ze wzmożoną życzliwością. Równocześnie zauważyłem, że Cserey i Neumann poprawiły się z łaciny, odkąd Madár je dokszałca, tegoż samego zdania jest nauczyciel algebry. Wziąwszy to wszystko razem, coraz bardziej niezrozumiała wydaje mi się ta przemożna, zdecydowana, niemal fizyczna antypa-

tia, jaką w ostatnim czasie żywię do Madára. Nie lubię patrzeć na niego w czasie lekcji. Drażni mnie dźwięk jego głosu. Gdy idzie korytarzem naprzeciwko mnie, odwracam głowę. Bywa, że przed lekcją coś mnie zmusza do myśli, że tam, w klasie, jest Madár, co natychmiast odbiera mi chęć poprowadzenia zajęć. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek mój uczeń wywierał na mnie tego rodzaju wpływ. To nie może być następstwem owego snu, raczej, jak sądzę, sen może być kontynuacją tej tak silnie rozbudzonej niechęci.

Postanowiłem zwalczyć w sobie tę antypatię, która jest niesprawiedliwa i pozbawiona racji. Staram się jak najmniej zajmować Madárem, a kiedy już przyjdzie jego kolej, jestem mu przyjazny i życzliwy. Nie lubię jego wzroku, jest w nim coś niepewnego. Nie lubię jego twarzy, pryszczy, wydatnego nosa.

I to jest wszystko, co z tych tygodni mogę zanotować.

17 marca

Niedziela. Pogoda nieomal letnia. Zmiana pory roku zawsze trochę człowieka wciąga. Znów jestem bardziej nerwowy. Więcej spaceruję, choć wszędzie jest gruba warstwa błota.

Do poczynionych ostatnio zapisków muszę dodać coś, z powodu czego się rumienię. Stało się. Już nie na to nie poradzę. Naturalnie, chodzi o Madára. Rzadko tak bardzo zajmowałem się którymś z moich uczniów, jak właśnie Madárem. Podejrzewam, że w

opinii klasy jest moim pupilem. Prawdopodobnie napowiadał, że kiedy był chory, „Mors” dał mu pieniądze i zimowy płaszcz. Ja wiem, że Madár nie jest moim pupilem. Ale nigdy nie dałem mu tego odczuć. Co więcej, byłem mu przyjazny. To natomiast, że staje mi się coraz bardziej antypatyczny, to moja sprawa. Jest pewna poufałość w jego uśmiechu. Niekiedy czuję, że powinienem zwrócić mu na to uwagę.

W tych dniach byłem bardziej nerwowy niż kiedy indziej. W czwartek pod koniec lekcji wywołałem Madára. Przyszła jego kolej. Spokojnie wstał i spojrzał na mnie. Teraz, po czasie, przyznaję się do pomyłki. Ale w tamtej chwili miałem nieodparte wrażenie, że patrzy na mnie z zuchwałą wyższością, z niezachwianą pewnością siebie. Uczucie niechęci było w owej chwili tak mocne, że potrafiłbym go spoliczkować. Niepojęte. Odwróciłem głowę, aby nie patrzeć na niego.

— Proszę przeczytać — powiedziałem — *Iam pauca aratro regiae iugera...*¹

— *Iugera regiae* — powiedział Madár nosowym głosem.

Wiem, nic na to nie może poradzić, że mówi nosowym głosem. Ma jakiś defekt w nosie, może z tej przyczyny jest jakby stale obrzmiały. Ale właśnie ten nosowy głos rozdrażnił mnie.

— Co pan mówi? — zapytałem i spojrzałem mu w twarz.

¹ Horacy, *Pieśni*, księga II, oda XV, w tłumaczeniu Stefana Gołębiowskiego: „Pałace godne królów na gruntach, / gdzie rolnik radłem od wieków orał”.

— *Iugera raegiae* — powtórzył wyniośle, pewny swego. Nie miał książki w rękach. — Pan profesor pomylił się. Nie *regiae iugera*.

I przyjaźnie, szeroko się uśmiechnął. Ja już wtedy wiedziałem, że nie *regiae iugera*. Wiedziałem to w tej samej chwili, w której ten wers wypowiedziałem. Przejęzyczyłem się. Przez ułamek sekundy miałem zamiar, co byłoby najlepszym wyjściem, potaknąć i zgodzić się z uczniem. Ale kiedy zobaczyłem ten jego uśmiech, nie wytrzymałem dłużej. Cała klasa szczerzyła zęby. W zupełnej ciszy.

Przez dwadzieścia osiem lat nie zdarzyło mi się nic podobnego. Uderzyłem w stół z taką siłą, że obsadka potoczyła się i spadła na podłogę. Krzyrzałem na całe gardło:

— *Iugera regiae*. Niech pan to sobie zapamięta! I proszę mnie nie poprawiać, mój przyjacielu! Za wiele pan sobie pozwala!

Madár był śmiertelnie błądny. Zaczął się jękać:

— Panie profesorze, ja...

— Niech pan siada! — ryknąłem. — Zrozumiał pan?!

Usiadł błądny jak kreda. Ja porwałem mój kapelusz i wypadłem z klasy.

Nie zdarzyło mi się to przez dwadzieścia osiem lat. Ale właściwie co? Co się stało? Minęły już trzy dni, a ja nadal rumienię się ze wstydu. Inna rzecz, że jest mi trochę lżej. Nie odpytuję Madára. Nie patrzę na niego. Są takie chwile podczas lekcji, kiedy czuję, że go nienawidzę.

20 marca

Madár czyni wszystko, aby ściągnąć na siebie moją uwagę. Co, pod pewnym względem, udaje mu się, ale nie tak, jakby chciał. W czasie lekcji siedzi milczący, po każdym moim pytaniu, które kieruję do całej klasy, daje znak, że gotów jest odpowiedzieć; jednak nie pytam go. W czasie wykładu niezmiennie czuję na sobie jego oczy. Nieprzerwanie wpatruje się we mnie, błagalnym, pokornym, zmieszanym i zdeterminowanym wzrokiem zasada się na moje spojrzenie. Czasami pochwyć jego wzrok, oko w oko; po krótkiej chwili pokornie odwraca głowę.

Od pewnego czasu odczuwam podczas lekcji pewien rodzaj osobliwego napięcia. Jestem o wiele bardziej nerwowy i brakuje mi cierpliwości. Staram się panować nad sobą. Najlepsze, co mogę uczynić dla Madára, to starać się nie myśleć o nim.

Nie mogę na niego patrzeć.

21 marca

Nie mam pojęcia, dlaczego nie mogę na niego patrzeć. To uczucie jest tak silne, tak kategoryczne, i nie mogę sobie z nim poradzić. Próbuję zanalizować je na chłodno; nie pomaga. Wiem, że Madár nic mi nie zrobił. To ja się omyliłem, ja byłem w błędzie. Może był odrobinę nietaktowny, mówiąc mi to wprost, ale też nic więcej. Z drugiej strony, jeszcze nie tak dawno wydawał mi się naprawdę sympatyczny. Było mi go żal. W Madárze widziałem powtórzenie mojego studenckiego losu. A od trzech tygodni jest tak, jakbym dowiedział się o nim cze-

goś, co roznieciło we mnie ową antypatię. Jest natomiast bezsporną prawdą, że nie dowiedziałem się o nim niczego. A to, co wiedziałem, przemawia na jego korzyść: pilny, staranny. Słyszę, że przykłada się również do gimnastyki i rysunku. Przejrzysty program: to są ostatnie chwile. Jeśli teraz się przyłoży, może celująco zdać egzamin maturalny. Dla niego to bardzo wiele, dla niego to wszystko! Jeżeli ciało pedagogiczne wystawi mu stopień celujący, może otrzymać stypendium i zwolnienie z czesnego podczas studiów uniwersyteckich. Od tego zależy jego przyszłość, cała jego kariera. Muszę przyznać, że w tej chwili jego plan ma się całkiem nieźle. Ja, zgodnie z moim sumieniem, nie mogę mu wystawić innej oceny, niż celująca. Nad tym w ogóle się nie zastanawiam.

To jego spojrzenie, które nieustannie czuję na sobie, to pokorne, proszące o wybaczenie, zakłopotane spojrzenie jest nie do zniesienia i drażni mnie. Owszem, wystarczy, że obrócę w jego stronę głowę, aby spuścił wzrok. Dlaczego nie mogę ścierpieć tego chłopaka? Co zaszło między nami? W ciągu mojej długiej kariery nie zdarzyło mi się, aby poczuć tak gwałtowną, a niemal pozbawioną przyczyny niechęć do wychowanka. Nie znajduję ku temu żadnego powodu. Nic nie mogę na to poradzić. Czuję, że jestem niesprawiedliwy. Czasem jestem bliski tego, aby jednym gestem rozwiązać całe nieporozumienie. Lecz zawsze coś mnie powstrzymuje. To nie mogło wziąć się samo z siebie. Musi być przecież jakaś przyczyna. Jedno, co mogę uczynić, to być dla niego sprawiedliwy.

22 marca

Źle sypiam. Jednakowoż teraz idę do kasyna. Słyszałem, że ostatnimi czasy Mészáros już się tam nie pokazuje. Grał na kredyt, czego nigdy przedtem nie czynił. To, co o nim poszeptują, jest nader nieprzyjemne. Co się z nim stało? Sfiksował na stare lata? Powiadają, że i noce spędza już u tej kobiety. Żona wie o wszystkim, a dziecko zdradziło w klasie cały sekret. Dyrektor na razie nie chce się wtrącać ze względu na wiek Mészárosa i jego towarzyskie powiązania. Powiada, że głupia jest ta wdowa, młodsza od niego o dwadzieścia cztery lata. Jest to także niemiłe dla naszego gimnazjum. Wszyscy skądinąd wiedzą, że zeszłego roku pożyczyłem mu pieniędzy. Wygadał się, obnosił się z tym po kasynie, że jeszcze ma kredyt. Godny pożalowania człowiek. Koledzy wyrażali żal z powodu moich straconych pieniędzy. Powiedziałem, że wypraszam sobie wszelkie wyrazy współczucia. Odegrałem też małą scenkę. Skłamałem. Oznajmiłem, że Mészáros spłaca mi pożyczkę.

Naturalnie, nie ma w tym słowa prawdy; Mészáros do tej pory ani się nie zająknął na temat spłacania pożyczki, choć widujemy się każdego dnia. Co prawda, ledwie zamieniamy z sobą kilka słów. Jak gdyby nic się nie stało. Co z nim zrobią? W kasynie obgryzają teraz tę kość, do samego szpiku. Bo ową wdowę znają też inni; prawdopodobnie Mészáros nie jest jedynym jej przyjacielem. Niepojęte, co się z nim stało. Nie osądzam go, ja po prostu nie rozumiem. W jego wieku? To przecież tak, jakby mnie przytrafiło się coś podobnego. Niepojęte.

23 marca

Moja gospośnia jest w dużej mierze bezużyteczna. Dzisiaj w południe bardzo ostro jej przymówiłem. Ostatnio jestem bardzo zrzędlivy, przyznaję, ale dlaczego drzwi z kuchni do jadalni stale zostawia otwarte?! Kiedy wracam po południu, całe mieszkanie wypełnia zapach czosnku. Nie znoszę tego zapachu. Już tyle razy ją prosiłem, zwracałem uwagę, żeby drzwi do kuchni były zamknięte. A dzisiaj znowu zostawiła otwarte. Zawsze, ilekroć poczuję ten zapach, przypomina mi się pokój, tuż obok kuchni, w którym pomieszkowałem w latach studenckich. Przymówiłem jej. Może ostrzej, niż chciałem. Biedna starowina wybuchnęła płaczem. Jakoś muszę ją udobruchać. Mam ją przeprosić? Wykluczone. Niech się weźmie w garść.

Powoli się ociepla. Wstaję wcześniej. Znowu przed wykładem udaję się na przechadzkę do samej Baszty.

25 marca

Dokądkolwiek idę: Madár. Na korso: Madár. Na placu Basztowym: Madár. Przypadek to, czy mnie prześladowuje? Myślę, że przypadek; to miasto jest małe. Być może i przedtem chodził tamtędy, co i ja, tylko że nie zwracałem na to uwagi. Zazwyczaj nie jest sam, lecz w towarzystwie którejś z podopiecznych, czy to z szóstoklasistkami, czy też z Neumann bądź z Cserey. Z obiema naraz, razem, widuję go ostatnio coraz rzadziej. Zawsze nisko mi się kłania, czapką do ziemi. Jeśli siedzi na ławce, niezmiennie

wstaje, gdy przechodzę mimo i kłania się. Przyjmuje to powitanie, jak każde inne. Odkłaniam się bez słowa. Palcami dotykam brzegu ronda kapelusza.

Prawie zawsze ma przy sobie książkę. Możliwe, że wraca od uczennic lub wybiera się do nich. Widziałem, jak siedzi sobie na ławce pod Basztą i uczy się. To nawet można zrozumieć, że teraz, gdy się ociepla, chętniej przesiaduje na placu Basztowym niż w domu, w tym mrocznym pokoju o brzydkim zapachu. Nie ma w tym nic osobliwego. Nie mam nic przeciwko temu. Ale nie mogę na niego patrzeć. Czuję, kiedy zbliża się z naprzeciwka. Zawczasu odwracam głowę. Jest coś w tym chłopaku, czego nie cierpię.

Może to jego spojrzenie. Albo głos. Lub twarz. Nie wiem. Biedaczyna. Czasami jest mi go niemal żal, ponieważ jest niewinny. Ale nie mogę patrzeć na niego przychylnym okiem.

27 marca

Dzisiaj znów jedna z sytuacji, które potęgują tę i tak już napiętą relację, moją relację z klasą. W gruncie rzeczy sprawa jest niewinna. Staram się panować nad sobą. Z drugiej strony... W pewnym miejscu Tacyt przywołuje fragment z wcześniejszego rozdziału.

— Kto wie? — spytałem lekkomyślnie. Miałem nadzieję, że kilkoro z nich zna odpowiedź. Tymczasem zapadła głucha cisza. Dziewczęta również milczały. Trzydzieścioro troje rażąco niewykształconych... Jeszcze łudząc się, spojrzałem w stronę

Willinszkyego, który ma murowaną piątkę. Zwi-
sił głowę. I tylko jedna ręka zawisała w powietrzu,
jedna ręka, jedna długa czerwona ręka ponad spuszczo-
nymi głowami. Naturalnie, ręka Madára.

Odczekałem pół minuty. Nie potrafiłem się zde-
cydować. A to była ta chwila, kiedy mógłbym prze-
prosić Madára. Wystarczyło, abym powiedział: „Pro-
szę, niech pan powie”. Ale nie potrafiłem wypowie-
dzieć tych słów. Ta ręka już od pół minuty wisała
w powietrzu. Czułem wzrok Madára, to jego nie-
ustępliwe, błagalne spojrzenie.

— Dobrze — powiedziałem spokojnie. — Jeden
wie. Trzydzieścioro troje nie wie. Przyjmuję do wia-
domości. Idźmy dalej.

Ta samotna ręka opadła na ławkę. Czy raczej: o-
padała, bo powoli, z trudem ją opuszczał, jakby nie
wierzył własnym uszom. Czułem, że jego spojrze-
nie zmienia się. Musiałem spojrzeć na niego. Przez
chwilę patrzyliśmy na siebie, ja ponuro, on po raz
pierwszy bez uniżoności, lecz owszem, poważnie,
nieomal krnąbrnie. Myślę, że przez chwilę patrzy-
liśmy sobie prosto w oczy. Po czym uciekł spojrze-
niem ku książce. Wstyd mi; lecz delektowałem się
tym jakże tanim tryumfem. Wstyd mi, ale jakaż
przyjemność. Jeśli jeszcze ciut dłużej będzie patrzył
na mnie tak natrętnie i krnąbrnie, nie wiem, co się
wydarzy. Może zejść z katedry, podejdę do niego i
spoliczkuję go. Huczkało mi w skroniach.

W klasie panowała nieprzyjemna cisza. Nikt się
nie poruszył. Zrozumieli wszyscy, że ustrzeliłem Ma-
dára w locie. W owej chwili ja też zrozumiałem. Że

to uczucie jest silniejsze ode mnie. Musiałem ustrzelić Madára¹.

Czytaliśmy dalej. Wydaje mi się, że byłem bardzo blady.

28 marca

Podczas przerwy, kiedy szedłem korytarzem, tuż przed pokojem nauczycielskim ktoś do mnie podszedł. Niemal się wzdrygnąłem. Był to Madár.

— Panie profesorze — zaczął i wyraźnie zadrżał.

— Czego pan chce? — powiedziałem. — Czego pan chce? Jak pan śmie?

Cofnąłem się. Madár podniósł rękę. Usta miał zupełnie białe, widać było, jak drżą. I powiedział tym swoim nosowym głosem:

— Panie profesorze... chciałbym tylko... Jeśli cymś uraziłem pana profesora...

Wziął głęboki oddech, jakby westchnął:

— Proszę o wybaczenie... nigdy, nigdy nie miałem zamiaru...

Głos mu się załamał. Widziałem, że jeszcze chwila i wybuchnie płaczem. Wpatrywał się we mnie tak, jak robi to tylko pies. Potrzebowałem czasu, żeby odzyskać głos:

— Czego pan chce? — rzekłem ponownie. — Jakim prawem?... Pan mnie nie może obrazić. Co pan sobie wyobraża?

I kiedy wciąż jeszcze czekał:

— Proszę wrócić do klasy.

¹ Madár (węg.) — prak.

I natychmiast wszedłem do pokoju nauczycielskiego. Musiałem usiąść, poczułem serce. Bardzo mocno biło przez długich kilka minut. Jeszcze teraz nie jestem całkiem spokojny.

Muszę coś wymyślić, żeby nie czuć tej niechęci. Ale to uczucie jest silniejsze niż mój szczerzy zamiar. Gdyby Madár został usunięty z mojej klasy, byłbym szczęśliwy. Muszę pomyśleć o tym po południu.

29 marca

Wiele na to wskazuje, że Madár zmienił taktykę. Już nie zgłasza się do odpowiedzi. Ani wczoraj, ani dzisiaj. Ani razu nie podniósł ręki. Siedzi na swoim miejscu, nie rusza się. Nie czuję już jego wzroku. Dzisiaj ostrożnie zerknąłem w jego stronę i to dwukrotnie: czytał. Nie patrzy na mnie. Nie zgłasza się. Gdy pytam o coś, nie podnosi ręki jak inni. Gołym okiem widać, że zmienił taktykę.

Odgadnę, muszę odgadnąć, dlaczego nie potrafie polubić tego Madára.

3 kwietnia

Chyba zacynam się czegoś domyślać.

4 kwietnia

Jeszcze nie rozumiem korelacji, ale zacynam się czegoś domyślać. Na razie jestem bardzo ostrożny. Czasu mam pod dostatkiem. Madár trzyma się swojej taktyki. Nie zgłasza się do odpowiedzi. Jak gdy-

by nie rozumiał, o co pytam. I ani drgnie, lekcja za lekcją. No i dobrze. Zobaczymy, kto wytrzyma dłużej. Zaczynam coś przeczuwać. Zdaje mi się, że pewnego dnia pochwycę w garść tego Madára.

Muszę działać ostrożnie, bardzo ostrożnie. Od kilku dni zaniechałem spacerów na korso. Wolę przedmieście, chodzę sobie tymi ulicami, które prowadzą na Kalwarię.

Jest ciepło, nadzwyczaj ciepło. Dzieci zbierają kasztany. Często widuję Mészárosa, przechodzącego pod moimi oknami. Zapewne piękna pogoda skłania go do częstszych wizyt. Dzisiaj, siedząc przy oknie, poprawiałem klasówki i około siódmej widziałem, jak nie całkiem pewnym krokiem podążał w kierunku przedmieścia. Czyżby teraz, nie czekając wieczora, upijał się już po południu?

Praca klasowa Madára była bez zarzutu. Dałem mu piątkę. Nikt mi nie może powiedzieć, że jestem uprzedzony. Ale co się tyczy pewnej kwestii, mam się na baczności.

6 kwietnia

Nic. Muszę zmienić taktykę. Być może byłoby dobrze, gdybym przeciwną na swoją stronę kogoś spośród wychowanków... Myślę, że można by się coś niecoś dowiedzieć od Frideczkyego. Ale niechętnie to zrobię. Czasu mam pod dostatkiem. A ładna pogoda już się utrzymuje.

7 kwietnia

W nocy znowu ten chaotyczny sen. Nie do znieśienia. Zresztą i tak źle sypiam. Budzi mnie każdy szmer. Jakby ponownie zaczynała się ta moja niecierpliwość. Jak zeszłego roku. Muszę coś na nią wymyślić. Powiniennem kłaść się jeszcze bardziej zmęczony.

9 kwietnia

Dzisiaj, w domu, wypłem dwie butelki wina, żeby tylko zabić czas. Teraz się kładę. Cięży mi głowa. Cieszę się, że piłem to wino, bo teraz czuję się spokojniejszy. Tylko głowa mi ciąży.

13 kwietnia

Nic. Ale teraz wszystko jest już tylko kwestią ostrożności. Trop jest pewny, muszę jedynie zacząć, aby mieć gwarancję.

15 kwietnia

Na razie nic. A ściślej, dzisiaj koło południa nieoczekiwana wizyta kuratora. Jedna ze sławnych, nieoczekiwanych wizyt kuratora. Ja z biegiem lat przywykłem do nich. Natomiast młodszych nauczycieli bardzo coś takiego denerwuje.

O wpół do dziesiątej otworzyły się drzwi. Nikt nie wiedział, że jest w mieście. Mógł przyjechać wczoraj wieczorem. Zawsze tak robi. Zwykł zatrzymać się w seminarium duchownym. Zjawia się

rano na pierwszą lekcję. Jak teraz do mnie. Sądzę, że jest moim rówieśnikiem. Wchodzi bezszelestnie, uśmiecha się, wita, klasa wstaje z miejsc. Na głowie ma jedwabną czarną czapeczkę, niezmiennie nosi czarną sutannę. Prosi o dziennik, idzie na koniec klasy, siada na skraju ostatniej ławki. Zakłada okulary. Po czym mówi łagodnym głosem:

— Pan będzie łaskaw kontynuować, jakby mnie tutaj nie było.

Każdorazowo wypowiada te słowa. Teraz też. W takich razach zawsze, niczym przed dwudziestu laty, czuję leciutki, maleńki skurcz w żołądku. Jak za młodych belferskich lat. Wszystko zależy od niego: awans, ocena. Dzisiaj uśmiechnąłem się. On jeszcze nie wie, ale ja wiem, że nie pragnę ani awansu, ani oceny. Jest mi to już zupełnie obojętne. Ja nic nie chcę. Tego Madára, tak, jego jeszcze złapię... ale to nieważne. Na mnie i o mnie może ten mały, stary, łagodny detektyw napisać w swoim notesie, co mu się podoba.

W powietrzu wyczuwało się zwykle w takich razach napięcie. Zadawałem pytania. Po kilku odpowiedziach, którym towarzyszyło szczekanie zębami, z ostatniego rzędu dotarła do mnie łagodna i cicha prośba:

— Bardzo dziękuję. Jak widzę, jest to klasa koedukacyjna. Może byłby pan łaskaw odpytać uczennicę.

Zawsze ta jego metoda, ta słodziutka uprzejmość. Jest mi to zupełnie obojętne, ale ta jego prośba wprawiła mnie w lekkie zakłopotanie. Prawda jest taka, że jeśli idzie o moje uczennicę, to nie bardzo jestem zorientowany. Rzadko je odpytywałem. Jeśli tylko

było to możliwe, robiłem wszystko, żeby się nimi nie zajmować. Bo jest to dla mnie niemiłe. Najpierw wywołałem Neumann. Przetłumaczyła Horacego bardzo dobrze. Po niej przyszła Makkai. Pojęcia nie mam, co ona umie? Odpowiadała bardzo drobiazgowo, wolno, nieskończenie wolno, denerwując się i posapując. Nie wypuściła z ust ani jednego słowa, zanim nie była go całkowicie pewna. Makkai słusznie postępuje, przygotowując się do kariery nauczycielskiej. Będzie dobrym pedagogiem.

Myślałem, że to wystarczy. Dwie uczennice pokazały, co umieją. Jakkolwiek jest mi to obojętne... jako że w przyszłym roku idę na emeryturę... to jednak w pewnym sensie byłem podenerwowany. Ot, zwyczaj, stare przyzwyczajenie. Nie mija. Wiem, że to chytry człowiek. Nigdy nie miałem z nim poważniejszego problemu, ale wiem, że jest słodki jak miód i zarazem przebiegły. Nie chciałbym otrzymać nagany na koniec mojej kariery. Chodzi mi o to, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że z powodu czegoś takiego odszedłem na emeryturę.

Czekałem. Nie było mu dość. Kartkował dziennik klasowy.

— Cserey — powiedział łagodnie i cicho, jakby zagrał na flecie.

Cserey wstała. Była bardzo blada. Od dłuższego czasu nie zzywałem jej do odpowiedzi. Wiem, że się stara, ale nie ciekawi mnie, co naprawdę umie. Zapewne miałem jakiś powód ku temu, aby jej nie odpytywać. Po pierwsze jest mi antypatyczna. Nie w tej mierze, co Madár, ale przez Madára. Ostatnia fala tej antypatii, jaką czuję dla Madára, dotyka tak-

że Cserey. Teraz widzę, że jest nadzwyczaj zdenerwowana. Jeśli da się zjeść tremie, sprawa jest stracona. Nieomal zrobiło mi się jej żal. Patrzyłem na nią i widziałem, że jest blada. Byłem bliski tego, aby dać jej znak. Coś krzepiącego, żeby się nie bała.

— Jeśli łaska — powiedział i zaczął kartkować Horacego, którego wziął od siedzącego na skraju ławki chłopaka — może odę XXXI, *Mors Cleopatrae*¹.

Zawsze ma niezawodnego nosa, no i wyszukał sobie. A to akurat przerabialiśmy tylko raz, i to pobieżnie. Wstał, poprawił na głowie jedwabną czapkę, na nosie okulary, niemal ukrył się we wnęce okiennej i założył ręce na piersi.

Znam go od dwóch dziesięcioleci. Mógłbym się już przyzwyczaić. Ale od dwóch dziesięcioleci, przy okazji każdej jego wizyty jest taka chwila, kiedy czuję się uczniem, który drży przed nauczycielem i najchętniej cisnąłby książkę w kąt, dał dyla ze szkoły i nadał inny kierunek swojej karierze, poszedłby, powiedzmy, wyuczyć się ślusarki. To była właśnie taka chwila. Kiedy dostaję palpacji serca. Równocześnie z moimi wychowankami.

Cserey nieskończenie długo szukała XXXI ody. Widziałem, jak drżą jej palce w czasie kartkowania książki. Kiedy drżącym głosem zaczęła czytać

— *Nunc est bibendum: nunc pede libero* — od razu wiedziałem, że to jest kres wszystkiego. Cserey ni-

¹ *Mors Cleopatrae* (łac.) — śmierć Kleopatry. Horacy, *Pieśni*, księga I, oda XXXVII (nie XXXI), w tłumaczeniu Stefana Gołbiowskiego: „Teraz podajmy dłonie pucharom, / Teraz w takt płasom ziemia odpowie, / Teraz czas ofiar salijskich, / Czas wieść czyć bóstw wezglowie”.

gdy się nie zetknęła z tą piękną odą. Owszem, po-
bieżnie ją przerabialiśmy. Ale spójrzmy na to i tak:
nie jest to tekst stosowny dla dziewczyny. *Nunc est
bibendum*, to jest raczej dla chłopaków. W każdym
razie wiedziałem, że to jest kres wszystkiego.

Cserey głosem cichym i drżącym przeczytała pierw-
szą strofę, niczym jakąś modlitwę. Po czym spojrze-
ła na mnie. Skinąłem głową, że jest dobrze, że prze-
czytała bardzo ładnie. Przerwała.

— Czy mam czytać dalej? — spytała.

Całą nadzieję pokładała we mnie. Nie mogłem jej
zawieść. Potaknąłem:

— Owszem.

— Może już wystarczy — dotarł do mnie delikat-
ny głos z wnęki okiennej. — Proszę to przetłuma-
czyć, panno Cserey.

Cserey milczała.

— No — odezwałem się, biorąc do rąk Horace-
go. — Spójrzmy tylko. Proszę się skupić, panno
Cserey. No? *Nunc est bibendum*...

— Teraz jest czas picia — powiedziała z rozpacz-
liwym wysiłkiem.

— Bardzo dobrze — przyklasnąłem. — Możemy
również powiedzieć tak: a teraz pijmy! Bardzo do-
brze. *Nunc pede libero pulsanda tellus*...

Cserey popatrzyła na mnie tak, jakbym przemó-
wił po chińsku. Zdumiona, skonsternowana i pro-
sząca o pomoc. Bezgłośnie i bezwiednie poruszały
mi się wargi. Znam to spojrzenie. Gdy w czasie wi-
zyty kuratora uczennica takim wzrokiem patrzy na
nauczyciela, to jest to już kres wszystkiego. Jest to
spojrzenie spiskowców.

Trwało to może minutę. Znam go i wiem, że tam, w tej swojej wnęce okiennej rozkoszuje się takimi minutami.

— O ile wiem — odezwał się po jakimś czasie głosem najłagodniejszym z łagodnych — to oda XXXI jest w programie nauczania. A z Horacym pożegnaliście się już w kwietniu. Może ktoś inny. Zechce panienka usiąść.

Cserey usiadła.

— Może ktoś inny — powiedział jeszcze raz.

Ale ja wiedziałem, że przy tej odzie nie wchodzi w rachubę nikt oprócz Madára. Choć on też nie jest pewniakiem. Nie zajmowałem się tym tekstem.

— Proszę, niech się zgłosi ktoś, kto chce przetłumaczyć tę odę — rzekł łagodnie i zachęcająco.

Rzadko widuję klasę, w której jest cicho jak makiem zasiał. Nie poruszyła się ani jedna ręka. Tylko za moimi plecami ktoś wstał z miejsca. Powoli, z ociąganiem.

— Jak się pan nazywa? — spytał kurator.

— Pál Madár.

Nie spojrzął na mnie. Patrzył na kuratora i uśmiechał się. Butnie, zuchwale. Wróciłem na katedrę i usiadłem.

— Proszę — powiedział kurator. — Niech pan weźmie książkę.

— Mogę z głowy, panie kuratorze — powiedział i poufale uśmiechnął się w stronę okna. I raptem zaczął głębokim, nosowym głosem. Całą odę. Znał ją na pamięć.

Wszyscy patrzyli na Madára. Ja też. Nie potrafiłem patrzeć na nikogo innego. Tłumaczył bez tru-

du i prawidłowo, poszczególne wersy równocześnie wypowiadał po węgiersku. Kiedy doszedł do słów: *Tempus erat dapibus...* — zatrzymał go ruch ręki.

— *Tempus erat?*

— *Tempus est* — odrzekł. — *Imperfectum pro praesenti...*¹

Przez chwilę trwała cisza. Po czym powiedział zdecydowanie:

— *Graeco more...*²

Kurator potaknął ruchem głowy:

— Bez zarzutu — rzekł głośno.

Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek pochwalił ucznia. Komunikowali się po łacinie. Klasa wstrzymała oddech. — Dobrze — powiedział w końcu kurator, kierując to słowo do Madára.

Po czym podszedł do katedry:

— Gratuluję panu wychowanka, panie profesore.

Klasa wstała. Odprowadziłem go do drzwi. Ostatni raz. Więcej mnie nie zobaczy. Kiedy wróciłem do stołu, klasa jeszcze stała w ławkach. Stałem na katedrze.

— Proszę usiąść — powiedziałem. — Odpowiedzi były haniebne. Nie spodziewałem się niczego innego. Nie warto stawiać ocen. Proszę przyjąć do wiadomości...

Wziętem głęboki oddech. Dawno nie byłem tak wzburzony:

¹ *Imperfectum pro praesenti* (łac.) — czas przeszły zamiast czasu teraźniejszego.

² *Graeco more* (łac.) — według greckiego zwyczaju.

— ...że wasz kolega, Madár, ocalił honor całej klasy. Dlatego jego odpowiedź uznaję za ważną i wpisuję mu ocenę bardzo dobrą.

Wyjąłem notes i wpisałem piątkę. Wszyscy milczeli. Nie spojrzałem na Madára. Bałem się, że uśmiecha się tak, jak przed paroma minutami. Bałem się, że utracę samokontrolę.

Ten dzisiejszy dzień był dniem Madára. Myślę, że niebawem nadejdzie i mój dzień. Teraz już w to nie wątpię. Na razie muszę czekać. Chcę działać bardzo ostrożnie.

15 kwietnia

Na konferencji kurator nie szczędził pochwał dla Madára. O mnie nic nie powiedział. Zganił Mészáros.

17 kwietnia

Bez wątpienia jestem na dobrym tropie. Chciałbym to z kimś omówić. Ale boję się, że jeśli powiem coś za wcześnie, wieść się rozniesie...

Jest ciepło, wczesna wiosna. Dzisiaj byłem bliski tego, aby wyjść z domu bez płaszcza. Męczy mnie silny ból głowy. Każdego wieczora wypijam butelkę czerwonego wina, żeby móc zasnąć. Dzieje się tak ze mną każdej wiosny. Zmiana pogody bardzo daje mi się we znaki.

Madár już nie nosi tego płaszcza, który dostał ode mnie. Prawda, że już jest na to za ciepło. Chodzi bez płaszcza. Jeśli się nie mylę, to ma na sobie nowy gar-

nitur. Brązowy, z kantem u spodni. Co prawda, ten sam już od paru tygodni. Wygląda w nim znacznie lepiej. Czyściej, na bardziej zadbanego. Włosy też przyciął. Zobaczymy.

20 kwietnia

Nic. Pada przez cały dzień. Nie mogę wyjść z domu.

21 kwietnia

Dzisiaj dałem sobie przyciąć brodę. Mam zupełnie inną twarz, z taką krótko przyciętą brodą.

Nic.

24 kwietnia

Wczoraj widziałem ich. Szli Basztową we dwoje. Nie było z nimi nikogo trzeciego. Minęli mnie, nie mogli mnie zauważyć. Przyspieszyli na zakręcie. Mądral perorował, bardzo podekscytowany.

Zanim dotarłem do zakrętu, zniknęli za narożnym domem.

25 kwietnia

Dzisiejszego wieczora spotkałem lekarza okręgowego, który za wszelką cenę chciał mnie zabrać do kinematografu. Byłem tam zaledwie dwa razy, ale zawsze przed południem, na seansie naukowym. Raz pokazywano dolny bieg Dunaju, drugi raz ta-

jemnice dna morskiego. Ten ostatni był bardzo interesujący, ale zdjęcia trochę niewyraźne. Spytałem go, co dają dzisiaj? Na co odrzekł, że dzisiaj jest „męski wieczór”. Tylko za zaproszeniami. Będzie komendant policji, słowem, śmietanka towarzyska. Oznajmił, że pokazują bardzo krótkie filmy. Niemoralne. Odmówiłem i nie poszedłem.

26 kwietnia

Można spać przy otwartym oknie.

Trzy domy dalej rośnie akacja, która już kwitnie. Cała ulica wypełniona jest jej zapachem. To zapach słodki i ciężki. Zeszłego roku jakoś mi się nie narzucił, teraz jest tak mocny, że ledwie mogę z nim spać. Czuję, że rozboleła mnie głowa

Gospodyni każdego wieczora, ledwie wróci z nieszporów, wysiaduje przed domem. Nie rozmawia z nikim, cicho siedzi sobie przed domem. Pracuje z trudem, słuch jej się popsuł. Możliwe, że w przyszłym roku poślę bidulę na emeryturę, do rodzinnej wsi.

Możliwe, że ja także się stąd wyprowadzę.

27 kwietnia

Mam ich w garści.

28 kwietnia

Całe popołudnie spacerowałem po okolicy. Chciałem przewietrzyć sobie myśli. Zaprowadzić w nich

pewien porządek. Co mi się, po części, udało. Zastanawiałem się również nad sposobem postępowania. Jeszcze nie jestem całkowicie pewien, co zrobić. To zresztą nie jest najważniejsze. Bowiem najważniejsze jest to, że mam ich w garści.

Teraz po kolacji zabieram się do zapisania tego wszystkiego.

Robię też odpis listu, aby mieć dowód, gdyby oryginał przypadkiem zaginął. Żadnych wątpliwości. Dzisiejszego wieczora nie piję wina. Zamknąłem okno, aby mnie nie rozpraszał zapach akacji. Zaczekam, aż gosposia skończy zmywanie, ponieważ dochodzi mnie z kuchni jej śpiew. Potrzebuję absolutnego spokoju.

Tak. A więc Madára mam w garści. Nie przebiegło to dokładnie tak, jak sobie kalkulowałem... ale to nie takie ważne. Liczy się rezultat.

Przed południem zarządziłem klasówkę.

Już rano wstałem w dobrym nastroju. Człowiek to po prostu czuje. W dodatku pogoda jest wspaniała, jakby to był koniec maja. Pogodnie usposobiony wszedłem do klasy. Podałem temat i rozdałem zeszyty. Tematem był Tacyt. Odpowiednio się przygotowałem. To są już tematy maturalne.

Klasa pracowała w skupieniu. Patrzyłem na moich wychowanków. Zbeształem Babujáka, ponieważ ściągał. Więcej nieprawidłowości nie dostrzegłem. Okna były otwarte, świeciło słońce.

Za kwadrans dwunasta Madár zamknął zeszyt. Naturalnie, był pierwszy. Nawet Willinszky jeszcze nie skończył. Słyszałem, jak zdecydowanie zamyka zeszyt, a następnie przeciąga się. Nie skierowałem

tam wzroku. Przeglądałem dziennik klasowy. Siedziałem do niego bokiem, niemal odwrócony plecami, jak zwykle.

Człowiek ma przeczucia: w pięć minut później miałem wrażenie, że Madár coś wyczynia. Podnosi rękę. Nie odwracając się, kątem oka śledziłem ruch jego ręki.

Na blacie ławki siedzącego za nim Puliszki położył jakąś kartkę.

Puliszka nie podniósł głowy, jednym ruchem zmiotł tę kartkę pod ławkę. Zmiotł lewą ręką, gdy prawą pisał nadal. Wtedy już Madár siedział wyprostowany i patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem.

Po kilku minutach Puliszka podniósł głowę. Spojrzał na mnie po raz pierwszy. Potem na Frideczkyego. Po czym cicho zakaszłał. Kiedy tam rzuciłem wzrokiem, szybko spuścił głowę.

W kilka chwil później znowu zakaszłał. Frideczky siedzi po drugiej stronie, oddziela ich przejście między ławkami. Ta wolna przestrzeń rozciąga się od ściany do katedry. Tędy zwykłem się przechadzać podczas odpytywania.

Kartka pofrunęła do Frideczkyego. Puliszka dobrze się spisał, rzucając do celu. Kartka spadła tuż przed nosem Frideczkyego, który natychmiast nakrył ją dłonią. Teraz i on pilnie pracował przez kilka chwil.

Nagle zaczął pokaszliwać. Ku memu największemu zaskoczeniu Babuják, ten półgłówek, podniósł głowę. Najpierw zazezował na mnie. Potem za siebie, na Frideczkyego. Potem znowu na mnie i rów-

nocześnie skinął głową, nie oglądając się. Nigdy nie podejrzewałem go o taką przebiegłość. Jak widać, w pewnych sprawach jego głowa działa całkiem sprawnie. Prawą rękę schował z tyłu, następnie nieco wyciągnął w stronę Frideczkyego. Przejął od niego list i wsunął do zeszytu między okładkę a bibułę.

Babuják siedzi w drugim rzędzie, za dziewczętami. Za Neumann i Cserey. Zanim zdążył cokolwiek uczynić, spojrzałem na niego: patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. Równocześnie mimowolnym ruchem ręki zamknął zeszyt

— Cóż to, Babuják? — zapytałem. — Gotowe? To się chwali, że ostatnio pracuje pan w tak imponującym tempie.

Nie odpowiedział. Wstałem, powoli zszedłem z katedry i ruszyłem między ławkami, podniosłem zeszyt Babujáka, który patrzył na moją rękę jak czarowany. Zabrałem zeszyt ze sobą, wróciłem na katedrę i położyłem go na stole.

— Kto już skończył — powiedziałem — może oddać wypracowania.

Pięć głów wpatrywało się we mnie szeroko otwartymi oczami. Madár, Puliszka, Frideczky, Babuják. I Cserey.

Madár i Neumann ciężkim krokiem przywlekli się do katedry i złożyli zeszyty. Nie wyciągnąłem ręki po żaden z nich. Stałem przed otwartym oknem i obserwowałem klasę.

Madár w milczeniu patrzył na Puliszkę. Puliszka na Frideczkyego. Frideczky wybałuszonymi oczami gapił się na Babujáka. Cserey nie patrzyła nigdzie, pochylona nad zeszytem. Babuják zwiesił gło-

wę w poczuciu winy. Jeszcze kilka minut było do dzwonka. Klasa zaczęła się bezgłośnie wiercić. Zamykano zeszyty, ten i ów zakaszłał, rozprostowywano kości, cicho szurano pod ławkami. Po kolei podchodziłem do każdej ławki i zbierałem zeszyty.

Puliszka poderwał się z miejsca, aby zapewne służyć mi pomocą. Zwykle, idąc za mną, odnosił zeszyty klasowe do pokoju nauczycielskiego. Skinąłem głową.

— Odniosę panu profesorowi do domu — zaferował się Puliszka.

Już kilkakrotnie odnosił zeszyty klasowe do mojego mieszkania. Teraz, wnosząc z jego nadgorliwości, gotów był wybrać się w drogę z całym pakunkiem. Madár siedział z założonymi rękami. Zdaje mi się, że był blady. Patrzył pod ławkę, na czubki butów.

— Ja sam — ostudziłem zapal Puliszki. — Dzięki, przyjacielu. Dzisiaj nie zabieram zeszytów do domu. Zostanę tutaj, w pokoju nauczycielskim.

Usiadł.

Rozległ się dzwonek. Puliszka poderwał się, zaryzykował ostatnią próbę. Już miał w ręce plik zeszytów, gdy krzyknąłem:

— Nie! Natychmiast proszę je odłożyć!

Pokornie ustąpił.

Sam zaniósłem zeszyty do pokoju nauczycielskiego. Cały stosik położyłem na półce, w odpowiednim miejscu. Odszukałem zeszyt Babujáka. List był między okładką a bibułą. Wyrwana z zeszytu kartka, kilkakrotnie złożona. Przeczytałem jedynie adres. Pisany był ponad wszelką wątpliwość ręką Madára, a wyglądał tak:

Wielce obiecująca i nadobna pływaczka panna Lala Cseresy. Rząd 1 na lewo. Ławka 3.

Patrzyłem na adres. Dlaczego Lala? Któż to? Cseresy, o ile wiem, na imię ma Margit. Nadobna pływaczka? Co to ma znaczyć? Obracałem list w rękach, nie chciałem go rozłożyć. Był bardzo mocno poskładany. Ktoś wszedł. Wsunąłem list do zewnętrznej kieszeni płaszcza.

Potem poszedłem na obiad do restauracji. Wcześniej się zjawiłem, lokal był niemal pusty. Spośród moich znajomych nie zauważyłem nikogo. Prawdę powiedziawszy, zamierzałem rozłożyć ów list dopiero po obiedzie. Długo zwlekano z przyniesieniem zupy. Nudziłem się. To uczucie, że mam ich w garści, działało na mnie uspokajająco.

Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek coś tak dalece mnie interesowało w związku z moimi wychowankami. W naszym gimnazjum nierzadko zdarzały się skandale. Jeden z uczniów raz coś ukradł. Wtedy również ja prowadziłem dochodzenie. Ale tamten skandal, tamto dochodzenie i wszystko inne, czego w ciągu blisko trzech dekad doświadczałem w związku z moimi wychowankami, pozostawało mi całkowicie obojętnym. Nigdy nie czułem tego, co teraz: jakbym był zainteresowany wykroczeniem. Jakbym miał z nim coś wspólnego. Niezależnie od tego, że chodzi o mojego ucznia.

Wyjąłem list z kieszeni i położyłem na stole, obok talerza. Jest wielce prawdopodobne, że już od dłuższego czasu wymieniali ze sobą listy, także podczas lekcji. Będzie już tydzień, gdy ostatni raz widziałem ich razem. Nie rozumiem, dlaczego kore-

spondują, przecież podczas przerwy mogą powiedzieć sobie wszystko. Albo po południu. Nie rozumiem. Rozumiem tylko tyle, że przecucie nie zawiodło mnie. I że tutaj bije źródło antypatii, jaką czuję do Madára, tej osobliwej, niemożliwej do zwalczania antypatii. Za dowód niech posłuży ten list.

Kiedy mi przyniesiono zupełną, rozłożyłem list. Po czym przeczytałem go jednym tchem. Oto ów list, który przepisuję słowo w słowo:

11.30. Dlaczego nie spojrzysz na mnie? „Mors” myśli, że to, co piszę, to wypracowanie klasowe, a ja teraz piszę do ciebie. Co ci jest? Wybacz. Gdybyś wiedziała, jak mi smutno. Możesz mówić cokolwiek, możesz żądać czegokolwiek, ale wybacz mi. Wczoraj wybrałem się do was, ale mój brat powiedział, że nie czekałaś, postanowiłem pójść na Kalwarię, do tego grobu, wiesz, że może tam jesteś. Potem jednak pomyślałem, że tam cię nie będzie, bo już było późno. Dlatego o szóstej wróciłem do domu i przez cały wieczór nie opuściłem pokoju. Rzeźnik zabił świnię, i tę świnię osmalano na podwórzu tuż przed moim oknem, i przez cały wieczór był taki smród, że można było się udusić. Co mam zrobić, żebyś się pogodziła? Powiedz, co chcesz. Jutro przyniosę ci Babi-tsa¹, jeśli chcesz, zostawię go u was, gdyby nie było cię w domu. Wczoraj wieczorem przeczytałem Księżę, a gdyby przyszła zima! Nie wszystko rozumiem, żeby być szczerym, co to za księżę i jaka to zima, ale wiersz jest

¹ Mihály Babits (1883–1941) wielka postać literatury węgierskiej XX w. Wybitny poeta, także prozaik, eseista, historyk literatury, redaktor czasopisma „Nyugat”, tłumacz m.in. *Boskiej komedii* Dantego.

bardzo piękny. Jest tam także wiersz o Ameryce, Lalu. Gdy będziesz czytać mój list, spójrz tutaj. Założmy się, że spojrzysz. Jeśli się nie pogodzimy, zostawię to wszystko i wyjadę do Ameryki. Mam jeszcze dwie korony. Pojutrze zapłaci mi Neumann i dwa cielęta z szóstej. Twój ojciec też mi zapłaci, co jest dla mnie bardzo przykre. Dlaczego nie mogłem mu powiedzieć, że chcę cię uczyć za darmo? Dlaczego? Żeby „Mors” pękł, ja i tak zdam maturę celująco. Tak jak teraz pęka, choćby z powodu kuratora. Z tego powodu także. Co mi jest? Wszyscy mnie dręczą, ty też. Wszyscy mają ze mną kłopot. Moja matka pisze, że jest chora. Biedna matka. Ma czterdzieści lat i teraz musi być na służbie. Czy wiesz, jakie to okropne? Dlatego cierpię i połykam tyle goryczy. Dlatego także proszę „Morsa” o wybaczenie, jakikolwiek by nie był ten zdziczały stary osioł, który jest do mnie po stokroć uprzedzony. Moja matka pisze, że coś podniosła i czuje bóle brzucha. Biedna. Biedna. To okropne, jaki ja jestem biedny. Płacze w liście, że nie przyjechałem do domu na Wielkanoc. No, ale ty wiesz, dlaczego. Nie mogę ścierpieć, że nie ma nic w tym domu. Już na Boże Narodzenie coś sprzedała, jakiś zegarek na łańcuszku, żeby była choinka i wieczerza wigilijna i żeby było tak, jak za życia ojca. Gdyby żył ojciec, wszystko wyglądałoby inaczej. Teraz pomyślałem, że nie był pospolitym człowiekiem. Nie uczył się w szkołach, ale był człowiekiem myślącym. A to coś więcej. Nie trzeba czytać, lecz myśleć. Zawsze żył wśród lasów, był cichy, ledwie się odzywał. Wszystko to straszne. Słowem, zaniechaj. Dostyc już było, pogódź się ze mną. Najdroższa. Nie umiem inaczej zwrócić się do ciebie. Ty nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś mi droga. Po południu mamy lekcję higie-

ny, przyjdź, usiądę za tobą. Uważaj, czytając ten list. Nie ufam „Morsowi”. Możliwe, że nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Moja droga, nie umiem inaczej myśleć o tobie. To dobre słowo: droga. Nie śmieję się, czytając ten list. Daj znak, że mnie rozumiesz. Przyjdź po południu. A potem, jeśli zechcesz, wybierzemy się pod Baszę. „Mors” ostatnio poluje w okolicach Kalwarii. Mogłabyś przyjść do mnie, ale nie chcę, bo dzisiaj napętniają kiszki i wszystkie pokoje są pełne kiszek, w moim pokoju też jest ich pełno. Niezależnie od tego nie chcę również, abys przyszła. Bo znów będzie to, co przedtem. Ale jeżeli tego pragniesz, przyjdź. Nie mam nic przeciwko temu, będzie tak, jak zechcesz. Przyjdź. Albo udaj się na grób. Wiesz przecież, który: Bálint Kolozsváry, mydlarz, żył lat 57. To najpewniejsze miejsce. W każdym razie zostawię dzisiaj książkę. Dwie linijki zaznaczyłem paznokciem. Lalu, droga Lalu. Nie wiesz, jak bardzo jestem nieszczęśliwy. Już wysyłam, bo jest za kwadrans.

W poprzek, na brzegu:

Natychmiast podrzyj.

List przeczytałem jednym tchem, zupa wystygła. W tej chwili zdałem sobie sprawę, że to jest pierwszy list miłosny, jaki przeczytałem w całym moim życiu. Pismo jest takie jak on sam. Antypatyczne. Niezdecydowane, niepewne. Włożyłem list do kieszeni i zabrałem się do jedzenia. Nie byłbym szczerzy, gdybym powiedział, że ów list pozostawił mnie obojętnym. Odrobinę był obrzydliwy. Nie mogę też powiedzieć, że mnie to cieszy. To, że przeczytałem. Może byłoby mądrzej, gdybym nie przeczytał. Wyrazy dotyczące mojej osoby specjalnie mnie nie obeszły. Mniej mnie zaskoczyły, niż sądziłem. „Zdzi-

czały stary osioł” raczej mnie zdeprimował, niż oburzył. Jest w tym coś z prawdy, pomyślałem.

Tym, co mnie zaniepokoiło, był ton tego listu. Ciemny ton. I kilka ciemnych punktów w tekście. Nie mogę poprzestać na tym, że jest to uczniowska miłość. Możliwe, że tutaj jest coś innego. Coś innego i coś więcej. Ton listu pozwala wnioskować, że między nimi jest coś innego. „Będzie to, co przedtem...” — co było przedtem? To jeden z ciemnych punktów. Nie zaniechałem pomyśleć i o tym, że poniekąd jestem odpowiedzialny przed jej ojcem, Csereyem. Może powinienem przekonać go, żeby odprawił ko-repetytora. Chociaż z tym jeszcze trochę poczekam.

Przy stole nie pozostałem sam. Po obiedzie wypłem kawę i wbrew zwyczajowi kieliszek orzechówki. W głowie czułem jakiś ciężki ucisk. Zapaliłem cygaro, bo nie miałem przy sobie fajki. Dowód spoczywał w kieszeni, co mnie raczej rozstroiło, niż uspokoiło. Przemyślałem list i nie znalazłem go dość jasnym. Moim zdaniem są w nim dwie rzeczy ciemne. Jedna: że ten list, że całe to odkrycie, to, co już dawno przeczuwałem, a czego ów list jest tylko namacalnym dowodem, nie może być bezpośrednią przyczyną niechęci, tej tak bardzo silnej, zdecydowanej i, jeśli mam być szczerzy, muszę przyznać: graniczącej z nienawiścią niechęci, jaką od pewnego czasu żywię dla Madára. Ten chłopak w niczym mi nie zawinił. Raz był nietaktowny, kilka razy niesympatyczny, to wszystko. Ale tutaj, oko w oko z tym zeszytem, muszę wyznaczyć, że prawie go nienawidzę. Chciałbym mu zaszkodzić. Dlaczego?

To uczucie nie jest mnie godne. Powinienem je

zwalczyć. Drugi ciemny punkt: ton listu. To nie był jakiś uczniowski list; styl zdradza coś więcej. Ton tego listu jest namiętny. Sądzę, że ten ton, to jest coś więcej niż uczniowska miłość. Chłopak skarży się, żąda. Co jest między nimi? Coś poważnego? To jest to, czego powinienem się dowiedzieć. Ale tego właśnie nie mogę dowiedzieć się inaczej niż od nich samych. Od tego chłopaka i od tej dziewczyny.

Trzecie pytanie, które kieruję do siebie: co ja mam z tym wspólnego? Nie jako wychowawca klasy, ale jako ja. Co mi do tego? Myślę, że nic. Chłopak ma osiemnaście lat, dziewczyna skończyła siedemnaście. Już nie są dziećmi. To młodzież. Za dwa miesiące złożą egzamin dojrzałości i pójdą w świat. Co mi do tego? Madár napisze jeszcze wiele takich listów, Cserey otrzyma jeszcze wiele takich listów.

Takie listy miłosne nie są czymś nadzwyczajnym.

Kelner już sprzątał, kiedy wyszedłem z restauracji. Spacerowałem dwie długie godziny. W tym czasie Madár z pewnością uświadomił Cserey, że list znajduje się w moich rękach. Co może odczuwać Cserey? Czy bardzo się przejmuje? Muszę wyjaśnić rolę Cserey. Możliwe, że chłopak się jej narzuca. Sądzę, że tak. Coś ich poróżniło. Chłopak za coś przeprosza. Możliwe, że rola dziewczyny w tym przypadku jest całkiem niewinna. Z drugiej strony, bywa u niego, u chłopaka, w jego pokoju, co wyraźnie mówi ten list. Bardzo młoda dziewczyna i równie młody chłopak razem w jednym pokoju... Wiele różnych rzeczy może się tam zdarzyć. Chłopak pisze: „Bądźcie tak, jak zechcesz”. Pytanie, czego chce dziewczyna?

A więc Madár wie, że „poluję gdzie indziej”. Wy-

gląda na to, że polowałem w nienajgorszym miejscu. Po południu wspiałem się na Kalwarię i poszukałem grobu owego Bálinta Kolozsváryego, o którym jest wzmianka w liście. Grób leży dość wysoko, w bocznej alejce, na prawym zboczu góry. Znam tę rodzinę ze słyszenia, wielkiej zacności rodzina. Patrycjusze. Piękny grób, płyta z marmuru, z której lata zmyły złote litery i rozłamały na dwie części jońską rzeźbę zwieńczoną wieńcem z marmuru. Bálint Kolozsváry, żył 57 lat. Grób niemal całkowicie przysłania *taxus baccata*¹. Na prawo od grobu, za krzewami odkryłem ławeczkę. Ławeczka jest tak kusząca, że usiadłem. Prawdopodobnie oni też tutaj lubią przesiadywać. Krzewy zasłaniają tego, który siedzi na ławce. Frywolny koncept. Frywolni i dziwni są ci młodzi ludzie. Chodzą na cmentarz. Owszem widok z ławeczki jest przepiękny. Pomiędzy dwiema topolami rozpościera się całe miasto. Wszystkie cztery wieże katedry, bardzo wiekowe miejskie mury. Przesiedziałem tam dosyć długo. Patrzyłem na miasto i myślałem sobie, że to, co robię, jest śmieszne. Postąpiłbym najroztropniej, gdybym podał ten list. I machnął ręką na wszystko. Madárowi wystawię ocenę celującą. Pannie Cserey dam stopień dobry. I pozwolę im odejść. Nie przyjmę do wiadomości istnienia listu. Machnę ręką na wszystko. *Iuventus ventus*².

Ale teraz, gdy zszedłem z Kalwarii, nie czuję w ręce gotowości do tego pokojowego gestu. Nie prze-

¹ *Taxus baccata* (łac.) — cis pospolity.

² *Iuventus ventus* (łac.) — młodość jest jak wiatr.

mawia do mnie nastrój *iuventus ventus*. Wszystko odczuwam inaczej.

Czuję, że chciałbym znaleźć sposób, jakieś rozwiązanie, które oddzieli Madára od tej dziewczyny.

Muszę się dowiedzieć, co jest między nimi. Jak daleko zaszli? Oto, co czuję.

Prześlę się z tym.

29 kwietnia

Przespałem się z tym. List jest w moim notesie. Dzisiaj jest środa, nie mam lekcji. Do jutra muszę podjąć decyzję. Dziś ponownie przeczytałem list. Nie rozumiem również, dlaczego nazywa ją Lalą. Dziewczyna ma na imię Margit.

30 kwietnia

Miałem wykład i nie uczyniłem żadnej wzmianki o liście. Czuję, że to jest okrucieństwo. Madár był szary, oczy ma podkrążone. Z pewnością nie spał dwie noce. Z powodu „starego osła” i licznych „Morsów”, dlatego, że skompromitował dziewczynę.

Nie spojrziałem na nich ani razu.

Odpytywałem przez całą godzinę. Pod koniec lekcji nieoczekiwanie wywołałem Cserey. Tak jakoś wyszło, sam nie wiem, wcale nie miałem takiego zamiaru. Być może klasa orientuje się, że jestem w posiadaniu listu, i pewnie wszyscy myśleli, że teraz napomknę o nim. Frideczky, Puliszka i Babuják pozielenieli ze strachu. Cserey nie śmiała spojrzeć mi prosto w oczy. Gdy cierpliwie ją odpytywałem, stop-

niowo wracała do siebie. Może łudzi się, że nie znalazłem listu? Odpytywałem ją powoli i cierpliwie.

Gdy odpowiadała, przyjrzałem się jej uważnie.

Jeszcze nigdy nie przyjrzałem się jej tak gruntownie. Owszem, w kościele podczas pasterki, ale tam panował półmrok. Teraz nareszcie dobrze ją obejrzałem. Nie rozumiem Madára. Ta dziewczyna nie jest nawet ładna.

Sądzę, że z punktu widzenia kobiecej urody Zakár i Lángos są o wiele ładniejsze. Lángos można by nawet nazwać piękną z tymi jej rudymi włosami, mlecznobiałą karnacją i zdecydowanie rozwiniętymi kształtami. W dodatku, jak na uczennicę, ubiera się dość swobodnie.

Jest o wiele ładniejsza od Cserey. Ta Cserey jest średniego wzrostu, szczupła i wysmukła. Nie widziałem jej goleni, ponieważ przesłania je ławka, ale od bioder wzwyż, to, z punktu widzenia kobiecej urody, Lángos ma więcej do pokazania, Cserey w górnej części ciała jest nieomal chłopięca. Ma smagłą cerę, ręce, a osobliwie palce, niezmiernie długie; zauważyłem to, gdy trzymała w dłoniach książkę.

W samej twarzy nie znajduję nic szczególnego. A przyglądałem się jej dość uważnie. Ma wąską twarzyczkę, włosy musiała zeszelej wiosny ściąć na krótko, bo, jak słyszałem, chorowała. Są czarne jak sadza. Usta raczej duże, natomiast same wargi wąskie. Ma zdrowe zęby.

To, co jest w niej bezwarunkowo piękne, to oczy. Niebieskoszare; dość duże gałki oczne. Brwi cienkie i długie, biegną w dół ku skroniom. Nic więcej nie rzuciło mi się w oczy.

Możliwe, że krótkie włosy powodują, iż robi takie chłopiące wrażenie. Jednakowoż to wrażenie chłopięcości nie jest niekorzystne, chociaż Lángos jest o wiele bardziej kobieca. Czoło ma Cserey dosyć wysokie, czarne włosy zaczesuje do tyłu.

Kazałem jej usiąść, nie czyniąc żadnej uwagi.

Kiedy dotarło do niej, że skończyłem i nie mam żadnych uwag, po raz pierwszy podniosła na mnie wzrok. Spojrzała na mnie nieśmiało i z nadzieją, nawet odrobinę się uśmiechnęła. Odniosłem wrażenie, że był to uśmiech wdzięczności.

List, na wszelki wypadek, noszę przy sobie.

Madára nie zaszczyliłem ani jednym spojrzeniem.

3 maja

Dzisiaj rano przechodziłem przed kaplicą Najświętszej Marii Panny. W kaplicy odprawiano mszę, śpiewano. Od Bożego Narodzenia nie byłem w kościele. Przystanąłem na chwilę, słuchałem śpiewu, po czym wszedłem do środka. Kaplica była pełna wiosennych kwiatów. Stałem przez dziesięć minut wśród ludzi. W tych majowych nabożeństwach wy czuwa się jakąś aurę przyjaźni.

5 maja

Obserwuję Cserey. Dzisiaj zauważyłem, że na serdecznym palcu prawej ręki nosi cienki złoty pierścionek z czerwonym kamykiem. Pierścionek jest dość tani i niegustowny.

6 maja

Mészáros nie uczynił żadnej próby zmierzającej do oddania mi zaciągniętego długu. Kiedy się spotykamy, zachowuje się tak, jakby między nami nigdy nie było mowy o pieniądzach.

Dzisiaj byłem bliski tego, aby w jakiejś formie przypomnieć mu o długu. Raptem zupełnie nieoczekiwanie, z jakąś wielką, niezachwianą pewnością i nie mniejszym zdumieniem pomyślałem: a po co? A na co mi pieniądze? Co mam z nimi zrobić?

7 maja

Czuję się nadzwyczajnie zmęczony. Sprawa Madára toczy się lepiej, niż myślałem. Muszę więcej zajmować się nim w myślach, niż mam na to ochotę. Wstyd mi to napisać, ale jest, jak jest: nieomal codziennie odczytuję ten list. Mniej więcej co dzień od tygodnia. Myślę, że gdyby mnie poproszono, potrafiłbym go wyrecytować z pamięci niczym zawodowy deklamator. Im głębiej się w nim rozczytuję, tym bardziej dochodzę do przekonania, że Cserey jest niewinna. Ze strony dziewczyny jest to raczej przyjaźń, koleżeństwo.

Umacnia mnie w tym przypuszczeniu jej indywidualność, jej wygląd zewnętrzny. Lángos, tak, w przypadku Lángos prędeż bym w coś takiego uwierzył. Bo jak słyszę, Lángos spaceruje w towarzystwie studentów. Ale Cserey? W co mam uwierzyć w przypadku Cserey? Tylko to jedno zdanie w liście... Ze odwiedza Madára w jego mieszkaniu!

Nie mogę się na nic zdecydować. Najlepiej było-

by, gdybym odłożył na bok całą tę sprawę. Ale rzecz właśnie w tym, że nie mogę ze spokojnym sumieniem odłożyć na bok tej sprawy.

Madár, jak widzę, jest całkowicie zdezorientowany. Groza pierwszych dni już minęła. Nie rozumiem mojego milczenia. Nie zajmuję się nim, ale nie ma w tym nic zaskakującego. Unika mojego wzroku. Teraz to on unika mojego wzroku.

Kiedy dzisiaj w południe wychodziłem z naszego gimnazjum, jakaś chłopka sprzedawała fiołki. Z największą konsternacją odnotowałem w sobie ów starczy symptom: byłem bliski kupienia bukiecika fiołków! W porę się opamiętałem. Chciałbym zobaczyć minę mojej gosposi, gdy w południe wróciłbym z bukiecikiem fiołków w ręce.

Obecnie mało czasu spędzam w domu. Nudzę się, kiedy jestem sam. Z kasyna wracam przeważnie około dziesiątej, kiedy mam już przeczytane wszystkie gazety. Niemal codziennie kładę się z bólem głowy.

9 maja

Dzisiaj zrobiłem coś zupełnie zbytecznego i lekomyślnego. Szedłem ulicą Główną, a mój krawiec, który przed dwoma laty uszył mi granatowy garnitur, stał w drzwiach swojego zakładu, ale już na zewnątrz.

— Piękna pogoda, panie profesorze — rzekł i zatrzymał mnie. — Wiosenny garnitur! Co pan profesor myśli o wiosennym garniturze? — zapytał. — Dawno już nie miałem szczęścia... — dodał.

To prawda, że dawno uszyłem u niego ów grana-

towy garnitur. Ale przecież mam jeszcze ubranie na wiosenną porę, w doskonałym stanie, brązowe. Trzyletnie, materiał nigdzie się nie świeci. Nie miałem zamiaru uszyć sobie nowego garnituru w tym roku.

— Mamy akurat szary materiał... zsolnańska wienka... — powiedział i wciągnął mnie do zakładu.

Rozwinął przede mną sztukę materiału. Gustowny materiał, dość dobra jakość. Jasnoszary. Odrobinę zbyt wiosenny. Nigdy nie noszę tak jasnych garniturów, nawet latem. Krawiec zrobił mi wykład, że materiał jest znakomity, wcale nie taki jasny i że coś takiego jest mi potrzebne.

— Pan profesor doprawdy ubiera się zbyt ciemno — dodał. — A to dlaczego? Wielu panów w wieku pana profesora nosi latem spodnie tenisowe.

To nieprawda, ale pozwoliłem mu mówić. Zamówiłem garnitur. Sto koron. Niedrogo, jako że materiał zsolnański. Teraz, naturalnie, żałuję, że uległem mu. Do niczego nie jest mi potrzebny jasnoszary garnitur.

10 maja

Skoro już wydaję pieniądze w sposób tak nieodpowiedzialny, poszedłem dalej i dzisiaj kupiłem parę nowych pantofli. Ci kupcy naprawdę wciągają człowieka do środka. Powiadają, że interesy idą kiepsko. Dzisiaj przechodziłem przed sklepem z modą męską i zatrzymałem się, żeby popatrzeć na buty w oknie wystawowym. Bez wątpienia, buty są mi o wiele bardziej potrzebne niż garnitur. Te buty, w których chodzę, są już dosyć znoszone. Ja nie przy-

wiążuję specjalnej wagi do ubioru, ale pomyślałem, że nowy garnitur i znoszone buty niezbyt będą do siebie pasować. Dlatego wszedłem do środka i poprosiłem, żeby mi pokazano buty. To, co zdarzyło się potem, zwykle zdarza się w sklepach z męską modą. Najprzód sprzedano mi żółte półbuty. Dość wygodne obuwie, *boxcalf*¹. Następnie do pary półbutów sprzedano mi pół tuzina skarpet. Były mi potrzebne kołnierzyki, o co też poprosiłem. Natomiast, co było mi niepotrzebne, to kapelusz. Wsadzili mi na głowę szary kapelusz z szerokim rondem, z jasnoszarą wstążką. I granatowy krawat w białe kropki, który najmniej ze wszystkiego był mi potrzebny.

Pięćdziesiąt osiem koron.

Nie żałuję, ale złości mnie, że człowiek choć starszy, wcale nie jest mądrzejszy. Wszystkie te fatalaszki są mi zupełnie zbyteczne, z wyjątkiem butów.

11 maja

Chciałbym wiedzieć, czy jeszcze spotkam na Kalwarii Madára i Cserey? Dzisiaj po południu byłem bliski tego, aby pójść tam. Potem jednak pomyślałem, co by się stało, gdyby mój domysł okazał się słuszny i zaskoczyłbym ich przy grobie mydlarza. Wyobraziłem sobie tę scenę i zdecydowałem, że mądrzej będzie nie podążać za nimi.

Nie ze względu na nich, lecz na mnie samego. Bardzo niemile dotknęłoby mnie, gdybym tam musiał zobaczyć Cserey w towarzystwie Madára. Na samą

¹ *Boxcalf* (ang.) — skóra chromowa.

myśl ogarnęło mnie bardzo przykre uczucie. Niemal dostałem torsji.

Przecież ta Cserey jest jeszcze dziewczynką. W czasie ostatniej lekcji spojrzałem na nią parokrotnie z większą uwagą. Pod względem fizycznym jest o wiele mniej rozwinięta niż jej koleżanki. Nastolatka, nieukształtowana. Jeszcze ani to kobieta, ani panna. Jeżeli Madár zrobi coś temu dziecku, znać to będzie, że jest łajdakiem.

Dzisiejszego wieczora długo myślałem o nich. Madár jest zakochany w tej dziewczynie, to jego sprawa. Gdyby oboje byli młodszy o dwa, trzy lata, wówczas życzliwym okiem patrzyłbym na szkolną parę. Pewnie, że wtedy również... nie podoba mi się jego wygląd zewnętrzny. Jego nos, jego usta, przyszczate czoło. Podejrzewam, że to jest to, co mnie przyprowadza do mdłości. Cserey wprawdzie nie jest ładna, jednakowoż to młode dziewczę o przyjemnej powierzchowności. Mogłaby spotkać lepszego kawalera niż ten Madár.

Myślałem o tym, że nie są już takimi dziećmi, aby im pozwolić bawić się, w co zechcą. Te dwa ciemne zdania w liście dają do myślenia. Jakieś silne, fizyczne obrzydzenie ogarnia mnie, gdy sobie pomyślę, że Madár jest tym człowiekiem, który wyprawia coś z tą dziewczyną.

Powiedzmy, że się całują. To napawa mnie głębokim wstrętem. Niemoralne wyobrażenie, ale dzisiejszego wieczora wyobraziłem sobie szerokie, popękane wargi Madára całujące pannę Cserey. Na wskroś przeniknęło mnie obrzydzenie.

Możliwe, że tylko we mnie budzi taki wstręt? W

końcu, to przecież młody chłopak. W każdym razie z owego przypadku wynika dla mnie całkiem wyraźnie, że miałem rację w tych wszystkich zastrzeżeniach wobec koedukacji, których zresztą nie ukrywałem. Teraz widzę w praktyce, jak dalece miałem rację.

Muszę jedną sprawę postawić jasno. Pomiędzy mną i Madárem jest dwuznaczna sytuacja. On wie, że jestem w posiadaniu jego listu. Najchętniej pozostawiłbym go z jego bólem. Ale żal mi Cserey. Ten głupi list dręczy mnie ze względu na Cserey. Dręczy mnie, że ona może pomyśleć, iż wiem coś o niej i że planuję coś przeciw niej. Jakkolwiek jest moją wychowanką, to jednak jest też dziewczyną. Chciałbym ją w jakiś sposób uspokoić. Jestem to sobie winien. Niech Madár myśli sobie, co chce.

13 maja

Przysłano mi szary garnitur. Nie mam ochoty włożyć go na siebie. Powiesiłem toto w szafie, obok nowych fatałaszek, obok kapelusza i półbutów. Krój ma trochę inny niż moje poprzednie ubrania. Tamte były dwurzędowe. Ten jest jednorzędowy. Nie jest też tak luźny jak tamte. Krawiec twierdzi, że to jest właściwy krój dla jasnego garnituru.

Nie leży na mnie źle. Podczas przymiarki widziałem, że nie leży źle. Trzeba się przyzwyczaić.

Jutro rozdają wypracowania klasowe. List złożyłem tak, jak go znalazłem. Przyszło mi na myśl pewne rozwiązanie. Jutro zrobię klasówkę. Prac nie oceniłem. List włożyłem do zeszytu Babujáka, pomiędzy okładkę a bibułę.

14 maja

Babuják odnalazł list. Dopóki rozdawałem wypracowania, nie ośmielił się otworzyć zeszytu.

— Tym razem nie wystawiałem ocen — oznajmiłem, zanim podałem temat. — Dzisiejsza klasówka jest kontynuacją poprzedniej. Obie oceny wystawię równocześnie.

Byłem pewien, że pod koniec lekcji list znajdzie się w rękach Cseresy.

Bardzo się cieszę z takiego załatwienia sprawy. Madár może sobie myśleć, co chce. Ale rad jestem, że Cseresy nie czuje skrępowania wobec mnie. Uczennica jest bardzo wrażliwa, to już widzę. A ja nie potrafię energicznie postępować z uczennicami.

Nie znam ich dostatecznie, nie wiem, jak dalece są uczuciowe.

16 maja

Są to odmiennie istoty. Może się myłę, ale mam wrażenie, że Cseresy od dwóch dni wygląda zdecydowanie lepiej. W ostatnim czasie jakby stała się bledsza. A stale była bardzo poważna. Podczas dzisiejszej lekcji podśmiewała się razem z Neumann. Może śmiały się ze mnie. A to niemal sprawia mi przyjemność.

Pogoda jest promienna. Dzisiaj rano zastanawiałem się, czy włożyć nowy garnitur? Obawiam się, że może mnie zbyt odmłodzić. W końcu nie włożyłem go.

18 maja

Te wieczory teraz pod koniec wiosny są tak ciepłe, że człowiek nie może się położyć.

Jest tak ciepło, że w kasynie ten i ów gra w taroka bez marynarki. Wczoraj ktoś kazał sprowadzić z „Orła” Cygana, no i zasiedziałem się tam do późna. Wielu śpiewało. Mnie również naszła ochota śpiewać, ponieważ piłem wino. Wytrzymałem do północy. Po północy zauważyłem, że siedzę tam sobie z innymi i śpiewam.

Co zdarza mi się bardzo rzadko.

Bo do tego, to znaczy i do Cygana, i do śpiewania, konieczne jest coś, czego we mnie nie ma. Już wiele razy było tak, że panowie w kasynie opowiadali kawały, następnie zaczęli pić, a wreszcie kazali sprowadzić Cygana. Parokrotnie próbowałem zostać z nimi. Wykrzykiwałem jak oni, piłem, śpiewałem. Ale zawsze miałem uczucie, że nie robię tego należycie. Nie robię tego tak, jak pozostali. Czegoś mi brakuje. Bawię się nie całkiem szczerze. Nawet wtedy, kiedy dopisuje mi humor. To nie dla mnie. To nie jest moje towarzystwo. Potrzebuję czegoś, abym mógł zachowywać się jak owi panowie z województwa, pewnie właśnie tego, czego nie ma we mnie.

Zawsze prześladuje mnie takie uczucie, że kiedy po zabawie opuszczam salę, towarzystwo rzuca sobie porozumiewawcze spojrzenia.

Po czym wszyscy oddychają z ulgą.

Bo też nie umiem z taką łatwością jak oni śpiewać tych pięknych piosenek. Chociaż głos mam nienajgorszy. Nade wszystko zaś nie umiem rozmawiać z Cyganami tak, jak należy. Jeszcze nigdy nie krzyk-

nałem „Sza!” Albo: „Milcz!”. Ja tego po prostu nie cierpię. Nie potrafię zwracać się do Cygana per ty. Dzisiejszego wieczora popełniłem taki właśnie błąd. Wszyscy do niego per ty, a ja, kiedy już byłem dobrze podchmielony, zwróciłem się doń tak:

— Niech pan będzie łaskaw zagrać...

I wtedy to zrozumiałem. Ale już było za późno. Sekretarz gminny zaczął się śmiać całą gębą. Nic nie rzekł, po prostu śmiał się całą gębą. Czułem, że ma rację. Pomyślałem, że najlepiej zrobię, jeśli natychmiast wrócę do domu. Ale wtedy byłem już pod dobrą datą. Zostałem.

Nikt się mną nie przejmował.

Dlatego bawiłem się dość dobrze.

Około północy zjawił się Mészáros. Nie wiadomo skąd przyszedł. Wczoraj znów był do mnie bardzo przyjaźnie usposobiony. Od miesiący nie był tak przyjazny. Raptem usiadł obok mnie. Przyniósł mi lampkę wina. Nieoczekiwanie przywołał Cygana. I powiedział Cyganowi coś takiego:

— Posłuchaj mnie teraz uważnie, Mózika! Czy wiesz, kim jest ten pan? — Pokazał na mnie. — To jest wielce szanowny pan „Mors”. Jeśli pan „Mors” przypadkiem bawi się...

Wszyscy się roześmieli. Ja także. Nie można mieć pretensji do Mészárosa. Mówiąc to był naprawdę miły. Każdy w mieście wie, że mam przyzwisko „Mors”. Mészáros przez cały wieczór pokrzykiwał: „Ach, moja ty Morświnko! Cóż to za piękna noc, nieprawdaż?!”.

Ogólnie biorąc bawiłem się dość dobrze.

Rzeczywiście, noc była bardzo ciepła. Wszystkie

okna w sali były otwarte. Czułem, że to wszystko jakoś nie pasuje do mnie, ale muzyka i wino sprawiały mi przyjemność. Wygląda na to, że tego właśnie potrzebowałem. W takie noce pod koniec wiosny naprawdę trudno jest spokojnie spać.

Było już dobrze po północy, gdy wróciłem do domu. Nim wyszedłem z sali, Mészáros zażądał ode mnie pięćdziesięciu koron.

A o tysiącu dwustu nie wspomniał ani słowem.

Wracałem do domu przy pełni księżyca. Korso było całkiem puste. Dwa razy przeszedłem w tę i z powrotem, aby przewietrzyć sobie głowę. Drzewa były grubo i gęsto pokryte liśćmi, jak w pełni lata. To była bardzo piękna noc.

Dawno już nie spacerowałem nocą. Przyznaję, że myślałem o dziwnych głupstwach. Musiałem być pod bardzo dobrą datą.

20 maja

Dzisiejszego popołudnia szedłem ulicą Zrínyiiego, koło kaplicy Marii Panny, gdzie odprawiano nabożeństwo majowe. Przez drzwi zobaczyłem, że ołtarz znowu tonął w kwiatach. Te majowe nabożeństwa są bardzo piękne. Szkoda, że nie jestem religijny. Wielką ulgę może odczuwać ktoś, kto uczestniczy w tak pięknym nabożeństwie.

Postanowiłem, że przez kilka najbliższych dni będę chodził na kolację do „Orla”. Z powodu Cygana. Całkiem dobry Cygan i chętnie znów go posłucham.

Chciałbym w jakiejś formie zwrócić uwagę moich uczennic na piękny zwyczaj majowych nabo-

żeństw. Nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy? W każdym razie Cserey postąpiłaby roztropnie, gdyby zamiast popołudniami wysiadywać z Madárem przy grobie mydlarza, chodziła na te piękne majowe nabożeństwa.

Obecnie nie widuję ich razem. Myślę, że to zły znak.

Gdybym jednak zwrócił się do niej z podobnym apelem, niechybnie wystawiłbym się na pośmiewisko. Zresztą, nie rozumiem, dlaczego przyszło mi to do głowy? W ostatnim czasie miewam jakieś mętne pomysły.

21 maja

Możliwe, że jestem w błędzie, ale mam wrażenie, że Cserey jest o wiele weselsza, odkąd tylko nabrała pewności, że nie przeczytałam listu. Natomiast zupełnie mnie nie obchodzi, czy Madár jest wesoły czy smutny. Podczas lekcji siedzi skulony. I nie wiem, czy to z powodu wiosny, w każdym razie jest coraz bardziej przyszczaty.

Natomiast ta sama pogoda zdecydowanie dobrze służy Cserey. Są teraz takie dni, kiedy jest nieomal ładna. Nie żeby piękna, daleko jej do tego. Ale, niekiedy, przy odrobinie życzliwości można ją nazwać ładną dziewczyną.

23 maja

Chciałbym tylko to jedno wiedzieć: dlaczego on w tym liście nazywa ją Lalą? Co to za jakieś dziwaczne imię? Czy posługują się nim wyłącznie mię-

dzy sobą? Ale w ogóle, co to za imię? Lala? Kto ją tak nazwał, Madár, czy też jest to imię domowe? W ostateczności to imię nie jest takie złe. Lala nic nie znaczy, ot, głupie, pieszczotliwe imię. Z grubsza jednak pasuje do niej.

Lala. Dzisiaj niewiele brakowało, a w czasie lekcji rzekłbym do niej — Siedź prosto, Lalu. — Bo siedzi krzywo, barki nachylając ku przodowi. Na szczęście w porę ugryzłem się w język. Nie rzekłem nic.

26 maja

Dzisiaj po lekcji szła ulicą przede mną. Nosi żółte pantofle z klamerkami i szare pończochy.

27 maja

Obserwuję, że od pewnego czasu Cserey okazuje mi więcej zaufania. Uważnie słucha, gdy coś wykładam. Czas nagli, jednakże kilka godzin staram się wykorzystać na to, aby przekazać wychowankom garść ciekawszych i przydatnych informacji o archeologii starożytnego Rzymu. Na przykład dzisiaj opowiadałem o rzymskich łaźniach i systemie ogrzewania parą. Zauważyłem, że to bardzo zainteresowało całą klasę. Możliwe, że wykładam atrakcyjnie. Nie wiem. W każdym razie Cserey słuchała z napiętą uwagą. Dwakroć coś sobie zanotowała. I dwukrotnie się uśmiechnęła. Cieszy mnie, gdy widzę, że ktoś z moich wychowanków wykazuje żywe zainteresowanie tym, co wykładam.

Nie lubię, gdy się do mnie uśmiecha. Bo wtedy tracę koncept.

28 maja

Nieprzerwanie muszę myśleć o tym samym. O tym samym. Czy Madár całuje się z tą Cserey? Czy ją trzyma w objęciach? Bo jeśli tak, to czy nie powinienem interweniować? W jakiś sposób ostrzec dziewczynę? Powiedzieć jej, że Madár nie jest kimś odpowiednim dla niej? Bardzo możliwe, że jest chory. Nie wygląda zbyt zdrowo.

Wczoraj przed wykładem rozmyślałem, dlaczego ta myśl, że Madár pozostaje w jakimś fizycznym kontakcie z Cserey jest dla mnie tak krępująca, tak nieznośna, dlaczego jest nieznośna w tak wielkim stopniu. Poprzez „fizyczny kontakt” nie rozumiem nic specjalnie złego. Wystarczy, że się z nim całuje. Wystarczy, że przypadkiem dotknie jego ręki, a już ogarnia mnie obrzydzenie do Madára. Dlaczego Madár? Dlaczego właśnie Madár? Ten cherlawy szczeniak? Gdzie ta Cserey ma oczy? Pomyślałem, że na przykład Puliszka jest o wiele ładniejszy. Wysoki blondyn i w całej postaci jest coś zadziwiającego.

Próbuję sobie wyobrazić, że nie ma Madára. Nie zyczę mu niczego złego, raczej wyobrażam sobie, że nie żyje, ponieważ się nie urodził. Wobec tego wziąłem pod rozwagę całą klasę i zadałem sobie pytanie, kogo, spośród uczniów, wybrałaby Cserey, gdyby nie istniał Madár? Uznałem, że byłby to Puliszka. Puliszka jest naprawdę sympatyczny. Nie ma pryszczy.

Zastanawiam się (bo to ciekawe), czy Cserey lubi Puliszkę, i próbuję wczuć się w następującą sytuację: jaki, w danym przypadku, byłby mój stosunek do Puliszki? A robię to, aby poznać przyczynę antypatii, jaką żywię do Madára. Muszę stwierdzić, że to ćwiczenie powiodło się połowicznie. Puliszka też nie zyskał mojej akceptacji. Na Puliszkę również nie patrzyłbym życzliwym okiem, gdybym wiedział o jego związku z Cserey.

Nieprzerwanie muszę o tym myśleć. To jest niczym mania. Przenika do głębi. Czy Madár całuje tę Cserey? Chciałbym mieć pewność. Gdybym był pewien, że ją całuje, być może nie zaprzętałbym sobie nią głowy. Ale jakoś nie spodziewam się tego po Cserey. Z drugiej strony, pomiędzy zakochanymi jest tak, że wszystko zaczyna się od pocałunku. Barbarzyński zwyczaj! Bo przecież istnieją ludy, które nie znają pocałunku. Poza tym sądzę, że jest to zwyczaj niezdrowy, aczkolwiek, jak powiadają, stary jak sama ludzkość. Madár też nie wydaje mi się szczególnie czysty. Obrzydliwiec.

Przed zaśnięciem myślałem o tym, że Cserey zmierza do pokoju Madára. Przechodzi przez drzwi, witają się. Co robią? Więcej niż prawdopodobne, że od razu się całują. Próbowałem logicznie wyobrazić sobie tę scenę. Możliwe, że całuje dziewczynę nie w usta, lecz jedynie w policzek. Raczej tak to jest... Mam nadzieję. Ale co potem? Siadają obok siebie? Na czym? W pokoju Madára nie ma otomany. Może są tam dwa krzesła, nie pamiętam dokładnie. Na oknie jest zasłona, to pamiętam. Nie ma tam obrazów, ale na oknie jest zasłona. Z pewnością zawiesił

ją Madár. Niewykluczone, że siadają na łóżku. Czy siadłszy tam, całują się nadal? Zapewne obejmuje dziewczynę. Ta Cserey jest taka szczuplutka. Kiedy myślę o długich i spoconych rękach Madára, jak tymi rękami dotyka dziewczyny, robi mi się słabo z obrzydzenia. Nie mogłem zasnąć.

Gdybym wiedział to na pewno, może bym się tym nie trapił. Ale tego mogę dowiedzieć się wyłącznie od Cserey. Albo od Madára. Niepodobieństwem jest zapytać o coś takiego. Daremnie zapewniam siebie, że jest to moim obowiązkiem. Bo nie jest.

Moim obowiązkiem w całym tym przypadku jest tylko to jedno. Być sprawiedliwym.

29 maja

Dzisiaj pomyślałem sobie, że za miesiąc otrzymam maturę. W związku z tym pragnę coś zanotować. Przyszło mi to na myśl podczas lekcji. Pomyślałem mianowicie, że jeszcze jeden miesiąc i odejdą. Wyfruną wszyscy, trzydzieścioro czworo. W przyszłym roku już nie będę wykładał. Nad nikim nie będę sprawował władzy. A ci, co opuszczają nasze miasto, wyjadą do stolicy lub gdzie indziej, gdzie jest uniwersytet. Kiedy dotarło to do mnie, przestraszyłem się. Ręka z ołówkiem w palcach zamarła w powietrzu. Ten przestрах był czymś nowym, silnym, bolesnym. Czyżby aż tak głęboko wrosł mi w serce? Nie sądzę. Jeszcze nigdy nie czułem tego w związku z moimi wychowankami. Przychodzili, odchodzili. Kiedy jednak pomyślałem, że ci za cztery tygodnie opuszczają nasze miasto — a jeśli tu pozosta-

ną, to i tak będą już poza moją władzą — a ja nie będę mógł ich obserwować, zapolować na nich, uważać na nich, ogarnęła mnie taka słabość, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyłem.

Jeszcze tylko cztery tygodnie. Nie do wiary.

Zdumiewa mnie, że tak bardzo przywiązałem się do klasy. Trudno mi sobie wyobrazić, że nigdy więcej nie będę miał swojej klasy. Przykro mi, że już nigdy nie zobaczę niektórych moich wychowanków. Na przykład Puliszki. Niechętnie wyobrażam sobie, że już nie będę widywał Cserey. Ma miłą twarz. W ostatnim czasie zwykła patrzeć na mnie z ufnością i uwagą. Jej twarz należy do tych niewielu, na które człowiek patrzy z przyjemnością. Rzadko trafiają się takie twarze. Chętnie wyprostowałbym jej drogę, chętnie pomógłbym, gdybym tylko na coś mógł się przydać. Ale nie bardzo wiadomo, na co mógłbym się przydać. Jej rodzice, jak wiem, mają się całkiem dobrze. Wybiera się na medycynę, chce zostać lekarzem. Dziwne są dzisiejsze dziewczęta. W moich czasach dziewczyny pozostawały w domu, w rodzinnym mieście, póki nie wyszły za mąż. Ta mała Cserey, ta Lala, jak ją nazywa pewien osobnik, wyjedzie stąd, zostanie lekarzem. Sama będzie żyła w stolicy. Jej rodzice, którzy są ludźmi pobożnymi, chyba nawet nie przeczuwają, co to oznacza. W stolicy czyha na młode dziewczę tysiąc niebezpieczeństw. Z trudem wyobrażam sobie, jak to bardzo młode dziewczę będzie żyć samo, niczym palec. Jeżeli na przykład idzie sobie ulicą, kto się za nią ujmie, gdy obcy ją zaczepią. Właścicielka mieszkania może jej robić awantury. Znam ja te panie wynaj-

mujące pokoje! Może nie zaszkodziłoby uczulić na to wszystko rodziców Cserey. Nie zaszkodziłoby wytłumaczyć im, że roztropniej byłoby przetrzymać ją kilka lat w domu. Dopóki nie nabierze sił. Bo teraz jest jeszcze bardzo słaba. Ot, słabiutki dziecię.

Ta Cserey nie robi na mnie wrażenia prawdziwej kobiety. Chodzi mi o to, że kiedy na nią patrzę, to nie nachodzi mnie nagła myśl, że oto siedzi przede mną kobieta. A tak właśnie myślę, gdy patrzę na Lángos, na Zakár, na Makkai. Z Cserey tak nie bywa. Czuję jedynie, że to jest moja miła uczennica. Nie myślę o jej twarzy, czy jest chłopięca czy dziewczęca. Pamiętam, jakie było moje zdziwienie, gdy po dzwonku na przerwę wstała i ruszyła do drzwi, aby wyjść na korytarz, a ja po raz pierwszy spostrzegłem, że ma na sobie spódniczkę. Naturalnie to było głupie, to znaczy moje zdziwienie, ale tak było. Zwykła nosić kraciatą, brązową spódniczkę. Powiedziałbym, dosyć krótką.

Ta jej sympatia zniewala. Nie oczekiwałem, że z tej strony... że pośród moich wychowanków znajdzie kogoś, kto obdarzy mnie taką sympatią. Timár miał rację. Trzeba kogoś kochać — choć może to słowo jest za mocne, wystarczy, że spotykamy kogoś, kto jest sympatyczny i raptem dni powszednie nabierają sensu. Przemija ta dręcząca, ciężka, wyczekująca czegoś pustka. Każdego ranka mam uczucie, że wstaję w dobrym nastroju, dzień ma jakiś sens, jak gdybym miał coś do załatwienia albo jakbym miał pójść dokądś z wizytą.

Cieszę się, gdy widzę Cserey. Ma drobną twarzyczkę, w której jest coś bezbronnego. Potrafi pa-

trzeć z ufnością i równocześnie ze zdziwieniem. Myślę, że jest bardzo łatwowierna. Madár nie musiał się zbyt natrudzić, aby jakimś podstępem zdobyć jej zaufanie.

Ale gdy skończy się lekcja, nie wiem, co począć z resztą dnia. I kiedy pomyślę, że za cztery tygodnie nie będę miał nic do roboty, robi mi się smutno.

W ciągu tych czterech tygodni muszę, na wszelki wypadek, dowiedzieć się czegoś. Muszę się dowiedzieć, czy się całują? Choć jest już późno. Są niezależni. Nic mi do nich. Myślałem nawet o tym, aby poufnie porozmawiać z Madárem. Żeby przemówić mu do serca. Nedorzeczny pomysł. Z pewnością odmówiłby.

30 maja

Chcę opisać pewną rzecz, która mnie zaskoczyła. Od lat mam dziwny zwyczaj, dosyć śmieszny, przed którym już nie próbuję się bronić. Trudno mi to powiedzieć. Bo to nawet nie przesąd; coś więcej. Więcej niż śmieszne; wstydlive. Zwyczaj ten polega na tym, że co wieczór, w łóżku, przed zaśnięciem palcami prawej dłoni, wskazującym i środkowym, trzy razy dotykam wezgi łóżka i zawsze przy tym coś sobie pomyślę. Na przykład pomyślę: „zdrowie”, i dotykam drewna. Albo: „awans”. Albo: „dobry sen”. Albo: „szkoda wyrządzona przez pożar”. Co mi tam akurat przyjdzie na myśl. Co mnie zajmuje, co chciałbym, żeby nastąpiło albo żeby nie nastąpiło. Czasami, bardzo rzadko, dotykam drewna również w sprawie pewnych osób. Co zdarza się nader

rzadko. Ostatnio, gdy zachorował dyrektor, przed zaśnięciem mimo woli dotknąłem wezglowia, nie abym szczególnie go lubił, po prostu współczułem mu. Wiem, że to śmieszne przyzwyczajenie. Mam ich więcej. Na przykład modlitwa jest dla mnie jakimś organem szcątkowym. W stadium zaniku. Tak naprawdę nie modliłem się od lat. Ale coś pozostało mi z dzieciństwa w tej śmiesznej, zdegenerowanej formie.

Od kilku dni, nim zasnę, stukam w drewno dwa razy. Raz myślę: „Zdrowie”. Drugi raz: „Cserey”. Czuję dla niej tyle sympatii. Stukam w jej interesie. Właściwie, to nie stukam, myśląc jednocześnie „Cserey”. Stukam trzy razy, myśląc przy tym „Lala”. Tak jest prościej i ja wiem, o co chodzi.

31 maja

W maju to miasto ma bardzo specyficzny zapach. Zwłaszcza rano. Te tygodnie w niczym nie przypominają znanych pór roku. Bo to już nie wiosna, a jeszcze nie lato. Jest ciepło.

Niewiele dzisiaj brakowało, a włożyłbym nowy szary garnitur. Wyjąłem go z szafy i raptem naszała mnie śmieszna myśl. Ta myśl wydała mi się tak śmieszna, że głośno się roześmiałem, co dawno mi się nie przytrafiło, w dodatku byłem w pokoju sam.

To było rano.

Po południu nie umiałem uwolnić się od tej myśli. To bardzo dziwne. Jakby w pokoju był ktoś obcy, kto przybył niespodziewanie z jakimś zamiarem, który mnie nie interesuje, ale on bezustannie

o tym mówi, prezentuje argumenty, przekonuje, tłumaczy. Wszystko to, naturalnie, jest jedną wielką brednią; ale muszę polemizować z nim.

Na tym schodzi mi całe popołudnie.

Teraz, wieczorem, po kolacji, tamta myśl nie wydaje mi się już tak niedorzeczna. Wieczorem każdy absurd się uprawdopodobnia. Jestem zmęczony i wyczerpany. Zdecydowanie czuję w mieście nowy, mocny zapach. Coś pomiędzy zapachem kwiatów i owoców, nie umiem wyrazić tego dokładniej. Aura jest podniecająca i męcząca. Możliwe, że spadnie deszcz.

1 czerwca

Dzisiaj rano ogoliłem się. Jest środa, nie mam zać. Miałem dość czasu. Pozbyłem się brody.

Nie mam teraz odwagi spojrzeć w lustro. Wczoraj zasypiałem w przekonaniu, że to absurd, nie pozbędę się brody. Rano, kiedy się obudziłem, od razu poczułem, że w nocy padało. Kiedy wyszedłem z domu, ziemia jeszcze była mokra i parowała. Przeszedłem się po korso w kierunku Baszty. O dziewiątej wróciłem do domu. Tego, co zrobiłem w ciągu następnej pół godziny, nie jestem w stanie pojąć. Byłem w bardzo dobrym nastroju. Stałem przed lustrem i nożyczkami ścinałem brodę. Potem odszukałem starą brzytwę, naostrzyłem ją i przystąpiłem do golenia. Wąsy też zlikwidowałem. Myślę, że musiało to być jakieś chwilowe pomieszanie zmysłów.

No i zaciąłem się nad jabłkiem Adama. Ranka mocno krwawiła. Nie mam już wprawy w goleniu

się. Sporo zarostu zostawiłem na kościach policzkowych. Nie przykładałem się do starannego golenia, ponieważ ręka nie była mi całkowicie posłuszna.

W pierwszej chwili nie zauważyłem żadnej zmiany. Żeby być szczerym, później też nie. Stałem przed lustrem, przyglądałem się własnej twarzy i nie odczuwałem niczego szczególnego. Wielka sensacja, jakiej się spodziewałem, nie nastąpiła. Może raczej poczułem pewną ulgę, coś takiego, co człowiek czuje, gdy naprawi jakiś błąd. Nie dostrzegłem w mojej twarzy nic nowego, nic obcego. Może jedynie to, że moja twarz jest prawdziwa. Bo ta druga, z zarostem, to było coś w rodzaju maski. Lata całe chodziłem w masce. Na koniec znów jestem prawdziwy. Jestem sobą.

Długo przyglądałem się własnej twarzy.

Przy kącikach ust mam dwie głębokie bruzdy. Nic nie wiedziałem o tych bruzdach. Kiedy zaczynałem zapuszczać brodę, nie było jeszcze ich śladu. Te dwie bruzdy wytworzyły się w ciągu ostatnich pięciu lat. Czułem się jak lekarz, który podczas operacji otwiera brzuch chorego i znajduje coś zupełnie innego, niż oczekiwał. Inną chorobę. Dwie bruzdy, o których nic nie wiedziałem. Głębokie i twarde.

Twarz jest chuda, jakby się zapadła. Dopiero teraz widzę, jak szczupłą mam twarz. W ciągu tych lat zupełnie zapomniałem o moim podbródku. Nie miałem już pojęcia, jak wygląda ten mój podbródek? Okazało się, że jest czworokątny. Jak szkatułka. Nie pamiętałem.

Oczy również mi się zapadły. Nie wiem, kiedy to

się stało. Nie obserwowałem siebie. Mam pod oczami dwa głębokie rowy. Wystające kości policzkowe. Chyba bardzo źle wyglądam.

Odwrociłem lusterko, następnie włożyłem je do szuflady. Ręka bezustannie wracała do podbródka, cały czas bezwiednie próbowałem obmacywać podbródek, całą twarz. Czułem się bardzo dziwnie. Po tym wszystkim pozostał jakiś wielki zawód. Nie wiem, czego właściwie się spodziewałem? Śmieszne. No więc, czego się spodziewałem? Że spod zarostu wyskoczy jasnowłosa młodzieniec? Cóż za głupota.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak źle wyglądam. Dzisiaj zauważyłem, jak bardzo posiwiałem. Mam siwe pasemka na skroniach i długie pasma we włosach. Moja gosposia, ujrawszy mnie, najpierw się zdumiała, następnie zauważyła, że z brodą było mi lepiej.

Ale to już stara kobieta, kiepski ma wzrok; jej opinia nie jest miarodajna.

Mnie natomiast jest wszystko jedno, czy lepiej mi z brodą, czy nie. Nie ciekawi mnie zdanie innych ludzi. Oczywiście, chwilami czuję się z tą moją ogoloną twarzą jak ksiądz albo jak ktoś nagi. Teraz widzę, że w każdej takiej wygolonej do skóry twarzy jest coś wymuszonego, coś niemal komediowego. Zarost czyni oblicze bardziej otwartym, bardziej naturalnym. Tak czy inaczej. Stało się.

Chociaż jesienią mógłbym znowu zapuścić brodę.

Tymczasem muszę wybrać fryzjera, który by mnie starannie ogolił. Przy ulicy Głównej jest dwóch balwierzy, jeden Sátory, drugi Venczel. Przed pięciu laty golił mnie Sátory. Potem przestałem. Venczel jest jakby ciut brudniejszy, za to ma lżejszą rękę.

Po obiedzie przebrałem się, bo było bardzo ciepło. Włożyłem ten szary garnitur. Niezły, choć może trochę przyciasny w ramionach i w pasie. Ale, owszem, niezły, niepowszedni. Modny krój. I przyjemnie nosić go, gdy jest tak ciepło jak dzisiaj, ponieważ jest lekki. Przebrałem się. Włożyłem nowe pantofle. I tę niebieską *cravatte*, którą mi wtrynili.

Kapelusz jest odrobinę za duży. Wyścieliłem go od środka papierem gazetowym. Rondo jest szerokie, nieomal włoskie. Jeszcze nigdy nie miałem takiego kapelusza. Z jasnoszarą jedwabną wstążką. Bardzo to dla mnie niezwykle. Do tej pory nosiłem kapelusze z podwiniętym rondem.

Ale w nowych fataląszkach zawsze jest coś obiecującego. W starych ubraniach człowiek nosi swoje wszystkie choroby i utrapienia. Nowy ubiór odświeża. Poszedłem do fryzjera.

Po drodze spotkały mnie dwa dziwne zdarzenia.

Pierwsze: z chwilą gdy tylko wyszedłem z bramy, troje siódmoklasistów wyszło mi na spotkanie. Przyjrzeni mi się uważnie, następnie spokojnie wymienili kilka zdań i poszli dalej. Nie poznali mnie.

Krawiec mnie poznał. Pogratulował mi garnituru. Czułem, jak patrzy w ślad za mną. Inni podobnie. W naszym mieście wszystko rzuca się w oczy, także nowe ubranie. Zaobserwowałem na sobie, że w nowym garniturze człowiek nosi się sztywniej, trzyma się prosto jak strzała.

Przystanąłem przed jakąś wystawą. Dla mnie była to prawdziwa sensacja. Ujrzałem siebie od stóp do głów. Omalże nie dostałem zawrotu głowy.

Ten, którego widziałem w wystawie, to już był ja-

kiś obcy człowiek. Młodszy od tego, którym jestem. Szczupły i, jak to się mówi, w średnim wieku. W lekko zamglonej szybie widziałem siebie jako mężczyznę czterdziestoletniego. To znaczy wyglądałem jak ktoś, kto ma czterdzieści lat. Tylko że ja nigdy nie byłem taki elegancki. Bo wydaje mi się, że jestem elegancki. Nie do wiary, co może zdziałać nowy garnitur! Krawat. A zwłaszcza kapelusz.

W tym kapeluszu wyglądam wręcz na cudzoziemca.

Gdy szedłem do fryzjera nie spotkałem nikogo znajomego. Zakład Venczla bardzo się rozwinął w ostatnich pięciu latach. Nabył cztery lustra, prenumeruje kilka gazet i na każdym stole umywalki stoi butelka z dezynfekującym płynem.

Nie jestem zadowolony z kołnierzyka. Jedwabny krawat wyslizguje się, odslaniając guzik. Często muszę tam sięgać ręką i poprawiać. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, pomyślałem, że jutro będę się musiał wylegitymować, jeśli chcę mieć wykład. Udowodnić, że ja to ja.

Kiedy się przygotowywaliśmy, Venczel nachylił się, powachlował rącznikiem, i grzecznie rzekł:

— Z gąsienicy motyl.

— Słucham? — zapytałem.

— Ano myślę sobie — ciągnął równie uprzejmie — że nie dałbym panu profesorowi trzydziestu pięciu lat. Ale tam, trzydziestu pięciu! Trzydziestu trzech!

Przesadza, jak każdy balwierz. Chociaż jakąś tam rację ma. Jedynie te dwie bruzdy są nowe. Usta mam wąskie tak samo z wąsami, czy bez.

— Błady jestem, prawda? — spytałem.

— Ależ, proszę pana — odrzekł. — Jeszcze się pan profesor ożeni jak nic.

— Gąsienica — powiedziałem — owszem. Ale motyl? Niech pan popatrzy!

Pokazałem mu dwie bruzdy.

— Przed pięciu laty jeszcze ich nie było — powiedziałem. — Ani tego.

Dotknąłem skroni. Venczel wzruszył ramionami i rozejrzał się dokoła. Po czym nachylił się nade mną i poufale szepnął:

— Na wszystko znajdzie się rada. Masaż. Wystarczy zręczność palców. Co do siwizny, to dzisiaj ten tylko ją ma, komu nie przeszkadza. Gdyby pan profesor zechciał mnie posłuchać.

I zamilkł z szerokim, wiele mówiącym gestem. Zdziwiony patrzyłem na niego. Rozum mu odebrało? Ten golibroda jest do wszystkiego zdolny, jeszcze mnie uszminkuje. Nie omieszkałem mu tego powiedzieć.

Nawet teraz, gdy to piszę, bezwiednie podnoszę rękę i dotykam twarzy. Dobrze goli, to trzeba mu oddać. Twarz jest idealnie gładka.

Nie mogę zasnąć.

2 czerwca

Nieprzyjemny dzień. Wszyscy mi gratulują i robią uwagi. Jeden mi radzi, żebym przynajmniej zapuścił wąsy. Dyrektor, swoim zwyczajem, gapił się na mnie skonsternowany, cicho pomrukując. On był tym jedynym, który mi nie pogratulował. Resz-

ta pozwalala sobie na docinki. Głupi, skwaszeni ludzie.

Przeegzaminowali także mój nowy garnitur. I kapelusz. Nic nie uszło ich uwagi. Mészárosowi rzucił się w oczy mój krawat. Patrzył na mnie jak na widmo.

— Uwważaj — rzekł i wznosił palec na znak groźby.

— Na co?

— Ty tylko uważaj — powiedział tajemniczo.

Co to ma być? Na co mam uważać? Moim zdaniem to Mészáros ma więcej powodów niż ja, żeby uważać. Ale tym, czego bałem się najbardziej, tym była moja klasa. Musiałem poddać się temu egzaminowi. I już mam to za sobą.

Nie ulega wątpliwości, że niektórzy patrzyli na mnie z rozdziawionymi ustami, jak na jakieś pannoptykum. Jakby zdążyło mi wyrosnąć czworo uszu. Jeszcze nigdy nie miałem tak cichej lekcji. Czy sprawiła to owa wielka cisza, czy to tylko wytwór mojej wyobraźni, ale wydaje mi się, jakby od wczoraj zmienił się również mój głos. Mówię o wiele ciszzej.

Dopiero pod koniec lekcji spojrzałem na Cserey. Patrzyła na mnie wielkimi, szeroko otwartymi oczami. Kiedy zauważyła, że patrzę na nią, uśmiechnęła się.

Zawsze się uśmiecha, gdy spostrzeże, że patrzę na nią.

3 czerwca

Dzisiaj przejrzałem kalendarz. To niemożliwe, aby pozostały jeszcze tylko cztery tygodnie. W tym pięć

niedziel i cztery takie dni, kiedy nie prowadzę zajęć. Niemożliwe, że ten rok już minął. Niemożliwe, że to już koniec. Co będzie potem? Nie śmiem o tym myśleć. Pójść na emeryturę, wyjechać na wakacje, umrzeć — co to wszystko znaczy? Jak to się stało? Nie rozumiem. Tak minęło to całe, całe życie. Nic nie było. Nic nie będzie.

Mógłbym uczyć nadal.

Lecz nie, nie mam już ochoty uczyć.

Teraz, kiedy zlikwidowałem brodę, nikt nie uwierzy, że wybieram się na emeryturę. Mniejsza z tym. Oni i tak nic nie rozumieją. Co my, ludzie, wiemy jedni o drugich? Nic. Nas też nikt nie rozumie. Każdy jest inny, niż nam się wydaje, zupełnie inny.

Cały dzień spacerowałem. Nie wytrzymuję siedzenia w domu. Kiedy chodzę ulicami, czuję pewną ulgę. Człowiek idzie sobie, spotyka znajomych, pogada. Na ulicy jest życie, w domu nie ma nic. To już jest krypta, ten mój pokój.

Jednak wieczorem, po siódmej wróciłem do domu. Bo o tej porze już nie warto. Wieczór jest jeszcze widny, ale po siódmej niewielu chodzi po ulicach.

Obecnie wielu się za mną ogląda, gdy idę ulicą. Nie rozumiem, dlaczego tak się gapią? Mogliby się już przyzwyczaić, cud trwa trzeci dzień.

Dzisiaj na ulicy Głównej spotkałem dyrektora. Przystanął i pochrząkiwał jak zwykle:

— Spacer? Spacer? — powiedział.

— Tak — odrzekłem. — Ładna pogoda!

— Tak — przytaknął. — Wszak wiosna.

— Jak to, wiosna? — spytałem z głupia frant. Znam naszego dyrektora, wiem, jaki z niego szczywany lis. Za każdym jego słowem coś się kryje.

— Ano, ładna pogoda — powiedziała i szybko zamrugała. — Wyciąga człowieka z domu... Wcześniej nie widywałem cię. Znaczy, tutaj, na korso. Co? He?

Nachylił się nieco ku mnie i fałszywie się uśmiechnął:

— A może... co? Możesz szukasz kogoś, he? Czyba się nie żenisz, co?

I kolnął mnie palcem w klatkę piersiową, tuż nad żołądkiem, i zaśmiał się. Ja też się roześmiałem, cóż miałem zrobić?

— Mówiono mi — ciągnął — że ostatnio chętnie się bawisz. He? Dziesięć koron dałeś Cyganowi — prawda to?

— Mój Boże — powiedziałem — cóż... panie dyrektorze, czasami się nudzę...

Poklepał mnie po ramieniu.

— Tylko żadnych wyskoków — zakończył. — A to i brodę ściąłeś, prawda? Tylko żadnych wyskoków.

Odszedł... Patrzyłem za nim z głupim wyrazem twarzy. Jakie znowu wyskoki? Nikogo nie znam. Nie chodzę do nikogo. Czego chcą ode mnie? Mam chyba prawo do tego, aby zgolić sobie brodę? Nikt nie może się do tego wtrącać.

To spotkanie zupełnie mnie zniechęciło. Wkrótce potem wróciłem do domu. W końcu i ta przykrość jakoś się rozwiąta, postanowiłem nie zawracać sobie tym głowy.

Jeżeli jeszcze raz ośmieli się uczynić mi jakakol-

wiek uwagę, czy to on, czy ktoś inny, złożę rezygnację.

4 czerwca

Muszę z kimś porozmawiać. Gdyby był tutaj Timár. Muszę z kimś porozmawiać. Dzisiejszego popołudnia byłem bliski tego, żeby wejść do kościoła, paść na kolana i zacząć się modlić. Ogarnęła mnie rozpacz, że nie jestem wierzący. Powinienem wszystko opowiedzieć komuś, kto jest godny zaufania. A skoro nie ma takiego człowieka, to Bogu. Bóg jest godzien zaufania. Bóg milczy. Odrobinę przesadnie milczy, jak na moje wycucie.

Bezustannie mam pragnienie. Próbowałem pić wino, ale to mi pomaga tylko w pewnym stopniu. Już do obiadu wypijam pół, niekiedy cały litr. Nie pomaga. Rano, tak, poranki jeszcze są dobre. Ale co mam robić później? Gdybym mógł z kimś porozmawiać. Myślałem o tym, żeby wezwać Madára. Wstrętny chłopak, ale inteligentny. Może, gdybym porozmawiał z nim.

Dzisiaj przyszło mi do głowy coś takiego: Bóg jest dobrotliwy. Tak to jest w modlitwach. Gdybym był wierzący, może wszystko byłoby łatwiejsze. A tak, to do kogo mam mówić? Do tego zeszytu? Nikomu nie ufam, ani ludziom, ani papierowi, nikomu. Już i sobie nie ufam.

Przed południem, podczas lekcji, miałem uczucie, że już dłużej nie wytrzymam. Podejdę do jej ławki i pogłaszczę ją po głowie. Nic więcej, tylko to. Nawet nie dotknę jej twarzy, jedynie włosów. Prze-

cież nic w tym nie ma. Może to uznać za zwykłe poklepanie ucznia po ramieniu. Inni też tak to mogą zrozumieć. Nie dotknąłbym jej skóry. Ma bardzo cienką szyję, srebrny łańcuszek na niej.

Chciałbym coś jej kupić. Szkoda, że nie ma takiego zwyczaju. Po maturze, my, nauczyciele, mogliśmy podarować coś naszym wychowankom na pamiątkę. Coś, wszystko jedno, co. Teraz noszą zegarki na rękę, może coś takiego. Co stale miałyby przy sobie.

5 czerwca

Porozmawiać z kimś, porozmawiać z kimś. Zapytać, porozmawiać o niej. Z Bogiem. Albo z diabłem. Albo z Madárem. Zauważyłem dzisiaj, że Venczel, balwierz, manipuluje palcami wokół mojego podbródka. Siedziałem w fotelu z zamkniętymi oczami. I nie otworzyłem ich. Pozwoliłem mu robić swoje. Sprawiał się całkiem dobrze. Powiedziałem mu:

— Nie pomagaj, Venczel. To też nie pomagaj. — Zabrał rękę, uśmiechnął się z przekąsem:

— Zdziwiłby się pan profesor... — powiedział. — To dopiero jedno popołudnie...

Niewątpliwie, jest to dobry balwierz. Ale ja wiem, że to mi nie pomaga.

Od chwili gdy napisałem, że chciałem ją pogłaskać, jestem spokojniejszy. W jakiejś formie muszę wyrazić te sprawy, to bardzo ważne. Zdecydowanie czuję, że gdybym mógł porozmawiać o niej, wiele z tego wszystkiego by złagodniało. Mam mnóstwo pytań do Madára. Jestem przerażony, jak wiele jest tych

pytań. Godzinami mógłbym wypytywać go o te sprawy.

Ciekawiłoby mnie dowiedzieć się, czy... nie, nie zdołam tego napisać. To straszne, ale nie zdołam tego napisać.

6 czerwca

Dzisiaj odbyła się konferencja przedmaturalna. Datę egzaminu dojrzałości wyznaczono na 6 lipca. Mam cztery dni więcej, niż sądziłem.

Postanowiliśmy również, że jeżeli Madár nie zrobi żadnego błędu i zda maturę z wyróżnieniem, wówczas, na życzenie kuratora, dyrektor zarekomenduje jego kandydaturę do stypendium.

W samo południe szedłem ulicą i doznałem zawrotu głowy. Na chwilę musiałem oprzeć się o mur. Już od wielu dni nie jadłem regularnie, może stąd to wszystko.

7 czerwca

Teraz jest noc, przed chwilą wróciłem do domu. Usiadłem przy otwartym oknie i piszę. Chcę napisać, że może będę religijny. Muszę znaleźć jakieś rozwiązanie. Z kasyna udałem się na plac Basztowy. Potem przeszedłem do samego końca ulicę Główną. Następnie ulicą Floriana, też do końca, jeden raz. Brama była otwarta, w głębi zobaczyłem dziedziniec wybrukowany kocimi łbami, ze studnią, z tyłu drewnitnia, arkada, za bramą oleander w beczce. Na lewo od bramy jest warsztat, na prawo miesz-

kanie. Okna są małe. Dom parterowy. W bramie unosił się nieco stęchły i słodkawy zapach, zapach miodu i beczki. W warsztacie jeszcze było jasno. Natomiast okna mieszkania już zaciemniono. Żaluzje ciemnobrązowe. Numer domu 18. Powoli podszedłem przed sam dom. Potem, z głębi ulicy, doszły mnie dudniące kroki. W pośpiechu opuściłem to miejsce.

Głowę mam taką, jakbym tęgo pił. Rozpaloną, ale nie zamuloną. Jakieś dziwne i głębokie upojenie; inne niż po winie; głowa jest czysta. Przesadnie czysta. Wszystko rozumiem, wszystko widzę. Kiedy mijam wystawę sklepową, spoglądam na siebie z odrobiną pogardy. Myślę: pajac. Lecz najchętniej coś bym na sobie zawiesił, żeby tylko być innym, innym, innym. Chciałbym, żeby zmienił się mój głos. Albo, żeby zmieniła się moja twarz. Wszystko wybrałbym o wiele chętniej niż samego siebie, takiego, jakim jestem. Tak wielka bezradność. Bo nie ma ucieczki od siebie. Tutaj muszę pozostać, w tej skórze, bez nadziei, jak w więzieniu, w którym jest coraz ciemniej, które coraz bardziej się rozpada, które jest coraz bardziej nielitościwe.

Czym jest Piękno? Myślałem o tym dzisiaj, w czasie spaceru: co to jest Piękno? Skąd przychodzi, po czym je poznajemy?

Czy jakaś ręka jest piękna? Spojrzenie? Gest? Czuję, że to jest coś daleko więcej. Coś nieskończenie dobrego i spokojnego. Co we mnie jest piękne? Nic. Pięknym może być tylko ten, myślałem dzisiaj, kto żyje w harmonii ze światem.

Niekiedy, przez kilka chwil, czuję, jakby to wszyst-

ko, co mi się w życiu zdarzyło i nie zdarzyło, wszystko, co kochałem, przed czym stchórzyłem, dla wygody, do czego zabrakło mi siły, jakby to wszystko teraz znalazło się pod dachem. W takich chwilach tak postrzegam siebie i moje życie, jak jakiś potężny prąd, który płynąc prosto niósł mnie i moje życie ku spełnieniu.

Najczęściej czuję się jak ktoś, kto obudził się z głębokiego, chorobliwego snu, ocknął się i zaczyna rozumieć, że pobito go po głowie i obrabowano, i leżał, utraciwszy przytomność; i widzi, jak złoczyńcy uciekają ze skarbem; takie uczucie.

I drugie uczucie, że mam w ustach dziwny smak. Nie jest to smak owoców i nie jest to smak jadła. Nie wiem, co to za smak. Słodkawy i wonny. Niekiedy tak mnie dławi, że odczuwam mdłości.

Dzisiaj przechadzałem się między ławkami. Coś dziwnego dzieje się w klasie. Coś jest w oczach. Nie patrzą na mnie tak, jak przedtem. Nie mówię, że w tych oczach jest ironia. Myślę raczej, że podśmiewają się ze mnie. Niewielkie zdziwienie jest również w tych oczach. Jak zawsze. Na każdej lekcji przyglądają mi się jakby od nowa. Możliwe, że obmyślają dla mnie nowe przezwisko. „Mors” już nie pasuje, bo nie mam wąsów.

W oczach Cserey nie widzę żadnej zmiany. Żadnej ironii, żadnego zdziwienia. Patrzy na mnie jednostajnym spojrzeniem. Dzisiaj miałem wrażenie, że mnie żałuje. Nie wiem, dlaczego? Nieomylnie czuję, że jest jej mnie żal.

Podszedłem do jej ławki. Jedna z książek leżała na skraju blatu. Niechcący ją musnąłem, wskutek

czego spadła na podłogę. Poderwała się, aby wyjść z ławki; włosy, kiedy wykonuje jakiś gwałtowny ruch, spadają jej na twarz.

Schyliłem się i podniosłem.

— Proszę — powiedziałem

— Dziękuję — odrzekła.

To jest pierwsze osobiste słowo, jakie od niej usłyszałem.

8 czerwca

Dzisiaj moja klasa głośno się z czegoś śmiała. Śmiali się wszyscy przez całą lekcję. Madár także się śmiał. Śmiech wybuchał tu i tam, raz w jednym, raz w drugim rogu; kilka rzędów próbowało się pohamować; reszta nie wytrzymała. Nie miałem odwagi zapytać, dlaczego się śmieją. Być może wydarzyło się coś przed lekcją, coś zabawnego; niewiele im potrzeba. Możliwe jednak, że śmieją się z czegoś innego? Nie ośmieliłem się spytać. Dwa razy dotknąłem krawatu, był na swoim miejscu. Po lekcji pospieszyłem do pokoju nauczycielskiego i obejrzałem moje ubranie; wszystko było jak należy. Z pewnością śmiali się z czegoś innego.

Madár był uderzająco wesół. Dawno nie widziałem go w tak dobrym nastroju. Zdaje się, że ma pewność w sprawie stypendium.

Myślę, że Madár ma zły zapach. Niewykluczone, że tylko ja tak czuję. Dość, że spojrzę na niego i od razu czuję jakiś przykry, kręcący w nosie zapach. To pewnie urojenie.

Wieczorem wyszedłem z kasyna razem z Mészá-

rosem. Towarzyszył mi aż do domu. Tym razem był trzeźwy. Kiedy przechodziliśmy przez ciemny plac Basztowy, nagle przystanął i zapalił.

W ciemności długo cackał się z zapalkami. Czekalem.

— Szlus — powiedział.

— Z czym?

Wyrzucił zapalkę. Powoli zaciągnął się dymem cygara.

— Ze wszystkim — niemal wyszeptał. — Fiu... minęło... Rozumiesz. Mówiłem ci o tym. Już nie trzeba. Ni to, ni tamto. Zmęczony jestem.

— Ale... — zacząłem.

— Nic — wziął mnie pod rękę. W ciemności przeszliśmy kilka kroków, nic nie mówiąc.

— Przyjacielu — powiedział. — Od najbliższego pierwszego zacznę sptać. Wyobraź sobie, wychodzi za mąż. Żeni się z nią pewien urzędnik z dobrym uposażeniem. Tak nawet lepiej.

— Ale dlaczego? — spytałem wzburzony. — Dlaczego pozwoliłeś?

— A pozwoliłem. — rzekł w zamyśleniu. — Niech sobie idzie. Już nic dla mnie nie znaczy, to lato... znasz to, prawda? Niech sobie idzie. Mam uczucie, że święto się skończyło. Zaczynam sprzątać. Znudził mnie ten wydłużony okres dorastania. Koniec. Pojmujesz, w każdym człowieku, w pewnym momencie ustaje wszelki rozwój.

— Myślisz?

— Jestem pewien. W moim przypadku lata młodzieńcze trwały pięćdziesiąt cztery lata. Teraz zaczynam widzieć wszystko wyraźniej. Chciałbym,

aby wokół mnie zapanował ład. Nigdy nie jest za późno, prawda?

— Nigdy, skądże — potaknąłem.

— Widzisz, ty to rozumiesz. Jestem spokojny. Mam to za sobą. Czuję, że już nic nie może się zdarzyć. Tak jest, przyjacielu, mam to już sobą. Teraz wszystko byłoby wymuszone i sztuczne. Nic mi nie trzeba. Czuję się tak, przyjacielu, jak ktoś, kto spłacił rachunki. Spadło to na mnie...

— I?

— Spadło dość późno. Nie byłem tchórzem, pojmujesz? Nie broniłem się. Nie ukrywałem zawczasu. Moja żona, wiesz, chciała się zabić. Nie z mojego powodu, ze wstydu, jak sama powiedziała. Milczałem bezradnie. Ja, przyjacielu, nie umiałem jej pomóc. Jakby to nie ode mnie zależało. Nie potrafiłbym palcem kiwnąć, widząc, jak się gryzie. Ale kocham ją, to zacna kobieta. No więc... Nie zależało ode mnie. Myślałem sobie tak, jeżeli jestem tchórzem, to...

— To co?

— To ja... — powiedział ciszej. — Bóg daremnie ugniatał człowieka. Szkoda jego fatygi. Właśnie dlatego. Teraz jestem spokojny, spłaciłem rachunek. To wszystko nie było daremne. Rozumiesz?

— Owszem — potwierdziłem.

Bo naprawdę rozumiałem. Teraz o wiele lepiej wszystko rozumiem, niż do tej pory. Mówił ciszej. Szliśmy pod platanami, było chłodno. Raptem zatrzymał się i powiedział:

— Ty, powiedz coś... Co ci jest?

Zapytał cicho i poufale. Głos miał nieledwie ciepły.

— Mnie? Mnie... nic — odparłem gwałtownie.

— Pytam tylko dlatego — mówił cicho — że od kilku dni jesteś taki dziwny. Zupełnie obcy. Co się z tobą dzieje? Bo coś się dzieje. Inni też to zauważyli.

— Co zauważyli? — spytałem.

— Widzisz, ja to czuję... Byłem taki, jak ty teraz, półtora roku temu. Człowiek nieomal boi się samego siebie. Że coś zrobi, czy ja wiem, co? Podpali miasto. Albo wywoła skandal. Teraz czuję coś takiego w tobie. Uważaj. Ja mam to już za sobą. Uważaj tylko.

Wyciągnął rękę.

— Dobrze — powiedziałem. — Będę uważał. — Uścisk jego ręki był inny, obcy. Była w nim nerwość i wyczerpanie.

...Myślałem o tym, że Bóg daremnie ugniatał człowieka. Chyba to czuję. Dość trafnie to wyraził. W nocy obudziłem się i znowu tutaj siedzę pochylony nad zeszytem. Jest druga. Obudziłem się, ponieważ śniło mi się, że opadam, spadam w ciemnościach. Byłem pewien, że to mi się śniło; a teraz już czuwam; ale nie, to nie sen. Coś działa się ze mną, kiedy spałem. Jakby coś się we mnie rozłączyło. Wszystko jest już jasne, proste, zrozumiałe. Czuję, jak krew szumi mi w uszach. Opadam, spadam. Jutro rano muszę pójść do niego. Porozmawiać z nim. Zapytać, co zamierza robić latem? Co czyta? Jakie ma przyzwyczajenia? On jest człowiekiem i ja jestem człowiekiem. Nie można się tak dręczyć, to jasne. Nikt nie może żądać, jeden człowiek nie może żądać, aby drugi człowiek niewinnie cierpiał. Tego nie może wymagać ode mnie prawo, nie mogą żądać lu-

dzie. Ani Bóg. Ani Natura. Niczego nie chcę. Ja chcę tylko porozmawiać z nim. Teraz jestem sam i przypominam sobie jego twarz. I dłońmi zakrywam oczy, aby jej nie widzieć, bo brzydzę się nią. Ale to nie pomaga, jego twarz jest we mnie, widzę jego dwoje oczu. Muszę z nim porozmawiać. Może czegoś potrzebuje. Może zdołam mu w czymś pomóc. Strasznie cierpię. Jest noc. Nie mam nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić. Coś się teraz we mnie rozłączyło. Co powiedział Mészáros? Podpalić miasto? Niezłe. W tej chwili nie uważam tego za niemożliwe. Gdyby uderzyli w dzwony, gdyby ktoś zawołał: „Pali się!”, wcale bym się nie zdziwił. Opadam, spadam. Nie można tego powstrzymać. Wszystko jest lepsze, niżli to. Już lepiej byłoby osiągnąć kres tego spadania, rozbicia; byle tylko nie to.

Teraz mam takie odczucie, że jestem daleko od wszystkiego: od tytułu, od wieku, od ludzi. Czuję się stworzeniem. Jeszcze nigdy nie odczuwałem tego w ten sposób. Jestem stworzeniem. Tutaj mnie umieszczono. Nie ja tego chciałem... Bardzo cierpię: dlaczego *to* na mnie przyszło? Nie szkodziłem nikomu. Nie skrzywdziłem człowieka. Dlaczego *to* przyszło?

Nigdy nie myślałem, że *to* jest cielesne, że boli, że jest bólem. Że może tak boleć jak chory żołądek, jak złamana ręka. Kiedy o nim myślę, czuję fizyczny ból.

Jeśli ona kocha Madára, to ja też chcę kochać Madára. Muszę się tego dowiedzieć. Kocha go? To miły, zacny chłopak. Lecz jeśli nie kocha, to ja go rozdepczę. Mam jeszcze cztery tygodnie. Jeszcze coś

tam zależy ode mnie. Przez cztery tygodnie pozostanie jeszcze w jakiejś relacji ze mną. Jeszcze coś dla niego znaczą, choćby tylko to, że jestem jego nauczycielem. Za cztery tygodnie będę dla niego nikim. Nazwiskiem, figurą. Człowiekiem, który błąka się po mieście. Nie będę mógł go zagadnąć, upomnieć ni pochwalić. Gdybym teraz umarł, byłby zobowiązany przyjść na mój pogrzeb. Ale ja nie chcę umrzeć. Nie chcę też nic innego, chcę tylko porozmawiać z nim. Gdybym był dowcipny, gdybym nie był taki niezdarny, może nie byłoby to takie trudne. Są tacy, którzy potrafią rozmawiać lekko, zabawnie. Mógłbym coś stwierdzić, o coś zapytać, mógłbym spytać o jego rodzinę. Mógłbym też żartobliwie zapytać, co mu się śniło? Albo, co on na to, że nie mam brody? Na każdy temat. Ale nie mogę tego uczynić. Nie umiem żartować. Czuję ponad wszelką wątpliwość, że jeżeli zacznę z nim rozmawiać, to koniec. Wszystko runie. Wszystko wypowiem. I to byłby koniec owego spadania.

Budzi się dzień. Może być piąta. Siedzę przy stole i czekam na poranek. Jakbym był sparaliżowany. Nie umiem się poruszyć, nie potrafię wrócić do łóżka. Marznę, myślałem, żeby napisać list do Timára. Nie znam jego adresu, nie szkodzi. Bez adresu wysłałem list na niepewne, do Wiednia, na poste restante. Ale nie śmiem napisać listu. Wyrwałem ostatnich dziesięć kartek, z tym, co napisałem w tym zeszytcie, włożyłem do koperty i zaadresowałem: *Ágoston Timár, Wíen. Poste restante*. Może dotrze do jego rąk. Może to lepiej, że wysła tych dziesięć kartek, nawet gdyby miały nie dotrzeć do jego rąk.

Wszystko jest już jasne. Jestem zupełnie spokojny. Odczuwam potrzebę uporządkowania tego, co jest na stole, tych moich zapisków. Wszystko prze-myślałem, odczuwam potrzebę zaprowadzenia ładu dookoła siebie. Muszę wyrwać, wyrzucić to, co jest zbyteczne. Wszystko trafi na swoje miejsce. Będę to robił dziś i jutro. Muszę przejrzeć książki, listy, uporządkować moje rzeczy. Dookoła mnie jest nieporządek. Wszystko chcę uporządkować. Czuję, że żyjemy w ciemności. Nie przygotowuję się do niczego, ale w każdej chwili powinienem być gotowy. Coś może przyjść, bez zapowiedzi, tak jak przyszło to. Ta twarz. Tak może przyjść śmierć. Albo mój nagły wyjazd, z dnia na dzień. Nikomu nie można ufać, na nikogo nie można liczyć. Na siebie też nie. Zawsze chciałem być wolny, tak myślałem. Nie mam całkowicie wolnej woli. Każdej chwili coś może nastąpić. Czuję potrzebę zaprowadzenia ładu. Powoli przychodzi pora, abym się ubrał.

9 czerwca

Wysłałem list.

10 czerwca

Dzisiaj znów zauważyłem na ulicy, jak dwaj mężczyźni przystanęli, przyglądali mi się i robili jakieś uwagi na mój temat. Klasa jest cicha, już nie śmieją się głośno, ale spostrzegłem, że wszyscy uparczywie patrzą na mnie. Co oni chcą zobaczyć? W pokoju nauczycielskim jakby rzadziej zwracają się do

mnie. Nikt mnie nie unika, tylko mają do mnie mniej spraw. Czuję, że coś po mnie znać. Ale co? Niepojęte. Stale mam takie odczucie, że coś nie jest w porządku z moim odzieniem. Że krawat znowu mi się zsunął. Wtenczas odruchowo chwytam za kołnierzyk i niekiedy z westchnieniem ulgi stwierdzam, że rzeczywiście mój krawat się zsunął. Lecz innym razem nie stwierdzam niczego podobnego; krawat jest na swoim miejscu; wszystkie części mojego odzienia są w porządku; a jednak, jakby się na mnie wszyscy gapili. Może włosy mam w nieładzie? Może w moim spojrzeniu jest coś innego niż dotychczas. Analizuję siebie i niczego nie znajduję. Niepojęte. Ale muszę mieć się na baczności. Zwłaszcza moja klasa. Gapią się na mnie uporczywie. A już Madár, to jakby w ogóle nie spuszczał mnie z oka. Wszelako możliwe, że się mylę; że to tylko moje odczucie; wszak nie zwykłem patrzeć w tamtą stronę, gdzie on siedzi. Nie tylko Madár. Reszta też się gapi. Babuják nie odrywa ode mnie tego swojego głupkowatego spojrzenia. Znosiłem to przez długie pół godziny. W końcu wrzasnąłem na niego:

— Czego się pan gapisz? Co ja jestem? Malowane wrota? Co się gapisz jak cielę, odpowiadając na tychmiast!

Naturalnie, nie odpowiedział. Zaczął się jękać. Raz był siny, raz zielony. Nie sposób otrzymać od niego inteligentnej odpowiedzi. Dzisiaj rano u balwierza, w czasie golenia, przyglądałem się sobie długo i gruntownie. Nic. Mam w oczach wyraz zmęczenia, ponieważ mało śpiam. To wszystko. Kiedy mnie golił, zapytałem go na wszelki wypadek:

— Niech mi pan powie, Venczel... Ale szczerze: czy nie widzi pan na mnie jakiejś zmiany?

— Zmiany? — spytał zdziwiony.

— Chodzi mi o to, czy coś zwróciło pańską uwagę? Pan zna mnie od dawna. Nic nie rzuca się w oczy?

— Nie — odrzekł stanowczo. — Nic. To znaczy... Ta brodawka, tutaj, na szyi pana profesora, teraz jest trochę większa niż parę lat temu. Wielkości orzecha laskowego; przedtem nie była większa od zwykłej brodawki. Brodawki można idealnie usunąć. Bez śladu. Poza tym nic nie widzę.

Ten fryzjer najchętniej stale by przy mnie majsterkował. To jego pasja. Już do tego przywykłem, że co rano, w czasie golenia, przez trzy, cztery minuty, nie pytając o pozwolenie, masuje palcami moją twarz. Zwłaszcza koło ust, gdzie mam dwie bruzdy. To jego pasja. Znoszę to, nie chcę mu przeszkadzać. Inaczej nie dowiedziałbym się, czy to, co robi, przyniesie jakiś widoczny rezultat. No i nic sobie za to nie liczy. Ma taką manię, żeby upiększać swoich klientów.

Nie rozumiem, dlaczego tak mi się przyglądają, nie rozumiem. Możliwe, że mówię do siebie półgłosem, gdy sam idę dokądś ulicą. Dzisiaj już o tym myślałem. Człowiek nie wie o czymś takim. Ja też wielokrotnie gapilem się na starszych ludzi, uśmiechałem się, słysząc, jak coś tam mruczą półgłosem albo bezgłośnie poruszają wargami podczas samotnego spaceru. Starczy objaw. Może powinienem poprosić kogoś, aby mnie obserwował. Kudlicsek, gdybym mu zapłacił, z pewnością poszedłby za mną i

obserwował moje zachowanie. Dowiedziałbym się również, co właściwie jest we mnie czy na mnie takiego, iż ludzie uporczywie mi się przyglądają. Kudlicsek, niezły pomysł. Jeśli nie przestaną się na mnie gapić, każę Kudlicskowi nie spuszczać mnie z oka.

Mój pokój jest już teraz mniej więcej w porządku. Wszystko podarłem, spaliłem. Na szafie znalazłem wypchaną sowę. Nie rozumiem, w jaki sposób tu trafiła. Wreszcie przypomniałem sobie, że dawno temu otrzymałem ją od drugiej klasy w prezencie na moje imieniny. Sowa była szara od kurzu. Dopiero teraz, kiedy trochę poprzesuwałem meble, widzę, jak zaniedbany jest pokój, w którym mieszkam. W każdym kącie jest pełno kurzu. Pajęczyna rozpina się pod sufitem. Także dopiero teraz widzę, jak dalece bezużyteczna jest moja gosposia. Wygląda na to, że całkiem się zestarzała. Wszystko koło mnie robi niedbale, od niechcenia, niechlujnie. Nie zmartwię się, jeśli mnie zostawi. Muszę coś wymyślić, żeby ją skłonić do odejścia. Bezużyteczna. Stara już jest i słaba. Po południu potrzebny mi był kufer, w którym, jak przeczynałem, powinny znajdować się stare książki i zeszyty. Każdą prośbę skierowaną do niej musiałem powtarzać dwa razy, bo niedosłyszysz. Kiedy nareszcie zrozumiała, że pytam o kufer, bardzo się wzburzyła. Kręciła głową, coś mamrotała.

— Wyjeżdża pan? — spytała.

— Ależ nie — odrzekłem. — Po prostu chcę do niego zajrzeć.

Spojrzała na mnie zmąconymi oczami. Zdaje się,

że mózg ma już słaby. Głupkowato kręciła głową i mamrotała do siebie:

— Wyjeżdża.

I drobnymi, przyciężkimi kroczkami wyszła z pokoju. Długo myślałem o niej. Odprawię ją. Zastępuje na odpoczynek. Niech sobie jedzie do domu, do swojej wioski. O ile wiem, ma jakieś drobne oszczędności. Nie mogę jej tu dłużej trzymać. Tym bardziej, że chętniej pomieszkam sam. Wezmę później dochodzącą pomoc. I tak stołuję się w restauracji, w południe i wieczorem. To, co sama przyrzędzi, jest niejadalne. A jeśli przypadkiem, rzeczywiście, wyjadę dokądś, lepiej, żeby jej tu nie było.

Wyszedłem za nią do kuchni. Siedziała przy piecu na niskim krzeselku, zupełnie beczynna. Gdy wszedłem, spróbowała się z trudem podnieść. Kazałem jej nadal siedzieć. Zapytałem, czy ma krewnych. Nagle zrozumiała. Zaczęła bezgłośnie płakać.

— Ależ nie — powiedziałem. — Nic podobnego. Jeżeli poczciwa Márta nie chce wyjechać, może zostać u mnie. Pytam tylko, czy nie czuje się już zmęczona? Właściwie, to ile Márta ma lat?

— Sześćdziesiąt pięć — powiedziała. — Odejdę, proszę pana. Sześćdziesiąt pięć.

Sześćdziesiąt pięć. Próbowałem ją rozweselić. Obstawiała przy tym, że odejdzie. W końcu zacząłem ją prosić, aby pozostała. Nie ustąpiła.

— Dom nie jest w porządku — powiedziała nieoczekiwanie, zwięźle i tajemniczo.

— Co nie jest w porządku? — spytałem wystraszony.

— Dom — powtórzyła niejasno. — Nie jest w po-

rzędu. Tutaj nic nie jest w porządku, proszę pana. Pan nie jada w domu. Już od roku. Tak, proszę pana, odchodzę. Mam krewnych. Mogę odejść. Przecież pan i tak dokądś wyjedzie.

Uparła się przy swoim, że ja wyjadę i że dom nie jest w porządku. Kiedy wychodziłem z kuchni, ruszyła za mną i spytała:

— Jancsi... Mogę go zabrać?

— Kanarka? — upewniłem się. Zupełnie zapomniałem o tym ptaku. W ostatnim czasie nie słyzałem jego pogwizdywania. Owszem, niewiele bywałem w domu. Przeważnie wracałem do domu późnym wieczorem, kiedy ptaki już zwykle śpią w swojej klatce.

— Tak — potwierdziła z iskrą w oku. — Jancsięgo.

— Owszem... — odrzekłem. — Jeśli Márta chce.

Bardzo mnie to cieszy. Dobrze, że odchodzi. Powiedziała, że odejdzie piętnastego. Zgodzi mi jakąś sprzątaczkę. To nawet jeszcze lepiej.

Bardzo się cieszę, że sam zostanę w domu.

11 czerwca

To najlepsze rozwiązanie, że sam będę w domu. Potrzebne było mi to poczucie, że sam jestem w swoim domu. Że nikt mnie nie obserwuje. Nikt nie kontroluje moich zwyczajów. Nikt się na mnie nie gapi. Człowiek czasami potrzebuje pełnej samotności. Dochodzącą sprzątaczkę przyzwyczaję do obowiązku porą ranną, na godzinę, dwie. Nastąpi wielkie uspokojenie, kiedy zostanę sam. Kiedy będę

mógł zamknąć drzwi od środka ze świadomością, że jestem absolutnie sam.

Dziś pierwszy raz od wielu dni spojrzałem na nią. Nie zauważyła. Pochylona nad książką, coś czytała. Od wielu dni postępuję tak, że prawie na nią nie patrzę. Nie ma potrzeby, abym patrzył na nią; wystarczy, że wiem, iż siedzi na swoim miejscu. Ta pewność natychmiast mnie uspokaja, nie potrzebuję nic innego. Nie obserwuję jej, ba, unikam spoglądania w jej stronę. Nieomal boję się, że jeżeli będę przyglądał się jej przez dłuższy czas, to jeszcze odkryję na niej jakiś feler. Może to będzie jakiś brzydki gest. Albo niestosowny śmiech. Albo będzie głupkowato zerkać na kogoś. Chciałbym tego uniknąć. O ile możliwości nie spojrzę na nią. Dzisiaj bezwiednie spojrzałem! Wtedy, gdy spostrzegłem jej pochyloną głowę; na długą chwilę cały mój niepokój roztopił się w bezwzględnej pewności, że ona jest tutaj, jest blisko mnie, dwa kroki ode mnie, że ją widzę, wystarczy, abym wstał, podszedł do niej i już mogę porozmawiać z nią... Mam prawo odezwać się do niej. Jeszcze przez trzy tygodnie będę miał prawo odzywać się do niej. Mogę zwrócić się do niej po imieniu. Mogę wymówić jej imię i nazwisko: M. Cs. Niestety, nie mogę nazwać jej Lalą. Inni mogą ją tak nazywać, ja nie. O tym imieniu pozwalam sobie pomyśleć tylko raz w ciągu dnia, czasami przed snem wypowiadam je na głos, gdy stukam w drewno wezłowania w jej sprawie.

Madár napisał do niej „Moja droga”. Napisał tak: „Nie umiem zwracać się do ciebie inaczej, moja droga”. Ma rację. Rozumiem to tak, iż to słowo dość

dokładnie wyraża pewne uczucie, opisuje pewną słabość, której nie dałoby się równie celnie wypowiedzieć bardziej zawiłymi słowami. Śmieszne słowo. Droga; tłusta gęś też może być droga. Moja droga, co to za słowa. Czy tak się do niej zwraca? I czy ona go za to nie wyśmiewa?

Kiedy w czasie lekcji spojrzałem na nią, pomyślałem sobie, co by się stało, gdybym teraz, w ciszy odezwał się do niej, gdybym powiedział: „Moja droga”. Puliszka pobiegłby po dyrektora. Dyrektor z pewnością zabrałby mnie do pokoju nauczycielskiego, zmusiłby mnie do wypicia szklanki wody, może też kazałby wezwać lekarza, i powiadomił, że mam czekać w domu na wynik komisji dyscyplinarnej. Prawdopodobnie tak by się stało. A przecież to nic tak wielkiego, zaledwie dwa słowa. Dwa dość zwyczajne i śmieszne słowa.

Pantofle ma raczej znoszone. Po lekcji, kiedy wyszła, pozostałem jeszcze na katedrze. Żółte półbuty, z klamerkami. Obcasy nieco ścięte. Możliwe, że stąpa odrobinę niezdarnie. Nie wiem dlaczego, ale sprawiło mi przyjemność, że obcasy u jej półbutów są nieco ścięte.

12 czerwca

Dzisiaj przed południem, zanim opuściłem teren gimnazjum, spotkałem Kudlicska, który zamiatał dziedziniec. Może jestem nerwowo i podejrzliwy, może to wszystko jest jedynie urojeniem, ale zdawało mi się, że nie uniósł kapelusza z taką samą gotowością i szacunkiem, jak przecież zwykł był to

czynić. Pracował pod kasztanowcem. Podszedłem do niego:

— Dużo macie pracy, Kudlicsek? — zapytałem.

Mogliby się zdawać, że fantazjuję, ponieważ nagle przestał zamiatać, wyprostował się i zdjął kapelusz. Powiedział, że pod koniec roku szkolnego zawsze jest dużo pracy.

— Bo może moglibyście przyjść do mnie, w któreś popołudnie — powiedziałem. — Chciałbym przemeblować mieszkanie. Niektóre meble chciałbym przesunąć z jednego pokoju do drugiego. Trzeba by też naprawić żaluzję w jednym z okien od ulicy.

Odparł, że może przyjdzie.

Poczęstowałem go cygarem.

Raptem stał się bardziej przyjazny. Obiecał przyjść jutro po południu. Równocześnie patrzył na mnie pokornie, z tą dziwną unізonością, jaką znam u Kudliczki, i która nie jest niczym innym niż obłudą.

— Powiedzcie no mi, Kudlicsek — zapytałem, gdy podawał mi ogień — co tam nowego dokoła naszego gimnazjum? Co? Przecież zawsze dużo wiecie, nawet to, czego nie wiemy my, ciało pedagogiczne.

— Zawsze jest coś nowego — wycedził ostrożnie.

— Macie na myśli wychowanków, tak?

— To też.

— Grono?

— To też.

— A u mnie? — rzekłem żartobliwym tonem. — Co wy, Kudlicsek, który wiecie wszystko, co wiecie o mnie? Co nowego, gdy idzie o mnie?

— U pana profesora? — odrzekł ostrożnie. — Co może być nowego, proszę pana. Nic nie wiem. Zresztą pan profesor wie to lepiej ode mnie.

— Co?

— To... Nic — bąkał zmieszany. — Nic, proszę pana. A co ja mógłbym wiedzieć?

— A jednak, Kudlicsek — odrzekłem. — Znamy się obaj od lat. Nieprawdaż? Czy mówią coś o mnie? Ludzie, dobrze to wiecie, zawsze coś tam gadają.

Potaknął głową:

— Gadają, gadają.

— No, sami widzicie — powiedziałem. — Obgadują każdego. To z pewnością i mnie. No więc, co tam słyszycie?

Obstawał przy swoim:

— Nic, proszę pana. O panu profesorze? Nic! — Zaraz też dodał: — Mogę przyjść jutro po południu. — Widziałem, że coś mu stoi na przeszkodzie. Jednym okiem zezował w stronę okien gabinetu naszego dyrektora. Pożegnałem go. Stało na tym, że jutro przyjdzie do mnie.

Coś czuję wokół mnie. Jakąs zewnętrzną zmianę. Ja jestem niezmienny, zmienia się świat wokół mnie. Czuję to również w mieście. Pewne ulice, dla mnie, uległy zmianie. Tak dobrze znajome ulice stały się zupełnie obojętne: Basztowa, Główna, a nawet Florigiana.

Rzadko tamtędy chodzę, tylko wtedy, gdy jest to absolutnie konieczne. Wolę włączyć się po okolicach, gdzie przedtem bywałem rzadko. Dzisiejszego popołudnia poszedłem na dworzec kolejowy, usiadłem na ławce i przeczekałem dwa pociągi. Cze-

kało wielu podróżnych, wiele kobiet z bliskimi osobami. Zajmujące, zaskakujące sceny powitań i pożegnań. Pociąg do Budapesztu stał tylko dwie minuty. W wagonie restauracyjnym widziałem jakiegoś siwowłosego pana przy stoliku z czerwoną lampą, który czytał francuską gazetę. Świat wydaje się nadzwyczaj duży. Z pewnością jest milion spraw, przy których moje kłopoty, wszystko, co mnie dotyczy i dotyka, jest śmieszne i bez znaczenia. Są takie miasta: Antwerpia, Florencja, Buenos Aires, o których ja nic nie wiem. Są na świecie ludzie nieszczęśliwi i szczęśliwi, przy których to wszystko, co może mi się zdarzyć, jakieś najokropniejsze i najradośniejsze wydarzenie, to tylko tyle, co śmierć muchy, gdy jesienią odpadnie od okna. Nic. Nie jestem nikim ważnym. Mimo to, dlaczego to, co się ze mną dzieje, wydaje mi się takie gigantyczne? Gigantycznie niesprawiedliwe, gigantycznie nieszczęśliwe i gigantycznie radosne? Dziwię się, jakim sposobem tak olbrzymie uczucie może zmieścić się w moim życiu? Jestem pewien, że to uczucie ma jakąś taką moc, że mógłbym poruszyć, oświetlić i ogrzać cały świat. Dzisiaj czuję, że nie jestem niczym innym, jak tylko przewodem, i że ta gigantyczna moc, ten straszliwy prąd, który porusza świat, oświetla go i ogrzewa, dotarł do mnie, przepłynął przeze mnie i ja, marny i słaby przewód, nie wytrzymuję, nie jestem w stanie przekazać go dalej. Ale dla świata jest to tylko przeszkoda cienka jak włos. Prąd pędzi dalej. Nikt tego nie czuje.

Kupiłem budapeszteńską gazetę.

Wieczorem przeczytałem wiadomości dnia, cze-

go nigdy dotychczas nie robiłem. Obce wiadomości, z obcych miast, o obcych wydarzeniach. W Paryżu zawalił się dom. Zginęło troje ludzi. W Dobóvárze parobek zabił swojego gospodarza. Służąca w stolicy zostawiła otwarty kurek od gazu, zmarła. W Chinach spustoszenie sieje głód. Gdy człowiek uważnie przejrzy dziennik, ma wrażenie, że życie wszędzie na świecie jest serią niezastudzonych nieszczęść... To, co dzieje się poza tym, jest tak podrzędne, że w codziennych gazetach nie zasługuje na wzmiankę. Nigdy na przykład nie przeczytałem, że Mária X., bezgranicznie szczęśliwa, szła na targ, śpiewając, albo że pułkownik Z. był w doskonałym nastroju przez cały dzień. Jakby to w ogóle nie było ważne. To, o czym warto mówić, to kurek od gazu, tramwaj, siekiera, ogień, woda, spustoszenie. To, że cierpimy. Że cierpimy niewinnie. Pouczająca to rzecz od czasu do czasu poczytać sobie wiadomości dnia. Uspokoilem się, gdy pomyślałem, że przecież coś mnie łączy z ludźmi, z każdym człowiekiem, bo wszyscy cierpią, bo ja też cierpię.

13 czerwca

Przyszedł Kudlicsek i w trakcie naprawiania żaluzji wyraził opinię, iż mieszkanie po przestawieniu mebli wygląda odrobinę gorzej niż przedtem. Rzecz w tym, że teraz jest mniej mebli w moim pokoju, ponieważ wszystkie zbyteczne przesunąłem do jadalni. W pokoju nie ma teraz nic więcej oprócz łóżka, biurka, dużej szafy i trzech krzeseł. W ogóle zauważyłem, że Kudlicsek węższy i wciąży nie może

zaspokoić swojej ciekawości. Poczęstowałem go palinką i dałem mu pięć koron. Dużo gadał. Potwierdził wiadomość, że Mészáros już nie chodzi na koniec miasta. Dyrektor już nie dowiaduje się u niego o Mészárośa, powiedział bezwstydnie.

— No, a o kogo — rzuciłem — pyta?

Wzruszył ramionami, dość nawet wyniośle:

— Zawsze o kogoś pyta — odrzekł. Nie może mi powiedzieć, o kogo. Muszę to uznać. Zresztą, to nie jest ważne. Muszę uznać, że nie może mi powiedzieć.

— Kudlicsek — powiedziałem — ale tak całkiem poufnie: czy przypadkiem nie chodzi o mnie?

Na chwilę przerwał pracę i skromnie przyglądał się czubkom butów.

— To tylko plotka, proszę pana — rzekł wykrętnie.

— Mówcie wreszcie, Kudlicsek! — nie ustępowałem.

— Nic takiego... — powiedział. — Właśnie o tym gadają w mieście... I że jeszcze pan profesor Szilassy mówił o tym w swoim czasie. Słowem, że pan profesor wybiera się na emeryturę.

Zdaje się, że zbladłem. Musiałem usiąść.

— Ja, Kudlicsek? — spytałem. — Jesteście pewni?... No, a dyrektor?... Co pan profesor Szilassy mówił w swoim czasie?

— Tylko to, proszę pana, że pan profesor jest bardzo nerwowy.

— No, a dyrektor?

— Też to powiedział. Że pan profesor jest bardzo nerwowy. No więc, proszę pana, o tym mówią. Że pan profesor jest wyczerpany. Że uczy już od dwu-

dziestu ośmiu lat. I że pan kurator też zauważył, że pan profesor jest nerwowy.

— W jakim sensie jestem nerwowy, Kudlicsek?

Zszedł z drabinki. Zrobił nieokreślony ruch ręką. Pozbierał narzędzia:

— W pospolitym sensie, panie profesorze. Pewien uczeń zwrócił uwagę pana dyrektora na pana profesora. Uczeń z klasy pana profesora.

— Madár — powiedziałem.

— Ten sam — potwierdził. — Poskarżył się, że pan profesor nigdy nie wywołuje go do odpowiedzi. I że to może go kosztować stypendium. I że pan profesor zachowuje się nerwowo w trakcie lekcji. Pan dyrektor, ma się rozumieć, wyrzucił go. Jednakowoż później powiedział mi... Pan profesor zna przecież pana dyrektora...

Spojrzał na mnie z dziwnym i bezczelnym uśmiechem. Nachyliłem się ku niemu:

— Żebyście mieli mnie na oku... co, Kudlicsek? Tylko szczerze. Ze mną możecie otwarcie. No i cóście zauważyli?

— Prawdę powiedziawszy, nic, panie profesorze — rzekł przyjaźnie. — Pan dyrektor polecił mi to tak w ogóle... Że niby ja dużo chodzę po mieście i słyszę, co tam ludzie mówią. No więc, jaka jest przyczyna nerwowości pana profesora? Pan profesor zna przecież pana dyrektora. Jego, proszę pana profesora, interesuje tylko dyscyplina. Tak to zwykł nazywać. Powiada, że to jego obowiązek. To ja naprawdę mogłem meldować o panu profesorze tylko to, co najlepsze. A jaka niby jest przyczyna nerwowości pana profesora? Bóg raczy wiedzieć. A może nie ma

żadnej przyczyny. Sam pan profesor wie to najlepiej.

Zrobił pauzę.

— Tak to wygląda, proszę pana — rzekł wyniośle, trochę się przy tym nadymając — że chyba nie ma żadnej przyczyny. Pan profesor Mészáros też nie miał żadnego powodu, a pewnego dnia zrobił się nerwowy.

— Co chcecie przez to powiedzieć, Kudlicsek? — zapytałem. — Chyba nie to, że pan profesor Mészáros...

Kudlicsek przyłożył rękę do serca:

— Ja, panie profesorze? Przecież pan profesor zna mnie. Chodzi tylko o to, że zamierza pan przejść na emeryturę. O tym mówi się w mieście. No i że pan profesor jest zmęczony i że potrzebuje spokoju. Po dwudziestu ośmiu latach...

— No, a wy, Kudlicsek? To znaczy, wy osobiście? Coście zauważyli?

Poskrobał się po brodzie:

— Ja zauważyłem tylko to, że pan profesor zgolił zarost.

— To nietrudno było zauważyć — rzekłem, nie kryjąc zniecierpliwienia. — Co poza tym?

— Poza tym nic. I że pan profesor całymi dniami spaceruje... Nie mogłem powiedzieć nic innego. Pan dyrektor też powiedział, że to będzie to. Że pan profesor jest zmęczony i chce pójść na emeryturę.

— Powiedźcie mi, Kudlicsek — zwróciłem się do niego niemal poufale. — Naprawdę nic osobliwego? Nie widzicie na mnie żadnej zmiany? To znaczy, w moim głosie, w moim spojrzeniu, w moim za-

chowaniu? Rozumiecie, o co was pytam. Spójrzcie no, Kudlicsek, człowiek się starzeje. Ani się spostrzegłem. I oto pewnego dnia mogę pójść na emeryturę.

— Nic, proszę pana. Poważnie, nic. Jeśli interesuje pana profesora, to tyle mogę powiedzieć, że... Ale to nie może interesować pana profesora.

— Nawet nie wiecie, jak bardzo mnie interesuje. Mówcież, Kudlicsek. Więc...

— Proszę nie wziąć mi tego za złe, ale czasami, w czasie spaceru, zatrzymuje się pan profesor i na jakieś pięć, dziesięć minut pozostaje w jednym miejscu. I to wcale nie przed wystawą, byle gdzie. Przy staje, patrzy przed siebie i rozmyśla.

— Może jeszcze mówię, co, Kudlicsek? Poruszam wargami i coś tam bezgłośnie mówię. Nie?

— Co to, to nie — zaprzeczył stanowczo. — Tylko przystaje pan i patrzy przed siebie. Gdybym się uklonił, to pan profesor by mnie nie zauważył. Myśli pan o czymś. Ostatnim razem — proszę nie mieć mi tego za złe — przez dziesięć minut stał pan profesor przed lampą gazową! Akurat przechodziłem tamtędy i ukloniłem się, ale pan profesor nie był łaskaw mnie zauważyć. Tyle tylko, że się uśmiechnął, potrząsnął głową i poszedł dalej.

— Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową?

— Tak. Niechybnie pan profesor rozmyślał. I to już wszystko.

— I to już wszystko — powtórzyłem. — No, proszę, Kudlicsek, naprawdę pierwszorzędnym z was obserwator. Nie miałem pojęcia, że taki doskonały z was obserwator. Jestem wam niezmiernie wdzięczny za wszystko, coście mi tu powiedzieli. Macie ab-

solutną rację. Sam zauważyłem, że ostatnimi czasy bywam roztargniony. Wiecie, Kudlicsek, to przychodzi z wiosną. Może też i ludzie gadają nie całkiem bezpodstawnie, kiedy mówią, że od przyszłego roku idę na emeryturę. To nie jest niemożliwe. Ale to jeszcze nie jest pewne. Nic nie jest pewne. Jestem zmęczony — i to jest fakt. To, co tutaj mówię, niech Kudlicsek zachowa dla siebie. Świetny z was człowiek. Nade wszystko zaś doskonały obserwator! Chcę was o coś prosić, Kudlicsek...

— Słucham pana profesora — powiedział uprzejmie.

— Chciałem was poprosić... Dużo chodzicie po mieście, co? Huk roboty, co? No więc, gdy zobaczycie mnie na ulicy... tak, jak żeście to dopiero co powiedzieli... Wtenczas podejdźcie do mnie i zwróćcie mi uwagę... Rozumiecie, Kudlicsek? Pozdrówcie mnie albo powiedzcie coś. Zrozumieliście?

— Przepraszam — powiedział zmieszany — to znaczy, że ja mam zagadnąć pana profesora?...

— Jak najbardziej, Kudlicsek, jak najbardziej.

— Tak jest!

— Możecie odejść — powiedziałem. — Znaczy, Madár był u dyrektora? — spytałem, gdy już przekraczał próg. — Ten przyszczyt?

— Tak, panie profesorze, ten przyszczyt — odrzekł przez ramię.

— Dobrze — rzekłem. — Możecie odejść. A więc tak, jak mówiliśmy. Pierwszorzędny z was człowiek, Kudlicsek.

Kudlicsek naprawdę jest wspaniałym człowiekiem. Myślałem o całej sprawie i czuję, że wszystko

mi wytłumaczył. Jeżeli jestem tak dalece roztargniony, to nic dziwnego, że ludzie gapią się na mnie. Pubudliwość wysokiego stopnia. Przystaję na ulicy, gdziekolwiek, sterczę w jednym miejscu kilka minut i patrzę przed siebie... typowe roztargnienie. Belferska dolegliwość. Prawie się uspokoiłem, że to tylko to. Mogę być spokojny, ponieważ Kudlicsek powiedziałby mi, gdyby tam było coś jeszcze... To znakomity pomysł: mieć baczenie na siebie wespół z Kudlickiem! Roztargnienie. Bardzo uspokoił mnie fakt, że to tylko roztargnienie.

Dziwne, ale pamiętam tę scenę, o której wspomniał Kudlicsek. Kiedy stałem na ulicy, uśmiechałem się, potrząsałem głową, wreszcie poszedłem dalej. Naturalnie, nie zauważyłem, że tak długo wystaję w jednym miejscu, jak to ujął Kudlicsek. Wydawało mi się, że to wszystko trwa chwilę. Pomyślałem wtedy, pamiętam to bardzo wyraźnie, czy nie byłoby to możliwe, iżbym pewnego dnia poprosił ją o ołówek? Mógłbym jej powiedzieć, że mój własny zostawiłem w domu. A nazajutrz nie oddałbym go jej, owszem, w zamian dałbym jej nowy! Nie ma w tym nic niemożliwego. Nie mogę wszak prosić o coś niemożliwego. O nic nie mogę jej prosić. A potem przyszło mi do głowy coś takiego: ja proszę ją o ołówek, a z miejsca zrywa się Willinszky, nic nie mogę na to poradzić, przyjmuję ołówek od niego. Ołówek to nic takiego, a przecież trudniej go zdobyć, niż sądziłem. Dlatego potrząsałem głową i uśmiechnąłem się. Dziwi mnie jedynie, że trwało to aż dziesięć minut!

A więc Madár poszedł na skargę do dyrektora.

Madár, któremu kupiłem płaszcz, gdy był chory. Dyrektor słusznie uczynił, wyrzucając go z gabinetu. Ja też go wyrzucę. Jutro wezwę go tutaj, do mojego mieszkania, i powiem mu prosto w oczy, że jest obłudnikiem i fałszywcem, po czym wyrzucę go. Żeby nie uszło mu na sucho, żeby zapamiętał sobie ten ostatni tydzień.

Chociaż jutro nie mam lekcji. Pojutrze. Każę mu przyjść po południu i wyrzucę go. Może zresztą nie zaszkodzi pomówić z nim. Być może jestem niesprawiedliwy. Już od dawna przygotowuję się do tej rozmowy.

Jest bardzo ciepło. Dlatego niezmiennie noszę mój nowy szary garnitur. Już nie wygląda tak jak pierwszego dnia. Jest zupełnie wymięty. Nie pamiętałem, żeby go wyprasować, jak zwykle to robić ze starymi garniturami.

Słyszę moją gosposię, która się pakuje. Poprosiłem, aby zabrała ze sobą kilka zbytecznych dla mnie rzeczy kuchennych. Na cóż mi te garnki i miski. Jej się może przydadzą, a mnie sprawi przez to radość. Spodziewam się, że sporo tego zagarnie, bo oczy jej rozbłyły, gdy zrozumiała sens mojego przyzwolenia. Podejrzewam, że jadalnię też nieźle złupi. Nie żał mi niczego, niech zabiera. Co tylko zechce, byleby sobie poszła. Swoją drogą, czy to nie dziwne, aby taka stara kobieta, która już jedną nogą jest w grobie, z taką ochotą zgarniała pod siebie jakieś garnki i szklanki. Bo ja z każdym przedmiotem, o który staję się uboższy, odczuwam wielką ulgę, i będę rad, gdy wreszcie odejdzie i sam zostanę w domu.

W moim pokoju panuje teraz znośny porządek.

Niewiele rzeczy i każda na swoim miejscu. Okropny upał, chce mi się pić. Jednakże na próżno piję wino, nie gasi bowiem mojego pragnienia.

14 czerwca

Dzisiaj rano gospośnia zabrała swoje manatki. Wczesnie rano, kiedy jeszcze spałem. Wyjeżdża wieczornym pociągiem. Kiedy wszedłem do jadalni, rzuciło mi się w oczy, że z kredensu ubyta połowa rzeczy. Pewien kolejarz zgłosił się po bagaż, który już nadała. Cieszę się, że wyniósł tyle niepotrzebnych rupieci. Co prawda nie upoważniłem jej do zabrania rzeczy z kredensu, ale nawet i z tego się cieszę. Wszystko jest zbyt cenne. Niech bierze.

Przed południem musiałem udać się do banku, aby pobrać pieniądze, jakie mam wypłacić mojej gospośni. Wykorzystałem tę okazję, aby zapytać, ile właściwie mam jeszcze pieniędzy. Więcej, niż sądziłem. Mam jeszcze jedenaście tysięcy trzysta koron. Zapytałem również, czy wydadzą mi pieniądze od razu, gdybym chciał je podjąć, czy też potrwa to jakiś czas? W odpowiedzi usłyszałem, że wypłacą mi od razu, tylko coś tam odliczą. Zapytano mnie, czy chcę je wyjąć? Zjawił się sam dyrektor i zapytał mnie, czy to prawda, że kupuję dom, ten, w którym mieszkam? Rozgniewało mnie to, co znów za brednia. Odrzekłem, że nie kupuję domu, ale bardzo możliwe, że potrzebne mi będą moje oszczędności. Bo to prawda. Pożegnałem ich, przy czym niewątpliwie byli dla mnie bardzo uprzejmi.

Odkąd wpadłem na pomysł, aby wyjąć pieniądze

z banku i trzymać je w domu, nie uważam go za taki zły. Wiem, że każdej chwili może się coś zdarzyć, otrzymam jakąś nagłą wiadomość i będę musiał wybrać się w podróż. Niczego nie można wykluczyć. Może napisze do mnie Timár i zaprosi do siebie. A to nie byłoby najgorsze. Jeżeli Timár mnie zaprosi, natychmiast muszę wyruszyć w drogę. Teraz, gdy za kilka godzin opuści mnie gosposia, w domu zapanauje większy ład. Nareszcie będę wiedział, że jestem sam. Że nikt mi nie może zakłócić spokoju. Czekam, aż nastanie wieczór. Myślę, że będę o wiele spokojniejszy, gdy pozostanę w domu zupełnie sam.

Tak, gdy przyniosę pieniądze do domu, będę je mógł trzymać w zamkniętej szufladzie, w tym zeszycie. W ten sposób będę je miał w każdym momencie do dyspozycji, a procenty wcale mnie nie interesują. Jutro, gdy tam pójdę, powiem bankowi, żeby przygotował wypłatę moich pieniędzy. Tutaj, w tym zeszycie, znajdują się naprawdę na swoim miejscu. Żaluzje są teraz szczelne; nikt nie zajrzy do środka, jeśli nie chce. Odszukałem klucz do drzwi od pokoju. Teraz, gdy będę już sam, zamierzam na noc zamykać pokój na klucz. Będę również osobiście zamykał bramę. Ubrania mam tutaj w pokoju, kazałem dostarczyć duży kufer, aby mieć je pod ręką, gdyby były mi nagle potrzebne.

15 czerwca

Gosposia wyjechała wczoraj wieczorem. Na pożegnanie znów się rozpląkała i chciała mnie pocałować w rękę. Dałem jej trzysta koron. Kolarz zgło-

sił się po jej bagaż. Musiałem wypchnąć te babinę z mieszkania, w końcu to ona upierała się przy odejściu. Nareszcie jestem sam.

Z dochodzącą uzgodniłem, że będzie przychodzić wcześniej rano, o siódmej, kiedy jeszcze jestem w domu. Wysprząta pokój i pójdzie sobie. Zaraz po niej ja też wyjdę z domu, pozamykam wszystkie drzwi na klucz i opuszczę żaluzje.

Ta staranność jest mi teraz niezbędna: pieniądze przyniosłem z banku do domu, leżą już w szufladzie, w tym zeszyt, między okładką a pierwszą kartką. Jedenaście tysięcy trzysta. Dobrze przeliczyłem. Wypłacono bez żadnych uwag. Całą sumę wręczył mi dyrektor osobiście. Nie zadał żadnego pytania; wydaje się, że wczoraj sprawiłem mu przykrość.

A ja uważam, że teraz pieniądze są w dobrym miejscu.

Jestem zupełnie sam w domu. Mogę wyjść, mogę przyjść, nikt mnie nie pilnuje. Mógłbym przyjmować gości, nikt by o tym nie wiedział. Ktokolwiek mnie odwiedzi, nie zostanie przez nikogo dostrzeżony.

Opuściłem żaluzje, zamknąłem drzwi na klucz. Teraz nikt mnie nie obserwuje. Nikt mnie nie słyszy. Mógłbym coś wykrzyknąć, być z kimś sam na sam — nikt nie widzi, nikt nie słyszy, jestem sam.

Dzisiejszego popołudnia zapakowałem duży kufier. Chodzi mi o to, aby wszystko było na swoim miejscu. Jeżeli coś się zdarzy, jeżeli będę musiał wyjechać, wszystko będzie pod ręką. Do kufra włożyłem dwa garnitury, dwie pary butów i bieliznę. Ku-

fer postawiłem w nogach łóżka. Kluczyk od szuflady, w której leżą pieniądze, schowałem w materacu. Nikt go tam nie znajdzie.

Muszę uważać, konieczna jest zdwojona ostrożność. Miasto jest małe. W każdej chwili może rozjeść się wieść, że trzymam w domu pieniądze. Gdy przebywam poza domem, ktoś może się włamać. Mogą mnie zaatakować w nocy. Nie mam żadnej broni. Muszę się przygotować na każdą ewentualność. W tym mieście, gdzie wiedzą o mnie wszystko, także to, że od czasu do czasu przystaję na ulicy i zamysłam się, muszę się liczyć z tym, że wyczują coś z zapachu tych pieniędzy, które trzymam w domu. Muszę się zatroszczyć o jakąś broń. Nie znam się na mechanizmie broni palnej. Na wszelki wypadek przyniosłem z kuchni siekiere i wstawiłem ją za nocny stolik. Jeśli się obudzę, słysząc, jak ktoś grzebie przy oknie albo podważa drzwi, w jednej sekundzie będę miał w garści siekiere. Tego potrzebuję, to jest najodpowiedniejsze dla mnie narzędzie obronne.

Nie wiadomo, co miasto planuje przeciwko mnie. Może ludzie myślą, że ukrywam u siebie jakiś skarb. Na wszelki wypadek doprowadzam dom do stanu gotowości obronnej. A więc dyrektor liczy na to, że z nowym rokiem szkolnym przejdę na emeryturę? Ci ludzie wszystko wiedzą, znają najtajniejsze myśli człowieka. No a Madár poskarżył się na mnie dyrektorowi?...

Teraz przypomniałem sobie, że dzisiaj chciałem zawiadzić do siebie Madára, ale w trakcie lekcji nie miałem czasu, aby się nim zajmować. A więc jutro. Na pewno jutro. Dzisiaj nie przyszło mi nawet do

głowy, że Madár jest na świecie. Chyba w ogóle go nie widziałem.

L. była dzisiaj w granatowej sukience. Jeszcze nigdy jej nie widziałem w granatowej sukience. Był to jakiś błyszczący materiał, nie jedwab, ale podobny. Letnia sukienka z krótkimi rękawami. Dzisiaj pierwszy raz zobaczyłem jej ramiona. Są śniade, szczupłe i długie.

Jeszcze nigdy nie widziałem tyle jej nagiego ciała. Na piersi ta sukienka też ma głębsze wcięcie. Oba ramiona, od łokci począwszy, były obnażone. Łokcie ma odrobinę spiczaste. Musiała być zmęczona, może to z tego upału, bo siedziała z łokciami opartymi o ławkę, wsparłszy głowę na dłoni.

Dzisiaj miała szczególnie zły dzień. Podkrążone oczy, twarz szczuplutka, usta spierzchnięte i bezkrwiste. Może dużo się uczyła. Za dwa tygodnie matura. W jakiś sposób chciałbym dać jej do zrozumienia, że egzamin dojrzałości jest jednym wielkim szwindlem i nie ma potrzeby, by aż tak gorliwie studiowała. Prawdopodobnie nie śpi po nocach. Wczoraj po jedenastej w nocy przechodziłem koło nich i na prawo od bramy, tam gdzie jest ich mieszkanie, jeszcze widziałem światło. Chciałbym jej powiedzieć, że ucząc się tak forsownie, popełnia prawdziwą nieroztropność.

Dzisiaj zdawało mi się nierealne, aby niczego nie zauważyła, ale to niczego. Moim zdaniem masaże Venczla jednak pomagają. Dwie bruzdy po obu stronach ust nie są chyba już takie głębokie. Gdy człowiek popatrzy z bliska, jeszcze je dostrzeże, ale z daleka, zwłaszcza rano, kiedy wracam prosto od

fryzjera, i jeśli po goleniu przypudruje mi twarz, le-
dwie co widać.

To niemożliwe, aby niczego nie zauważyła. Ni-
czego! Choćby tego, że żyję. Jeśli ktoś myśli o ja-
kimś drzewie tak jak ja, całym sobą, całym swoim
życiem, całym ciałem, całą duszą, jeśli człowiek my-
śli tak o drzewie, to takie drzewo musi przyjąć coś
do wiadomości. To niemożliwe, żeby czasami, choć-
by na chwilę nie zauważyła, że ja też jestem na tym
świecie, że co rano od dziewiątej do dziesiątej wy-
kładam Tacyta. Niemożliwe, aby nie było żadnej dro-
gi pomiędzy człowiekiem i człowiekiem. Drogi bo-
daj tak cienkiej jak włos, po której przetoczy się kro-
pelka niepokoju. A to byłoby już немало: jedna
kropelka niepokoju. I od tej kropelki ta druga oso-
ba nie miałaby już spokojnego snu.

To uczucie, że spadam i opadam, powraca każde-
go ranka. Budzę się razem z nim. Po obudzeniu leżę
jeszcze przez kilka minut jak odurzony, łudząc się,
że to wszystko tylko śnię, że zaraz się obudzę i wszyst-
ko będzie w porządku, że to wszystko to tylko zły
sen. Ł. i Madár, ja, szkoła i miasto. Że wszystko jest
w porządku, a mnie nic do nikogo. Z tym się bu-
dzę. A potem już wiem, że tak nie jest, ale jeszcze w
półśnie, przerażony próbuję na gwałt spać dłużej, w
nadziei, że może uda się ponownie wepchnąć wszyst-
ko w sen, że uda się to wszystko zwalić na sen.

Wreszcie budzę się i już rozumiem, że to chodzi
o mnie. Wszystko jest prawdą. Muszę wymyślić coś,
co przyniesie ulgę. Jestem jak ktoś, kto budzi się z
narkozy i widzi, że ukryto przed nim prawdę, bo ma
odciętą nogę albo rękę. Wszystko na próżno, nie-

szczęście jest tutaj. I błady opada na poduszki, zamyka oczy.

Sądzę, że gdybym wyjechał, szybko, jeszcze dzisiaj, teraz, gdy tylko napiszę te słowa, gdybym zabrał kufer, ten zeszyt, pieniądze, udał się na stację i dokądś wyjechał, może jeszcze bym się wyleczył. Może zdołałbym przetrwać. Wszystko można wyleczyć, o ile w porę poda się lekarstwo. Być może podróż jest tym, do czego częściowo się przygotowywałem, to znaczy: ucieczką; może szykuję się właśnie do ucieczki. Nie wiem. Może jeszcze nie jest za późno. Ale ja wiem, że nie mam już dość sił, aby wybrać się w podróż. Po co miałbym wyjeżdżać, skoro jeszcze przez dwa tygodnie mogę ją oglądać.

Już jest lato, czuję to nawet przez zamknięte okno. Już jest lato na zewnątrz, w mieście. Wielu ludzi przechodzi pod moim oknem. Czasem przechodzą pomału, jakby specjalnie zwalniali krok przed moim domem. Zdaje się, że wcześniej też stał ktoś przed moją bramą. Każdej chwili czekam na dzwonek. Mogą przynieść list, może ktoś przyjść do mnie.

A jednak teraz! To pora listonosza. Zatrzymał się przed domem.

List od Timára. Jest na nim niemiecki znaczek. List gruby, dziesięć złożonych kartek, które wyrwał z notesu. Teraz wklejam te kartki do mojego zeszytu, kopertę przyklejam do pierwszej kartki, obok pieniędzy. Pisz z Hamburga. Wygląda na to, że pisał, leżąc w łóżku, ponieważ bazgrał nie piórem, lecz ołówkiem.

Nie zaprasza. Po przeczytaniu najpierw poczułem zawód, że mnie nie zaprasza. Bo miałem jakąś

tam nadzieję, że zaprosi mnie do siebie. Teraz widzę wyraźnie, że wszystko, całą tę moją ucieczkę postawiłem na jedną kartę. Nie zaprasza i nie podaje swojego adresu.

Pisze, że „teraz zajmuje się czymś innym”. Czym się zajmuje? Co znaczy to „czymś”? A to, co wyczytałem z mojego listu, to jest to, czym ja teraz „zajmuję się”? Czy to w ogóle jest zajęcie? Nie rozumiem. Pisze, że jutro odpływa na Helgoland. Pisze o wszystkim, ignorując moje pytanie, na które chciałbym poznać jego odpowiedź. Pisze, że teraz nie może mi oddać stu koron, ale żebym się nie niepokoił. I że z jego gardłem jest znacznie lepiej. Pod koniec, ale to już naprawdę pod sam koniec listu, te oto krótkie i zwięzłe bazgroły: „...co się tyczy pana, bardzo się cieszę, że otrzymałem tak dobre wieści. Teraz niech pan tylko nie ucieknie tak, jak ja z cukierni. Cokolwiek się wydarzy, niech pan tam zostanie. Przekona się pan, że wszystko będzie lepsze od rejterady”.

Trzykrotnie przeczytałem ten list. Nic. Nie ma w nim niczego, co mogłoby mi pomóc. Timár też nie potrafi mi pomóc. Pisze, żebym został tutaj. A więc jestem już zupełnie sam. Nie pamiętam dobrze twarzy Timára. List wkleiłem do zeszytu, teraz już nie mam nikogo. Wychodzi na to, że w pewnych sprawach człowiek jest tylko sam ze sobą.

Około siódmej wyszedłem na miasto. Uderzyło mnie, że zmieniły się ludzkie twarze. Napotykam mnóstwo obcych twarzy. Może to z powodu lata. Szedłem ulicą bez kapelusza, to znaczy trzymałem kapelusz w ręce. Uważałem, by odpowiedzieć na każde powitanie. Pozdrowiałem pełnym głosem, i

rozdawałem ukłony na wszystkie strony. „Sługa unizony” — wołałem już z daleka ku nadchodzącemu nadzupanowi. „Witam wielmożnego pana”. Spotkałem Kudlicska, ukłonił się głęboko, ale nie przystanął. Minąłem go pospiesznie. Od czasu gdy przeczytałem list Timára, nie mogę opędzić się od wielkiej troski. Byłem śmieszny z tą moją wiarą, jakoby Timár mógł mi pomóc. Nikt nie może mi pomóc.

Bóg też nie może mi pomóc.

Około ósmej zdałem sobie sprawę, że stoję przed kaplicą Panny Marii. Bez namysłu wszedłem do środka. Zakrystian już wygasił świece. Palła się tylko wieczna lampka, trochę światła przenikało też przez okna. Usiadłem w ostatniej ławce, zwiesiłem głowę, przeżegnałem się, jak ktoś, kto się modli. I chyba nawet próbowałem się modlić. „Boże — zacząłem — daj nam chleba powszedniego”. Tu się zaciąłem. Potem przyszło mi do głowy to: „Ale odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy”. Sam już nie wiem. Komu mam wybaczyć? Jaka jest moja wina? Dalej modliłem się tak: „Boże, ja cierpię. Spraw, abym cierpiał mniej”. Ale nie czułem nic. Jeszcze jakiś czas posiedziałem, wreszcie wyszedłem na ulicę.

Stanowczo, w twarzach ludzi nastąpiła jakaś zmiana. Na kolację dużo jadłem i piłem. Na tym też schodzi czas. Po kolacji zaproszono mnie do kasyna, ale odmówiłem. Poszedłem na dworzec, czekałem na pewien pociąg. Teraz, kiedy już przeczytałem list od Timára, myśl o tym, że dokąds wyjadę, uważam po prostu za śmieszny. Nigdzie nie mogę wyjechać. Nie znam żadnego adresu.

Wymacałem ręką siekiereę, jest na swoim miejscu. Sprawdziłem też pieniądze, są w szufladzie, niczego nie brakuje. Pozamykałem drzwi, zaraz się położyę. Chciałbym polecić komuś moją duszę. Zdaje mi się, że istnieje taki zwyczaj. Komu mam ją powierzyć? Bóg mnie nie wysłuchał.

16 czerwca

Madár wyszedł przed godziną. Natychmiast, skoro tylko wyszedł, chciałem zanotować to, o czym rozmawialiśmy, ale nie potrafiłem, nazbyt drżała mi ręka. To bardzo dziwne, że drżała mi ręka, ponieważ byłem zupełnie spokojny. Nawet teraz drży, ledwie mogę stawiać te litery. Nie rozumiem, dlaczego drży, skoro jestem zupełnie spokojny.

Kilka minut przed dzwonkiem miałem uczucie, że oto nadeszła pora, muszę pomówić z Madárem. Czekałem od wielu dni, że w końcu znajdzie się jakiś powód ku temu. Ale on nie dał mi takiego powodu, nie mogłem z nim pomówić. Dzisiaj też nie dał mi powodu.

— Madár — powiedziałem pod koniec lekcji.

Po raz pierwszy nie wstał, ponieważ uznał, że się przesłyszał. Wtedy zwróciłem się bezpośrednio do niego:

— Proszę wstać — rozkazałem.

Wstał. Możliwe, że lekko zakręciło mu się w głowie, bo oparł się o ławkę.

— Proszę przyjść dzisiaj po południu do mojego mieszkania. O wpół do czwartej.

— Ja, panie profesorze? — upewnił się.

— O wpół do czwartej. Zrozumiano?
Namyślał się długo. Potem szybko odparł:
— Tak jest.

Rozległ się dzwonek. Nie patrząc na nikogo, opuściłem klasę. Kiedy wychodziłem, połowa klasy zapomniała wstać. Wszyscy patrzyli na Madára.

... Teraz, gdy już się to stało, zapisuję wszystko, o co pytałem Madára, ze zdziwieniem, że tak gładko mi to poszło. Jakbym się specjalnie do tego przygotował. Jakbym zawczasu poczynił sobie notatki, punkt po punkcie, pytanie po pytaniu.

A przecież nie przygotowałem niczego.

Przed wpół do czwartej przez kilka minut spróbowałem nie myśleć o tym, że przyjdzie Madár. Z gimnazjum poszedłem do restauracji, gdzie zjadłem obiad. Po obiedzie udałem się do Venczla, ponieważ rano wstałem późno i nie zdążyłem się ogolić. O wpół do trzeciej byłem już w domu. Pozamykałem drzwi i w ubraniu położyłem się na łóżku. Poczujęm przygniatający ból głowy, z tyłu, w części potylicznej. Przeleżałem tak blisko godzinę. Nie myślałem o niczym. Właściwie tylko o tym, że teraz mógłbym zasnąć, ale nie wolno mi, bo zaraz przyjdzie Madár.

Punktualnie o wpół do czwartej rozległ się dzwonek przy bramie.

Powoli wstałem, wypiliśmy szklankę wody. Poprawiłem włosy. Następnie zrolowałem jedną z żaluzji, aby wpuścić do pokoju światło. Wszystko to robiłem bardzo powoli, w sekretnej nadziei, jak sądzę, że czekanie znuży Madára, uzna, że nie ma mnie w domu, i odejdzie.

Ale znowu zadzwonił, i to natarczywiej.

Otworzyłem drzwi. Madár stał w bramie, z kapeluszem w ręce. Przyjrzałem mu się uważnie.

— Niech pan wejdzie — powiedziałem.

Nie przywitałem się z nim. Uderzające było to, że on również się nie przywitał... Poszedłem przodem, on za mną. Przeszliśmy przez jadalnię, tam odwróciłem się i zamknąłem drzwi do przedpokoju. Przez chwilę, pobieżnie i mgliście, pomyślałem, czy nie zamknąć ich na klucz. Ale Madár stał za moimi plecami i może wystraszyłby się, gdybym przekręcił klucz. Może zawołałby o pomoc. Nigdy nic nie wiadomo. Ludzie są nieobliczalni. Dlatego po prostu zamknąłem drzwi.

Przeszliśmy do mojego pokoju. Panował tam półmrok, ponieważ zwinąłem tylko jedną żaluzję. Podszedłem do biurka, usiadłem. Madár stał w drzwiach. Odwróciłem się.

— Proszę podejść bliżej.

Sądzę, że nie powiedziałem tego ani zbyt surowo, ani nazbyt grzecznie. Byłem zupełnie indyferentny. Czułem suchość w gardle. Madár zbliżał się powoli, odniosłem wrażenie, że bardzo powoli. Zatrzymał się przede mną na odległość kroku. Choć panował półmrok, wyraźnie widziałem, że bardzo zbladł.

Nareszcie mogłem dobrze mu się przyjrzeć. Pamiętam, że w pierwszej chwili był w tym jakiś przymus, jakaś niezdarna ciekawość i grubiańska radość, że nareszcie mogę mu się dobrze przyjrzeć z tak bliska. Dotychczas unikałem, na ile było to możliwe, patrzenia mu prosto w oczy. Teraz ogląda-

łem go bez pośpiechu, gruntownie. Włosy, uszy. Oczy i usta. Długo przyglądałem się jego ustom, dobrze je sobie obejrzałem. Na nogach miał czarne półbuty. Marynarka ciasna w ramionach, przykrótkie rękawy.

Rozmowę pamiętam tak dokładnie, jakbym ją sobie zapisywał, słowo po słowie. W pokoju było bardzo cicho i ciepło. Nikt nie przechodził ulicą.

Zachowanie Madára w pierwszych minutach było pełne skrępowania. Stał sztywno, z lekko pochylonymi ramionami, z głową, jak to miał w zwyczaju, odchyloną na bok. Ręce z zaciśniętymi palcami przyciskał do spodni na udach, jak żołnierz.

— Ile ma pan lat? — spytałem.

— Skończyłem osiemnaście, panie profesorze.

Odpowiedział cicho, ale spokojnie.

— Kiedy?

— W marcu.

— Matka nadal mieszka w Kóród?

— Tak.

— Wdowa?

— Tak.

— Pomaga panu?

Zamyślił się. Odrzekł niepewnie:

— Tak.

Obróciłem się do biurka, jakbym czegoś szukał.

— Po maturze wybiera się pan na uniwersytet? — spytałem, nadal czegoś niby szukając.

— Tak. — Jako że milczałem, dodał: — Do Budapesztu.

— Jak słyszę — powiedziałem — mówi się o niemal pewnym stypendium. Może je pan dostać, o ile

celująco zda pan egzamin dojrzałości i o ile ciało pedagogiczne poprze pana kandydaturę. Ta rekomendacja, naturalnie, zależy przede wszystkim ode mnie, od wychowawcy klasy. Liczy pan na to stypendium?

— Jeśli to możliwe... panie profesorze.

— Jeśli to możliwe — powtórzyłem za nim. — Bardzo słusznie pan to ujął. Jeśli to możliwe. Pytanie, czy to jest możliwe? Dlatego wezwałem pana.

— Panie profesorze — tym razem zaczął jeszcze ciszej. — Ja wszystko... Skoro już raz się ośmieliłem... Pan profesor był dla mnie taki dobry...

— Niech pan przestanie — przerwałem. Uniosłem ołówek i przyglądałem mu się, jak podczas wykładu. — Prawda to, że poskarżył się pan na mnie u dyrektora?

Madár patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem i nie odpowiadał.

— Że nie wywołuję pana do odpowiedzi?...

Żadnej odpowiedzi.

— Na mnie? Na swojego nauczyciela? Poszedł pan z donosem. Pan dyrektor, naturalnie, wyrzucił pana, prawda to?

— Prawda — potwierdził i dalej patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem.

— Czy uważa pan za prawdopodobne, że po czymś takim zarekomenduję pana do stypendium?

Milczeliśmy. Madár nie patrzył na mnie. Wbił wzrok w czubki półbutów.

— Niech pan odpowie.

— Panie profesorze — powiedział — to prawda. Byłem zrozpaczony.

— Był pan zrozpaczony?

— Tak.

— Dlaczego? Czy ja jestem dla kogoś niesprawiedliwy? Czy nie otrzymał pan na półrocze oceny celującej? Czy nie oceniałem każdego pańskiego wypracowania? Czy stawiałem tamę pańskim postępom w nauce?

— Nie był pan łaskaw wywoływać mnie do odpowiedzi — powiedział jęklwym głosem. — Byłem zrozpaczony, panie profesorze. Robiłem wszystko, aby zasłużyć na przychylność pana profesora. W moim przypadku, panie profesorze, wszystko zależy od tego stypendium. Jeżeli pan profesor postawi mi zły stopień... Byłem zrozpaczony. Przez pół roku nie był pan profesor łaskaw wywołać mnie do odpowiedzi. Myślałem, że pan profesor nienawidzi mnie. Że znienawidził mnie pan za coś. Nie wiedziałem, za co. Ja, panie profesorze, uczyniłbym wszystko, żeby zasłużyć na łaskę pana profesora...

Przecięgnął dłonią po czole. Mówił przez nos.

— Dlaczego mówi pan przez nos? — spytałem nieoczekiwanie.

— Dlaczego? — powtórzył zaskoczony. — Mam skrzywienie przegrody nosowej.

Sięgnąłem po cygaro, zapaliłem.

— Powiada pan — przeciągałem słowa — że nienawidzę pana. Skąd pan to wziął, przyjacielu? Nienawiść, to wielka sprawa. Żeby kogoś nienawidzić, to musi być naprawdę ktoś. Pan znaczy dla mnie o wiele za mało, abym mógł go nienawidzić.

— Tak jest — przyznał niemal z wdzięcznością.

— Powiada pan też — kontynuowałem niespiesz-

nie — że uczyniłby dla mnie wszystko, ażeby — zakładając, że nienawidzę pana — zasłużyć sobie na moje wybaczenie. No, no, czy aby wszystko?

— Panie profesorze — powiedział bardzo wolno — ja rozumiałem to tak, że...

— Moment — przerwałem mu. — Powiedzmy, że ukląkłby pan i pocałował mnie w rękę, prosząc w ten sposób o wybaczenie... tak?

Zaczęły mu drżeć usta:

— Uklęknąć...

— I prosić o wybaczenie... starego, zdziczałego osła. Tak?

Patrzył mi w oczy osłupiałym wzrokiem.

Wstałem. Podszedłem do okna.

— Który poluje gdzie indziej — powiedziałem. — A jeżeli polowałem we właściwym miejscu, przyjacielu? Co pan na to?

Pochylony do przodu, patrzył w moją twarz wybałuszonymi oczami. Usta drżały mu bardzo wyraźnie.

— Co to był za list? — spytałem.

— To... po prostu list... Panie profesorze — odrzekł.

— Kto to jest Lala?

Zwiesił głowę.

— Margit Cserey.

— Dlaczego Lala? Co to niby jest, Lala? Kto nadał jej to imię?

Odchylił głowę na bok.

— Ja.

— Kiedy?

— Przy okazji.

— Kiedy?

Nie odpowiedział.

— Dlaczego przyszło panu do głowy akurat to imię: Lala? — zapytałem, strącając popiół z cygara.

— Nie wiem — odparł.

— Po prostu uznał pan, że pasuje do niej?

— Tak — przyznał niepewnie.

— Nie nadał jej pan jeszcze jakiegoś imienia? — spytałem.

— Nie.

— Dobrze.

Patrzyliśmy na siebie. Byłem zupełnie spokojny. Uspokoiło mnie to, że nie dał jej jeszcze innego imienia.

— Zaczniemy od początku — pierwszy przerwałem milczenie. — Ostrzegam, że pomoc może tu jedynie całkowita szczerłość. Pan zdaje sobie sprawę, że jeśli pokażę ten list ciału pedagogicznemu, zostanie pan relegowany.

— Tak jest — powiedział z trudem.

— Dobrze. Zaczniemy od początku. Kiedy pan ją poznał? W jakich okolicznościach?

— Ależ... panie profesorze... — wyjąkał — w klasie.

— Zeszłego roku?

— Tak.

— Przedtem nie znał jej pan?

— Nie.

— Z widzenia też nie? Na ulicy? Co?

— Nie... Nie przypominam sobie.

— Kiedy to się zaczęło?

Zrobił krok do tyłu.

— Ale co... panie profesorze?

- Już w zeszłym roku?
— Nie — odrzekł cicho.
— W tym roku?
— Tak — potwierdził niepewnie.
— Już jesienią?
— Nie... panie profesorze.
— W czasie świąt Bożego Narodzenia?
Milczał.
— W czasie świąt Bożego Narodzenia? — powtórzyłem pytanie.
— Przed świętami — odparł.
— Gdzie?
— Nie wiem... panie profesorze.
Niezmiernie się zdziwiłem.
— Czego pan nie wie? Nie wie pan, kiedy to się zaczęło?
— Nie wiem.
— To niemożliwe — powiedziałem. — Jeszcze raz ostrzegam, że tylko całkowita szczerłość! Niech pan się weźmie w garść, Madár. Jakby klęczał pan przed konfesjonatem. Proszę odpowiadać na pytania. Gdzie to się zaczęło?
— Wydaje mi się... że na ślizgawce — odrzekł z udręką w głosie.
— Na ślizgawce?
— Tak jest.
— Dobrze — powiedziałem. — Słowem, na ślizgawce.
Nigdy nie pomyślałem o tym. Na ślizgawce? Może przez trzy tygodnie trzymał mróz. Dopiero od dwóch lat mamy w mieście lodowisko. Nigdy bym nie pomyślał, że na ślizgawce też może się to zacząć.

Dwukrotnie przemierzyłem pokój.

— Zwracam panu uwagę, Madár — powiedziałem po chwili. — Teraz pan mi wszystko opowie. Z bezwzględną szczerością. Jak swojemu spowiednikowi. Tylko to może pana uratować. Czy pan mnie zrozumiał? Opowie mi pan wszystko. Odpowie pan na każde moje pytanie. Gdzie, kiedy, jak? Posłuchajmy!

Z powrotem usiadłem przy biurku.

— Czy chce pan usiąść?

Byłem się, że zemdleje. Ale nie chciał usiąść.

— Panie profesorze — zaczął drżącym głosem — tu nie ma nic do opowiedzenia. Ten list... To straszne, że pan profesor znalazł ten list. To był tylko taki list, jaki się pisze podczas lekcji. Proszę nie wziąć tego za złe. Proszę mi wybaczyć. Ja, panie profesorze, tak tego nie rozumiałem. To tylko takie zwroty, jakich używają uczniowie.

— Doprawdy? — zdziwiłem się. — Chwileczkę. Od kiedy to uczniowie używają takich zwrotów jak: „Moja droga”? Proszę mi odpowiedzieć na to pytanie! I niech pan teraz nie kręci! „Moja droga”?

— Tu nie ma nic do opowiedzenia. Dla mnie ta... Cserey była po prostu uczennicą.

Ktoś przeszedł pod oknem. Obaj umilkliśmy, kiedy wymówił jej nazwisko. Czekaliśmy, aż kroki się oddalą.

— Proszę mi odpowiedzieć jasno: co jest między wami?

— Nic, panie profesorze.

— Słowem, nie odpowie pan.

— Nic, panie profesorze... ta Cserey...

— Proszę, tylko bez nazwiska — powiedziałem.
— To zbytuczne. Wiem, że nie mówi pan o Lángos.
Co z nią?

— Z kim?

— Z nią! Proszę mi odpowiedzieć: co jest między wami?

Przestąpił z nogi na nogę.

— Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi — powiedział.

— Przyjaciółmi — powtórzyłem za nim. — Dobrze. Pocałował ją pan?

Drżała mu ręka, kiedy podnosił ją do czoła. Było zroszone potem. Zastanawiał się. Cicho, ale stanowczo powiedział:

— Tak.

Długo milczeliśmy.

— Ile razy? — zapytałem, podobnie jak on, cicho.

— Nie wiem — odparł.

— Nie wie pan? Ile razy ją pocałował? Codziennie?

— Tak.

— Od kiedy?

— Od... od zimy.

Patrzył na mnie bardzo dziwnym wzrokiem. Stanowczym, zdecydowanym. Ja też tak samo patrzyłem na niego. Teraz obaj mówiliśmy ściszym głosem:

— Pierwszy raz, gdzie?

— Na ślizgawce.

— Kiedy to było?

— Siedemnastego stycznia.

— Ile razy?

- Raz.
- Co ona powiedziała?
- Nic.
- Ani słowa?
- Nic nie powiedziała.
- Nie płakała?
- Nic.
- Drugi raz, kiedy?
- Nazajutrz po południu. Kiedy udzielałem jej korepetycji.
- Ile razy?
- Nie wiem.
- Kilka razy?
- Tak.

W tamtej chwili znów miałem to uczucie przypominające spadanie. Jakbym śnił. To była ta chwila, kiedy poczułem, że zaczynają mi drżeć ręce.

Muszę zaznaczyć, bo teraz wyraźnie przypominam sobie, że dotychczas to ja byłem stroną atakującą, Madár tylko się bronił i drżał. W tamtej chwili poczułem już, że tracę tę pozycję. Madár też to poczuł, ponieważ odpowiadał zdecydowanie.

- Czy całował ją pan w usta?
- W usta też — odrzekł.
- I w oczy?
- Także.
- W uszy także?
- Tak.

Coraz mocniej drżały mi ręce. Mówiliśmy tak cicho, że ledwie rozumieliśmy wypowiedane słowa.

— Jeżeli całował ją pan w usta... czy to znaczy, że całował pan także jej zęby?

Wyraźnie widziałem, jak jedną nogę wysuwa do przodu i przyjmuje wygodniejszą postawę. Do tej pory stał „na baczność”. Uczynił taki ruch, jakby zamierzał włożyć ręce do kieszeni. Widać było gołym okiem, jak głęboko oddychał. Jego głos także zabrzmiał czysto i dobitnie. Od razu spojrzałem nań jeszcze uważniej.

— Owszem — powiedział nieoczekiwanie, zupełnie spokojnie, niemal obojętnie.

To uczucie, że spadam, w tej chwili było silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Tak silne było to uczucie, że wyciągnąłem rękę i położyłem ją na biurku, jakbym, na wszelki wypadek, szukał oparcia. Spostrzegłem, że Madár obserwuje ten ruch.

— W szyję też ją pan całował? — spytałem znowu.

— Czasami.

— Gdzie? Do tego miejsca, dokąd sięga wycięcie sukni... czy jeszcze dalej?

— Do tego miejsca.

— To znaczy, dokąd?

— Sam pan raczył powiedzieć, dokąd.

A to już powiedział głosem innym niż dotychczas. Oderwał dłonie od ud, podniósł je i potarł jedną o drugą, po czym je swobodnie opuścił.

— Ręce — powiedziałem — co pan robił z rękami.

— Kiedy?

— Wtedy.

— Z moimi rękami? — spytał. Spojrzał na swoje ręce. Obaj patrzyliśmy na jego ręce, które beczynnie zwisały tuż przy nogawkach.

- Czy pan ją obejmował?
- Owszem, czemu nie — odparł obojętnie.
- A ona?
- Co, ona? — spytał.
- Nigdy nie protestowała?
- Niekiedy.
- Kiedy?
- Kiedy... byliśmy u mnie.
- U pana? W pańskim pokoju?
- Tak.
- Ile razy tam byliście?
- Niewiele. Może dwa razy.
- Protestowała?
- Tak.
- Dlaczego?
- Po prostu. Tak jest w zwyczaju dziewcząt.

Pamiętam, że kiedy podczas naszej rozmowy doszliśmy to tego miejsca, już od dłuższego czasu ani razu nie zwrócił się do mnie per „panie profesorze”. Dopiero teraz wrócił do tej formy, z pewnym uśmiechem:

- Pan profesor pyta o dziwne rzeczy.
- Dziwne? — powtórzyłem za nim. Wstałem. — To, co pan od... od... odpowiada, to jest dziwne. Nie sądzi pan?

Postąpiłem o krok w jego stronę.

- N... nie — powiedział. I postąpił o krok do tyłu. Tak trwaliśmy.

— Co zaszło między wami — zapytałem po długiej chwili — wtedy, kiedy pisał pan do niej list? Czy miała jakiś problem? Dlaczego pan prosił ją o przebaczenie?

— Bo... panie profesorze...
— Co?
— Uderzyłem ją — oznajmił po prostu.
— Uderzył ją pan? — upewniłem się. — Ale...
przecież to taka słaba dziewczyna. Pan ją uderzył?
Kiedy?

— Panie profesorze... byliśmy u mnie, w moim pokoju. Nie jest taka słaba... — dodał na swoje usprawiedliwienie.

A później powiedział:

— No... więc... Nie chciała.

— Czego?

— Niczego — odparł gburowato.

— Tak — powiedziałem mimo woli, ugodowo, jakby to on pytał o coś. — Niech mi pan powie, Madár — zapytałem o to, bo nie mogłem zapytać o nic innego — jak jest teraz? Na przykład dzisiaj? Widział pan ją dzisiaj?

— Tak.

— Teraz... Zanim przyszedł pan tutaj?

— Tylko na ulicy.

— Tylko na ulicy? Przyszła tu z panem?

— Do rogu.

— A po wyjściu ode mnie... spotka się pan z nią?

— Na korso, panie profesorze.

Milczeliśmy.

— A o mnie... — zacząłem powoli, z trudem — nigdy nie rozmawialiście o mnie?

— Rzadko, panie profesorze.

— Tylko jako o panu profesorze... co?

Madár podniósł wzrok na mnie.

— Tak — odrzekł głośno.

— Dobrze — uciąłem szybko.

Znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu. Przystąpił z nogi na nogę.

— Panie profesorze — przerwał obopólne milczenie — to nie wszystko. Jeśli pan sobie życzy, opowiem wszystko.

— Wystarczy — powiedziałem.

— Mam pewną fotografię — dorzucił pośpiesznie. — Jeśli pan sobie życzy, mogę ją panu pokazać. W stroju kąpielowym. W czasie wakacji, po siódmej klasie, kąpała się w rzece.

— Dość — krzyknąłem i usiadłem.

Madár zbliżył się do mnie.

— Jeśli pan sobie życzy, mogę pokazać — powiedział. — I, panie profesorze, byłem absolutnie szczerzy. Czy teraz mogę liczyć na pana?... — Na pańskie poparcie... w sprawie stypendium, panie profesorze? — dodał, kiedy nie odpowiedziałem na jego pytanie.

Jeszcze bardziej pochylił się w stronę mojej twarzy. Podniosłem rękę.

— Dosyc — nie byłem w stanie wyrzec nic innego.

— Wielkie dzięki — powiedział i ukłonił się.

Milczeliśmy długą chwilę. Madár niezmiennie patrzył mi w twarz. W końcu całkowicie innym tonem, niezwykle uprzejmie zapytał:

— Czy mogę odejść, panie profesorze?

— Może pan — powiedziałem.

— Sługa uniżony — rzekł i ruszył w kierunku drzwi.

W jadalni raz jeszcze się zatrzymał:

— Drzwi — powiedział. — Zamknął pan na klucz?

— Może pan odejść — powtórzyłem.

Wyszedł. Słyszałem jak zamyka drzwi. Raptem rzuciłem się na łóżko, w ubraniu, jak przedtem, zanim tu przyszedł, i natychmiast zasnąłem. Spałem całe pół godziny. Obudziłem się i zapisałem tę rozmowę. Wieczorem nigdzie nie pójde.

To uczucie, że spadam, minęło przed paroma minutami. Czuję się tak, jakby spадanie skończyło się, jakbym wreszcie dobił do ziemi i dziwię się, że nic mnie nie boli.

19 czerwca

A więc Madára wyleją z gimnazjum. Szkoda go. To bardzo zdolny chłopak. Dziwię się, że tak dał się ponieść. Zdaje się, że nie był całkiem sobą. Najważniejsze, że odebrałem mu fotografię. Uważam, że było to moim obowiązkiem. Możliwe, że pokazywał ją również innym osobom. Czuję, że to, co zrobiłem, było moim obowiązkiem.

Wczoraj i przedwczoraj cała klasa śmiała się szyderczo na obu lekcjach. Cokolwiek powiedziałem, parskano śmiechem. Bez wątpienia, Madár musiał im coś powiedzieć. Teraz jest mi to już obojętne. Gdyby wczoraj było tak, że Madár natychmiast wstaje, kiedy się do niego zwracam, odpowiada jak należy, oddaje mi fotografię, to być może uniknąłby tego, że go czynnie dotknąłem. A tak, niestety, nie mógł tego uniknąć.

Nie mógł tego uniknąć, bo kiedy zażądałem, aby dał

mi fotografię, cała klasa raptem parsknęła śmiechem. Nie powiedziałem, jaką fotografię, czyją fotografię; klasa wiedziała. Kiedy Madár wstał, wyjął z portfela jakąś fotografię i trzymając ją daleko ode mnie, zapytał:

— Tę fotografię? Wykluczone, panie profesorze — wtedy, niestety, nie pozostało mi nic innego, jak tylko podejść do niego i wyrwać mu tę fotografię z ręki.

Dziwi mnie to, że Madár w tejże chwili uderzył mnie w twarz. Dość mocno. Nie przypuszczałem, że jest taki silny.

Uważam, że postąpiłem słusznie, gdy niezwłocznie przerwałem lekcję i pospieszyłem do kancelarii dyrektora. Puliszka powstrzymał Madára, to pamiętam. Twarz mu się całkowicie zniekształciła, wyszczerzył zęby, cały jego korpus wił się w ramionach Puliszki. Ale Puliszka jest silnym młodzieńcem. Madár nie zdołał rzucić się za mną.

Dyrektor od razu powiedział, że Madár zostanie relegowany. Szkoda go. To bardzo zdolny chłopak. Teraz już nie potrafię mu pomóc.

Jedno, co jeszcze teraz jest ważne: muszę postępować ze zdwojoną ostrożnością. Fotografia znajduje się w moich rękach. Możliwe, że Madár zechce ją odzyskać. Na razie jest zamknięta w szufladzie, razem z pieniędzmi.

Nie rozumiem listu dyrektora. Dzisiaj rano przyniósł mi go Kudlicsek. Dyrektor prosi, abym powstrzymał się z wykładami, dopóki nie otrzymam orzeczenia komisji dyscyplinarnej.

Jest mi to obojętne. Całkowicie obojętne. To na-

wet miłe, że nie będę musiał wychodzić z domu. Na ulicy mogą człowieka spotkać różne niespodzianki. Bardzo chętnie będę przebywał w swoim mieszkaniu.

Dochodzącą poprosiłem dzisiaj, aby przyniosła mi chleb, wino i wędzoną szynkę. W ten sposób mogę kilka dni nie opuszczać domu. Zresztą, po co miałbym wychodzić na ulicę.

Zapytałem Kudlicska, co tam nowego w mieście.

— Madár — powiedział — szuka pana profesora.

— Gdzie szuka? — spytałem.

— Na Basztowej — odrzekł Kudlicsek. — Na korso. Na Kalwarii. Wszędzie, proszę pana. Puliszka nie odstępuje go na krok, i jeszcze kilku kolegów z klasy.

— Dlaczego? — spytałem. — Nie rozumiem. Dlaczego nie odstępują go na krok?

Kudlicsek pochylił się ku mnie.

— Bo się boją — powiedział tajemniczo. — Ma przy sobie rewolwer, proszę pana. Boją się, żeby sobie nie zrobił krzywdy. Albo komuś innemu. Jakby postradał rozum.

— Serio?

— Ba! — odparł Kudlicsek.

Ale ja bym nie polegał na słowie Kudlicska. Dużo gada i cieszy się, gdy sam sprokuruje jakies wieści.

20 czerwca

Od trzech dni nie byłem na ulicy. Zastanawiałem się nad tą sprawą: jeżeli Madár mnie szuka, to przyjmę go przyjmę, pozwolę wejść. Chętnie porozma-

wiam z nim. Ale fotografii mu nie oddam! Fotografia pozostanie u mnie.

Wczoraj i dzisiaj przez cały czas drzwi trzymałem zamknięte na klucz. Myślę też, że będzie roztropniej, jeśli w tych dniach dochodząca nie zakłóci mojego spokoju. Wczoraj odprawiłem ją. Potem przyjmę kogoś innego.

Nie podnoszę żaluzji od strony ulicy. W ciągu ostatnich dwóch dni wielu tędy przechodziło, pod moim oknem. Nie ma żadnej potrzeby, aby mi zaglądali do środka.

Niewykluczone, że w mieście coś knują przeciwko mnie.

Wczorajszego popołudnia wyrzałem na ulicę przez szczelinę w żaluzji i ujrzałem Madára. Szedł po drugiej stronie ulicy, z kapeluszem w ręce i zatrzymał się naprzeciwko moich okien. Stał tam dłużej. Źle wygląda. Przeszedł.

Chętnie porozmawiałbym z nim. Nie mam do niego pretensji o to, że uderzył mnie w twarz. Mam jeszcze do niego dwa, trzy pytania. Ale fotografii nie mogę mu zwrócić. Nie może trafić do jego rąk. Jeżeli zażąda fotografii, będę zmuszony się bronić.

Myślałem o tym, żeby przesunąć szafę w stronę drzwi i w ten sposób zabarykadować się, ale gdy przyjdzie Madár, zamierzam go wpuścić. Dlatego furtkę w bramie pozostawiłem otwartą, jedynie nie podnoszę żaluzji na oknach.

Rano ktoś zadzwonił. Kudlicsek. Zobaczyłem go przez szparę w żaluzji. Nie wpuściłem go, ponieważ teraz nie ciekawią mnie wieści, jakie z sobą przynosi.

Tymczasem chcę mówić z Madárem.

Przyjmuję za pewne, że przyjdzie dzisiaj po południu. Dlatego furtkę w bramie pozostawiłem otwartą.

Wszystko przygotowałem. Teraz zamykam ten zeszyt, już nie będę w nim pisał. Położę go obok pieniędzy i fotografii.

Jest trzecia; w każdej chwili może przyjść Madár. Wczoraj też przechodził tędy o tej samej porze.

Na wszelki wypadek położyłem na stole siekierę, obok pieniędzy i fotografii. Będę czekał do skutku. I nie ruszę się stąd, dopóki nie omówię wszystkiego z Madárem.

Sándor Márai (1900–1989), węgierski prozaik, publicysta, felietonista Radia Wolna Europa, jeden z najwybitniejszych pisarzy XX wieku. Na język polski przetłumaczono wiele jego książek, m.in. *Żar*, *Wyznania patrycjusza*, *Ziemia! Ziemia!...*, *Krew świętego Januarego*, a także *Dziennik* prowadzony w latach 1943–1989. *Pierwsza miłość* to jedna z wcześniejszych powieści Máraiego, została opublikowana w 1928 roku.

„Wielu jest takich, którzy spełniają się w tym, że kochają Boga, żyją wedle jego przykazań. I to jest jedyną treścią ich życia. To bardzo miłe i z pewnością całkowicie satysfakcjonujące. A ja nie jestem pewien, czy żyję wedle Bożych przykazań. Z punktu widzenia żarliwości religijnej z pewnością nie. Z drugiej wszakże strony staram się żyć w zgodzie z własnym sumieniem. Nikogo nie krzywdzę. Pracuję tam, gdzie posłał mnie los, wykonuję moje zadanie. Nikomu nie życzę nic złego. Zarazem muszę przecież napisać, że nie mam nic wspólnego z Bogiem. Człowieka pobożnego z pewnością wypełnia bez reszty to uczucie. Mnie nie wypełnia. Dzisiaj zastanawiałem się nad tym, jak marny jest człowiek. Zarówno w psie, jak i w Bogu szuka sposobności, aby móc kogoś kochać. Zdaje się, że Timár miał rację. Nie można żyć bez miłości”.

ISBN 978-83-07-03128-6



9 788307 031286 >

www.czytelnik.pl